

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/279

1970



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. CZAPSKI :

CHARLES DE GAULLE

CZ. MIŁOSZ :

SCIENCE FICTION I PRZYJŚCIE ANTYCHRYSTA

H. GRYNBERG :

OJCZYZNA

PELIKAN :

POLITYKA JAKO POTĘGA CHOROBOTWÓRCZA

MOJŻESZ RABIN :

LIST Z KRAJU

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Charles de Gaulle</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>Science fiction i przyjsie Antychrysta</i>	5
Henryk Schoenfeld:	<i>Zawiłości i uproszczenia (3)</i>	18
Henryk Grynberg:	<i>Ojczyzna</i>	26
Andrzej Lubelski:	<i>Tam gdzie rosną poziomki (dok.)</i>	46
W I E R S Z E		
Arnold Śtucki:	<i>Tego chcecie... — Z podróży</i>	54
Arnold Śtucki:	<i>Reportaż — * *</i>	55
Stanisław Wygodzki:	<i>Z cyklu „Drzewo ciemności”</i>	56
OBSERWATORIUM		
Pelikan:	<i>Polityka jako potęga chorobotwórcza</i> ..	57
K R A J		
Mojżesz Rabin:	<i>List z Kraju</i>	69
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Instytucjonalizm i protest</i>	74
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	80
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	91
O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA		
—	<i>Konfrontacja</i>	97
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Czapski:	<i>Wyrwane strony</i>	103
K S I A Ź K I		
Aleksander Zabrzecki:	<i>Spór o polski marksizm</i>	119
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Nieczajew i jego spadkobiercy</i>	123
Jolanta Dworzecka:	<i>Trochę o prozie amerykańskiej</i>	128
Benedykt Heydenkorn:	<i>Publikacje słowiańskie w Kanadzie</i> ..	132
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	136
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	137
◆		
L. Holzer, A. Ciołkosz, L. Mitkiewicz, St. Zarzewski, Redaktor „Kultury”:	<i>Listy do Redakcji</i>	144
◆		
—	<i>Indeks autorów i tematów „Kultury” za rok 1970</i>	150

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1970

INSTYTUT



LITERACKI

REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Prof. Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz dziesiąty	F. 110,00
Inż. Ryszard Głodkowski, Saint Max, Nord (Francja), po raz szósty	F. 35,00
F. Hasiński, Philadelphia, Pa. (USA), przekazując tą drogą znajomym życzenia Świąteczne i Noworoczne	F. 27,50
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz dziewiąty	F. 50,00
Koło byłych Żołnierzy Armii Krajowej, Oddział w Nowej Poł. Walii, Ashfield (Australia)	F. 220,00
Iza Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz siódmy	F. 70,00
M. P. Nitostawska, Montreal (Kanada), po raz piąty	F. 27,00
Nina Sereba, Montreal (Kanada), „zamiast kwiatów dla moich najbliższych zmarłych i pomordowanych przez Gestapo i NKWD”, po raz dwudziesty dziewiąty	F. 135,00
Władysław Stefanik, Detroit, Mich. (USA)	F. 27,50
Bezimiennie, Brooklyn, N.Y. (USA)	F. 27,50
Bezimiennie, Londyn	F. 55,00

DZIĘKUJEMY!

Przypominamy naszym Czytelnikom o odnowieniu
prenumeraty na rok 1971

Ceny prenumeraty obowiązujące na rok 1971 znajdują się na wewnętrznej okładce przy nazwiskach przedstawicieli.

Prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH dla Prenumeratorów KULTURY wynosi 35 F. lub \$ 6,00.

Prosimy usilnie o podawanie zmian adresów przed końcem każdego miesiąca, jak również o każdorazowe dołączanie międzynarodowego kuponu pocztowego (na list) na zmianę płytki adresowej.

Charles de Gaulle

Znów śmierć. Odszedł ostatni wielki mąż stanu minionej epoki.

Sługa Francji do ostatniego tchu, Francji idealnej, Francji *jego*, który nie wątpił nigdy we własne przeznaczenie, wyraziiciela jej i obrońcy. W chwili dla kraju okrutnej, wojny, klęski i moralnego załamania narodu — on, autor londyńskiego apelu z 18 czerwca 1940, inicjator i wódz Ruchu Oporu (tej garstki na początku, która w miarę lat wojennych kraj ogarnęła) odbudowuje armię francuską na obczyźnie, nienawidzony przez wyznawców Pétaina i kolaboracjonistów walczy nie tylko z wrogiem, ale i z własnymi rodakami małej wiary, ale i z sojusznikami, od których przecie wówczas całkowicie zależy, o miejsce godne Francji w przyszłym świecie.

Wraca do kraju — zwycięzca i sojusznik zwycięzców.

Nieugięty, samotny, którego żadna partia za swojego uznać nie chce i nie może, bo on sam wszystkie partie, wszystkich odcieni darzy nieukrywaną pogardą. Pilny czytelnik Maurrasa za młodu, patriota i nacjonalista, wierzący katolik — więc może reakcjonista?

Szef rządu, który sam tę władzę porzuca spędzając długie lata „na pustyni”, powraca do władzy dopiero w chwilach znów dramatycznego kryzysu Francji i znów na jej czele on, nie kto inny, przeprowadza do końca dekolonizację Francji i wbrew armii, która go wyniosła — dławiąc tej armii rewoltę za rewoltą — zawiera pokój z Algierem, godząc się na jego oderwanie i jego niezależność, realizując tu program lewicy, która tego pokoju narzucić krajowi nie śmiała i nie umiała. Budzi wówczas nienawiść do siebie nie tylko reakcji i sfer konserwatywnych.

De Gaulle chce Europy silnej, od Ameryki niezależnej; patrząc

daleko w przyszłość nie wierzy w trwałość komunizmu i widzi tę Europę aż po Ural. Ale Europa de Gaulle'a to Europa narodów, nigdy Europa ponadnarodowa, w którą nie wierzy, widząc w niej złudę i abstrakcję, przeciwstawia się jej siłą i zręcznością swej gry politycznej. De Gaulle jest znów teraz kamieniem obrazy dla twórców i wyznawców samej idei ponadnarodowej Europy. Zdobywa nowych i gwałtownych przeciwników, wcale nie tylko we Francji.

Zapowiedź podstawowych reform na podstawie *participation*, na których de Gaulle chciał zbudować nowy ład społeczny, a którego burżuazja przyjąć nie chce, powoduje, być może bardziej niż co innego, porażkę ostatniego referendum i odejście de Gaulle'a.

Dla Polaka to nie tylko okrzyk chwałą prezydent Francji, który od nas odszedł, to również młody kapitan, wykładowca taktyki w Rembertowie, który z nami, z wojskiem i narodem przeżywał grożącą klęskę i chwałę zwycięstwa 20-go roku. Ten ówczesny młody de Gaulle przygląda się wówczas losom Polski i jej Naczelnikowi, ma on później w Colombey-les-Deux-Eglises wszystkie teksty przemówień i prac Marszałka Piłsudskiego i czyta je w latach, które sam nazwał „wędrowką przez pustynię”.

Jakże tu nie wspomnieć Marszałka Piłsudskiego, ta sama miłość namiętna i gorzka ojczyzny, to samo oddanie sprawie do końca, samotność i duma, Sulejówek — Colombey-les-Deux-Eglises, walka o władzę realną, nigdy o pozory władzy, walka z obcymi agenturami i wzgarda małości, wzgarda wszystkiego co w ich oczach ojczyznę pomniejszało i poniżało, ten sam stop marzeń górnych i zadziwiającego realizmu, zmysł gry i taktyki, ten sam stosunek do parlamentu i partii, walka o nową konstytucję, o przebudowę kraju od podstaw.

Śmierć nagła i wstrząs całej Francji. Dziesiątki tysięcy pielgrzymów w Colombey, gdzie odbył się dziś skromny, wiejski pogrzeb. Dziesiątki i dziesiątki królów i władców z całego świata. Katedra Notre Dame w Paryżu, pochód setek tysięcy Francuzów przez Champs Elysées, aby przed mogiłą Nieznanego Żołnierza na Etoilełożyć hołd Zmarłemu.

„... iż nie poznają się na wielkim mali, prędzej aż zginie”.

Józef CZAPSKI

12 listopada 1970

Science fiction i przyście Antychrysta

Gatunek literacki zwany *science fiction* rozwija się od ponad stu lat i podziwiamy dzisiaj jego żywotność. W węższym znaczeniu jest to opowieść o przygodach w świecie jutrzejszym przekształconym przez technikę i tutaj klasykiem pozostaje Jules Verne. Jego książki szczególnie jasno wskazują na rodowód gatunku: dziewiętnastowieczny przewrót w nauce, który wytworzył przekonanie, że postęp techniczny nie będzie miał kresu. Ulubionymi bohaterami Jules Verne'a są samotni uczeni, sięgający myślą dalej niż ich współcześni. Często akcja jest umieszczona w teraźniejszości, ale w tę teraźniejszość wkracza przyszłość w postaci wynalazku dokonanego przez genialny umysł (łódź podwodna kapitana Nemo, telewizja w *Zamku w Karpatach*).

Science fiction szybko jednak zaczęła się wzbogacać nowymi treściami. Były to obrazy z życia po-jutrzejszych społeczeństw, w dwudziestym wieku przeważnie pesymistyczne, przy czym wyraźnej linii granicznej pomiędzy wyobraźnią zorientowaną technicznie i refleksją filozofów nie dałoby się przeprowadzić. Strefa pośrednia rozciąga się od przewidywań „zemsty” kiedy to wytwory ludzkiego umysłu zwracają się przeciw człowiekowi (np. bunty robotów), aż po opisy jakichś hipotetycznych cywilizacji, gdzie autorzy kładą nacisk nie na technikę ale na stosunki pomiędzy ludźmi. Zaliczyć tu wypadnie zarówno *Maszynę czasu* H. G. Wells'a (1895) jak *My Eugeniusza Zamiatina* (1920), zarówno *Nowy wspaniały świat* Aldousa Huxley'a (1932) jak 1984 *George Orwell'a* (1949). Nie jest więc wykluczone, że z braku ściślejszych terminów wolno mówić o *science fiction* także w znaczeniu szerszym. Byłaby to wszelka narracja, która „udaje” że jest pisana w czasie przeszłym, choć powinna być pisana w czasie przyszłym dokonanym. Powinnaby — ale nie może, bo przeszko-

dę stanowi tutaj sama gramatyka. Wypadkom które „będą” brak dostatecznej siły przekonywującej a bohater który „zrobi”, „zobaczy”, „pójdzie” nie jest dla nas realny. Toteż przepowiednia (bo przecie chodzi tu o przepowiednię) jest gramatycznie zamaskowana: bohater żyjący w roku 3000 „zrobił”, „zobaczył”, „poszedł”. Ale tak też jest w Apokalipsie Św. Jana. To, co ma się stać jest opowiedziane jako to, co się już stało — w wizji na wyspie Patmos.

Zważmy, że pojawienie się *science fiction* przypada na okres kiedy wymiar przestrzeni przestaje dostarczać podniet ludzkiej wyobraźni i zostaje zastąpiony wymiarem czasu. Począwszy od szesnastego wieku mnożyły się powieści o fantastycznych krajach, wyspach, społeczeństwach, gdzieś tam istniejących na ogromnej, jeszcze mało zbadanej Ziemi. Jednej z takich powieści zawdzięcza swoją nazwę Kalifornia. Odbywały się też mutacje podobne do tych jakie oglądamy dzisiaj: od prostodusznie pokazanych przygód do utopii i filozoficznej satyry. Owocem takiej mutacji są *Podróż Gulliwera* Swifta. Nowy wymiar czasu, zaczyna być eksplorowany dokładnie wtedy, kiedy znikają ostatnie białe plamy na mapie i kiedy ostatnia „wyspa szczęśliwa”, Tahiti, ma szansę przetrwania tylko na płótnach Gauguin’a. Ktoś może powiedzieć, że przecież i *science fiction* zajmuje się przestrzenią, bo często wprowadza odległe planety. Jednakże są to planety przyszłe, tj. takie na które kiedyś ma dostać się człowiek, jest on od nich oddzielony nie tyle przestrzenią ile czasem swojej stopniowo doskonalącej się techniki.

Mimo że większość utworów *science fiction* jest bez większej literackiej wartości, gatunek zdaje się zwyciężać w konkurencji z tzw. powieścią współczesną. Rozprzęganie się realistycznej prozy jest zjawiskiem mniej więcej równoległym z rozpadem malarstwa figuratywnego, te same są też przyczyny. Albo rzecz obserwowana przez człowieka, mająca swój byt obiektywny, albo obserwator, ze swoją swobodną interpretacją: już malarze impresjoniści opowiedzieli się za tym drugim i odtąd poszło szybko. Zostawiając na boku malarstwo, trzeba po prostu stwierdzić, że narracja, czy to będzie baśń ludowa, czy bohaterski epos czy powieść, ma swoje stałe prawa i że należy do nich zaspakajanie ciekawości wyrażające się pytaniami: „jak było?”, „co było dalej?”. Innymi słowy, słuchacz albo czytelnik chce obcować z pewną rzeczywistością, zapominając że jest zmyślona. Powieść w której rzeczywistość rozpryskuje się na okruchy, błyski, sygnały i w której natarczywie przypomina się czytelnikowi, że wszystko odbywa się w umyśle narratora, nie spełnia podstawowego warunku. Otóż autor *science fiction* nie korzysta z przywileju milczących odwołań się do znanego otoczenia, przywilej ten ma na-

tomiast autor jeżeli umieszcza swoje postacie w mieście 1970 r. Kto zabiera nas ze sobą w podróż po czasie musi swoją rzeczywistość niejako ustawić od początku, uprawdopodobnić, jest w nim coś z kronikarza zajętego faktami i kolejnością zdarzeń, a ten przymus zbliża jego fantazje do wzorów narracji klasycznej.

Science fiction jest szczególnie użyteczna kiedy zastanawiamy się nad zasięgiem ludzkiej wyobraźni. Wystarczy do tego celu wziąć jakąś opowieść sprzed lat kilkudziesięciu, np. H. G. Wells’a czy Huxley’a, o nowych maszynach czy o przypuszczalnych formach jakie przybierze cywilizacja, i porównać z tym co wiemy dzisiaj. Okaze się wtedy, że zdumiewająco trafne przewidywania występują w splątaniu z mnóstwem szczegółów noszących piętno tamtej epoki. Jest to rodzaj snu, chociaż tu i ówdzie rozpoznajemy w nim cechy świata w którym żyjemy. Wyobraźnia może bowiem budować tylko z materiału jaki jest jej dany tu i teraz. W przyszłość zdolna jest sięgnąć tylko o tyle, o ile potrafi wyłowić z teraźniejszości zapowiedzi potencjalnie mocne od zapowiedzi mocnych tylko pozornie, w istocie złudnych. Intuicja Jules Verne’a odgadła co kryło się potencjalnie w odkryciach ówczesnej nauki, toteż jego bohaterowie zwiedzają dno oceanu, jadą do środka ziemi albo na księżyc. W swoim myśleniu, obyczajowości, stroju, są jednak nieodrodnymi dziećmi dziewiętnastego wieku. Na podziw zasługuje też intuicja pisarzy, którzy przewidzieli rolę chemicznych preparatów jako środków totalitarnej kontroli. Jednak, czytając ich, to wykrzykujemy: „zupełnie tak”, to znów: „zupełnie nie tak”. Kiedy chodzi o refleksję filozoficzną nad przyszłością, sprawa szczególnie się komplikuje, bo przedmiotem pasji moralistów i satyryków jest społeczeństwo w którym są zanurzeni i grożące mu katastrofy czyli zastanawiają się „dokąd to prowadzi”. Niekiedy, np. u Stanisława Ignacego Witkiewicza, wymiar przyszłości jest niemal tak umowny jak wymiar przestrzenny u Swifta. Trudności są tym większe, że w splątaniu, w zbitce różnych elementów, co zdaje się być typowe dla tego literackiego gatunku, występują właściwie trzy czasy: czas pisania (wyraźny w utworach sprzed lat kilkudziesięciu), czas czytelnika, czas wobec czytelnika przyszły, nieokreślony, na pograniczu tego co znamy z naszych doświadczeń i tego co może jeszcze się zdarzyć.

Władimir Sołowiew napisał *Trzy rozmowy* w końcu 1899 i w początku 1900 roku, tuż przed śmiercią, tak zamykając swój pisarski dorobek, bardzo obfity, mimo że żył tylko lat czterdzieści siedem. Pełny tytuł książki, wydanej w tymże 1900 roku, brzmiał: *Trzy rozmowy o wojnie, postępie i końcu światowej historii*,

z włączeniem krótkiej opowieści o Antychryście i z dodatkami. Cel książki określony jest w przedmowie jako polemiczny i apologetyczny, zawiera ona ostrzeżenie i prorocstwo. Wypowiadając się dotychczas w traktacie, w wykładzie i w poezji, Sołowiew tym razem wprowadził pewną ilość działających postaci. Akcja odbywa się i współcześnie i w przyszłości. Grono Rosjan spotyka się przypadkowo u podnóża Alp nad brzegiem Morza Śródziemnego. W ciągu trzech wieczorów, jakie ze sobą spędzają, każda z tych osób reprezentuje odmienne stanowisko wobec zagadnień religijno-moralnych. Większość z nich głosi poglądy częściowo przynajmniej podzielane przez autora. Są to: stary Generał, Polityk, Pan Z. i Dama. Inaczej jest z młodym Kniaziem. Jego rozumowanie zdradza objawy tej duchowej choroby, jaka według autora dotknie większość ludzi w przyszłości. Czym będzie ta przyszłość, dowiadujemy się kiedy w trzeciej i ostatniej z rozmów Pan Z. odczytuje głośno rzekomy rękopis mnicha Pansofija. Wydarzenia dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku są w nim, wzorem Apokalipsy, podane w czasie przeszłym.

Rozważania nad życiem i dziełem Sołowiewa, nad stosunkiem jaki zachodzi pomiędzy *Trzema rozmowami* i resztą jego twórczości, zostawimy tutaj bardziej do tego powołanym. Opublikowano o Sołowiewie sporo prac w różnych językach. Interesować nas będzie coś jeżeli niekoniecznie prostszego, to dotyczącego nas bezpośrednio. Bo dla czego mamy się wstydić najzwyczajniejszych odruchów, tej plotkarskiej ciekawości, która, kiedy natykamy się na starą przepowiednię, każe nam zapytywać: sprawdza się czy nie sprawdza? Otóż rękopis mnicha Pansofija jest, formalnie, niczym innym niż *science fiction*, jeżeli godzimy się przyjąć szersze znaczenie terminu, podlega też tym samym zasadom, mimo że wywodzi się z innej tradycji. Bo chociaż laboratoria dziewiętnastowiecznych uczonych zrodziły nowy literacki gatunek, od wieków chrześcijański folklor gromadził oznaki zbliżającego się jednego kluczowego wydarzenia: drugiego przyjścia poprzedzonego przyjściem Antychrysta, millenium, końca czasów. Być może dzisiejsze powodzenie *science fiction* tłumaczy się właśnie tym, że zastaje ona grunt przygotowany, wykorzystując stare złoża w podświadomości, co łączy ją z folklorem. Rękopis mnicha Pansofija zawiera relację tak naśladowaną faktami, że starczy za najbardziej niesamowitą powieść. I trzeba przyznać, rozpoznajemy w niej zarysy naszego świata, ale nieco mgliste i o przesuniętych proporcjach. Można to porównać do kolumny druku w której poszczególne wersy złożono poprawnie ale porządek ich został zakłócony, tak że nie zawsze wiemy co powinno następować po czym.

Przypomnijmy zasadnicze przesłanki Sołowiewa. W historii dostrzegał ukrytą logikę i sens moralny. Za punkt w którym

zbiegają się wszystkie jej wątki uważał chrześcijaństwo. Nad rozłamem na katolicyzm, prawosławie i protestantyzm ubolewał. Chociaż zakończył życie jako wierny Wschodniego Kościoła, grał w kierunku katolicyzmu i nie tylko teoretycznie, bo przystępował też był do komunii w kościele katolickim (*prisofediništa*). Jedynym wyjściem dla Europy było według niego zjednoczenie chrześcijan i ustrój teokratyczny. Z *Trzech rozmów* wynika, że nie będzie to możliwe, bo taki ustrój oznaczałby koniec tego co przyzwyczailiśmy się nazywać historią.

Dwudziesty wiek w rękopisie Pansofija stoi pod znakiem Azji. Japonia przejmuje z Europy nie tylko technikę, również idee znane jako panslawizm i pangermanizm, wypracowując swoją ideę panmongolizmu. Tak uzbrojona, wyrusza na podbój Chin i osadza tam japońską dynastię, skutecznie przekonując Chińczyków, że powinni zmodernizować się i wspólnie zwrócić się przeciwko białej rasie. Chińska armia i flota, ćwiczone przez japońskich instruktorów, korzystają z olbrzymich ludzkich rezerw Mandżurii, Chin, Mongolii, Tybetu i organizują się szybko. W ciągu paru dekad Francuzi zostają wyrzuceni z Tonkinu i Syjamu, Anglicy z Burmy, a całe Indochiny przechodzą pod władzę chińskiego imperium. Europa tymczasem zmaga się, po raz ostatni z krajami Islamu, co odwraca jej uwagę od niebezpieczeństwa ze wschodu.

Czteromilionowa armia koncentruje się w chińskim Turkiestanie żeby, jak dyplomacja chińska zapewnia Rosjan, wyruszyć przeciw Indiom. Jej wtargnięcie do Rosji azjatyckiej, gdzie natychmiast wybuch powstanie całej ludności, jest tak nagłe, że wkrótce przekracza ona Ural. Wojska rosyjskie, pośpiesznie przerzucone z zachodu, z Polski, Litwy, Finlandii, Wołynia, wyrkrawiają się w beznadziejnych bojach. Inna armia rosyjska, odcięta na Syberii, daremnie próbuje uderzenia na Chiny od północy. Zostawiwszy część swoich sił w Rosji do walki z partyzantką, zjednoczeni Mongołowie trzema armiami przekraczają granice Niemiec. Tutaj zdążono się przygotować i jedna z armii zostaje rozbita na głowę. Ale wtedy we Francji zwycięża partia rewanżu i Francuzi uderzają na Niemców od tyłu (przy typowym przesunięciu okoliczności można w tym się dopatrzeć wojny 1914 roku). Mongołowie bratają się z nowymi sojusznikami, po czym wyrzynają ich „z chińską dokładnością”. Rewolucyjny Paryż, gdzie zwyciężyli robotnicy *sans patrie*, radośnie wita władców ze wschodu. Flota zdobywców, która przyplłynęła z Pacyfiku, jest gotowa do inwazji na Anglię ale Anglicy wykupują się miliardem funtów, zresztą flota jest potrzebna do działań przeciwko Ameryce i Australii. W ciągu roku cała Europa staje się wasalem Azji i będzie znajdować się pod okupacją przez lat pięćdziesiąt. Długo i starannie wiązana sieć konspiracyjna, tajnie wspierana przez rządy państw europejskich,

którym udaje się zmylić czujność azjatyckich namiestników, doprowadza wreszcie do równoczesnego powstania we wszystkich europejskich krajach i do wygnania Mongołów.

Europa dwudziestego pierwszego wieku jest inna niż była przed inwazją. Międzynarodowa solidarność, rozwinięta dzięki oporowi wobec najeźdźców, przyczyniła się do zaniku nacjonalizmów i suwerenność poszczególnych państw straciła znaczenie. Mniej lub bardziej demokratyczne kraje tworzą razem Zjednoczone Stany Europy. Postęp materialny, nieco zahamowany w ciągu półwiecza, znów przybiera na sile. Zarazem mnóstwo odkryć w dziedzinie fizjologii i psychologii ukazuje w nowym świetle nierozwiązalne zagadnienia życia i śmierci, przecznicząc świat i człowieka. Światopogląd materialistyczny, pojmujący wszechświat jako nieskończony ciąg przypadkowych przemian, wydaje się ludziom naiwny, ludzkość z niego wyrosła jak dziecko wyrasta ze zbyt ciasnego ubrania. Pewien dość wysoki poziom obowiązuje zarówno niewierzących jak wierzących kiedy dyskutują o religii. Liczba wierzących chrześcijan jest znikoma, na całej kuli ziemskiej pozostało ich tylko czterdzieści pięć milionów, ponieważ odpadli od nich wszyscy, którzy poprzednio uważali się za chrześcijan z samej obyczajowej inercji. Tracąc na ilości, chrześcijanie zyskali na jakości, zarówno moralnej jak umysłowej. Nie ograniczają się do naiwnej wiary, czyli stosują się do rady apostoła Pawła, który zalecał im żeby byli dziećmi wedle serca ale nie wedle umysłu. Przetrwali wśród nich podział na katolików, prawosławnych i ewangelików, ale znikła wzajemna wrogość i nieufność. Również niechrześcijańska większość oddaje się gorliwym religijnym poszukiwaniom. Jest to wiek synkretyzmu, zmieszanych wierzeń Zachodu i Wschodu, neo-buddyzmu, satanistycznych sekt.

Wtedy to pojawia się Antychryst. Tworząc tę postać, Sołowiew opierał się zarówno na Nowym Testamencie i wywodzącym się z niego bogatym chrześcijańskim piśmiennictwie, jak na rozmyśleniach o swoich współczesnych. Antychryst ogniskuje w sobie te tendencje, które są już widoczne w 1899 roku i mają dojrzeć do ich logicznej konkluzji. Trzeba podkreślić, że nie materializm filozoficzny do nich należy — ten według Sołowiewa był zjawiskiem przejściowym. Nieświadomym zwiastunem Antychrysta jest w *Trzech rozmowach* łagodny tołstojowiec, Książ, który za materialistę bynajmniej się nie podaje.

W przedmowie do *Trzech rozmów* Sołowiew opowiada o dziwacznej sekcji „dziuromodłców” (*dyromolijaw*), która, jak doniosły gazety, powstała w zapadłych prowincjach Rosji. Chłopi wiercili dziurę w ścianie chaty i modlili się do niej: „moja święta dziuro, moja święta izba”. Ale podobni według Sołowiewa do tych sektantów byli „dziuromodłcy” wykształceni, których nauka

szerzyła się wśród inteligencji. Ich nawoływania do powszechnej dobroci, sprawiedliwości i braterstwa oznaczały przyjęcie etycznych wskazań chrześcijaństwa, z odrzuceniem jego metafizycznej podstawy, czyli nie były niczym innym niż modleniem się do dziury, do pustki. W centrum myśli Sołowiewa, trzeba to przypomnieć, stał jeden niezbity pewnik: śmierć. Nie zgadzał się z tymi, którzy, chcąc złagodzić okrucieństwo praw biologicznych, mówili o wiecznym odradzaniu się życia w przyrodzie: nie ma w przyrodzie żadnego odradzania się, bo ta jedna mucha, ten jeden ptak, ten jeden kwiat żyją tylko raz i dają początek nie nowym sobie samym, ale innym indywiduum. Śmierć wystarcza za dowód uniwersalnego skażenia, jest piętnem diabła we wszechświecie. Człowiek nie może wymknąć się jednemu, najważniejszemu albo-albo: albo Chrystus zmartwychwstał i zwyciężył potęgę piekielną albo nie zmartwychwstał. Tym, którzy wybierają to drugie Sołowiew doradzał żeby, zamiast powoływać się na Ewangelię, zostali budystami.

Dlaczego osoby zebrane nad Morzem Śródziemnym dyskutują w *Trzech rozmowach* o wojnie i pokoju? Wojna jest nieszczęściem w którym najjaskrawiej wyraża się niedoskonałość ludzkich instytucji. Całkowite jej wyrzeczenie się, z zasady, niezależnie od okoliczności, oznaczałoby, że dobro bliźniego jesteśmy zdolni cenić bardziej niż nasze własne. Ale Generał, jeden z tych skromnych i czystego serca wojskowych, tak lubianych przez rosyjskich pisarzy, opowiada się za ideałem chrześcijańskiego rycerza i za wojną sprawiedliwą w obronie uciśnionych. Polityk twierdzi, że postęp kulturalny wpaja ludziom odrazę do wojny, tak że prawdopodobnie przyczyni się do jej zniknięcia. Książ natomiast, działacz pacyfistyczny, wierzy, że ewangeliczna miłość bliźniego i niesprzeciwianie się złu nie tylko położą kres wojnom ale przemienią cierpiącą ludzkość w ludzkość rozumną i szczęśliwą. Nauczycielem i prawodawcą dla Książa jest Jezus, ale Jezus był według niego tylko człowiekiem i śmierć zabrała go jak wszystkich. *Trzy rozmowy* są polemiką z Tołstojem a pośrednio z Rousseau, zachowują jednak aktualność dzięki wadze ich centralnego zagadnienia. Jeżeli człowiek jest niewinny i został tylko zniewiniony oraz „alienowany” przez społeczeństwo, ulepszając społeczeństwo można będzie przywrócić mu niewinność. Jeżeli natomiast „świat w złem leży” i zło jest zrośnięte z samym *ego* człowieka, w nasze rachuby powinniśmy wliczyć ten brak niewinności, w przeciwnym wypadku narażamy się bowiem na „zemstę” zbyt idealnie pomyślnych społecznych urządzeń. Na argumenty Książa odpowiada Pan Z. (głos samego Sołowiewa) odczytaniem rękopisu mnicha. Chociaż wojny dwudziestego wieku zaprzeczają nadziejom Książa, w dwudziestym pierwszym wieku ukaże się genialny mędrzec,

przyjaciół ludzkiego rodu, i on to, najpierw jako prezydent Zjednoczonych Stanów Europy, następnie jako imperator ze stolicą w Rzymie, zrealizuje wszystko do czego tęskni Książ, zapewniając mieszkańcom całej ziemi pokój, sprawiedliwość i dobrobyt. Tylko że to będzie Antychryst.

Pozwolę tutaj sobie na dygresję osobistą. Ten esej o Sołowiewie prawdopodobnie nigdy by nie powstał, gdyby nie oglądane przeze mnie dawno, w młodości, freski Signorellego w katedrze w Orvieto. Malując „Kazanie Antychrysta” zaraz po roku 1500, Luca Signorelli podobno wzorował się na drzeworytach ludowych nieco wcześniejszej daty. Czy Sołowiew był kiedyś w Orvieto, nie podejmuję się orzekać. W każdym razie Antychryst Sołowiewa dowodzi trwałości pewnej tradycji podjętej przez rosyjskiego filozofa. Jest to Antychryst, który wygląda dokładnie, najzupełniej, jak Chrystus znany z ikonografii, i nawet pokazuje ręką na serce buchające ogniem miłości do ludzi, tyle że słucha tego co szepcze mu do ucha demon.

Nadczłowiek dwudziestego pierwszego wieku u Sołowiewa łączy niezwykle zdolności umysłowe z nieskazitelną etyką osobistą. Za powołanie swoje uznaje taką organizację społeczeństwa, która by wcielała w czyn nakazy Ewangelii. I podkreślił to, nie wie, że jest Antychrystem. Nie wie przynajmniej do owej chwili, kiedy świadomie wynosi siebie ponad Chrystusa, ponieważ Chrystus był tylko jego poprzednikiem, umarł i nie zmartwychwstał, a on zmieni w rzeczywistość to co głosił jego poprzednik. Nadczłowiek sam wierzy, że działa z miłości do ludzi, ale w istocie kocha tylko siebie czyli dokonuje wspaniałych czynów po to żeby siebie we własnych oczach uświetnić. Tutaj Sołowiew jest całkowicie zgodny z apokaliptycznym folklorem, który przyczynę zła we wszechświecie upatrywał w buncie anioła wielkiej mądrości i piękności: anioł ten wolał siebie niż Boga. Sołowiew jest jednym z tych pesymistycznych filozofów, według których każde *ego* powtarza akt upadłego anioła, bo nie może być inaczej w porządku Natury — poza interwencją Łaski. Im potężniejsze jest *ego* — mężów opatrnościowych, wodzów, dyktatorów — tym więcej hołdów muszą składać samym sobie. Nadczłowiek Sołowiewa w przystępie zwątpienia usiłuje popełnić samobójstwo ale ratuje go Książę Tego Świata, jego to głos słyszy (scena ta jest dokładnym odwróceniem chrztu Jezusa w Jordanie). Po tej krytycznej nocy pisze swoje dzieło, „Otwarta droga do powszechnego szczęścia i dobrobytu”, tak przekonywujące intelektualnie i artystycznie, tak jasne, że każdy znajduje w nim najoczywistszą prawdę. Przetłumaczone na mnóstwo języków, dzieło zapewnia mu taką sławę, że jedynego jego wybór na prezydenta Europy i wkrótce na imperatora narodów Ziemi jest nieunikniony.

Mąż opatrnościowy spełnia co obiecywał. A troszczy się nie tylko o pokój i chleb, także o duchowe potrzeby ludzkości. Jego doradcą i przyjacielem jest mag Apolloniusz, pół-Azjata, pół-Europejczyk, biskup katolicki *in partibus infidelium* (następnie kardynał), równie obeznany z nowoczesnymi metodami zachodniej nauki jak ze wszystkim co najcenniejsze w misticznej wschodniej. Krążą o nim wieści, że umie sprowadzać ogień z nieba. W istocie Apolloniusz, sprzęgając naukę z magią, doszedł do niezwykłych wyników, na przykład samym napięciem swojej woli potrafił gromadzić i używać tak jak zechce elektryczność w atmosferze. Apolloniusz i jego protektor są przykładem synkretycznych dążeń epoki. Apolloniusza uwielbiają neo-buddyści. Sam imperator, mason, honorowy doktor teologii uniwersytetu w Tubindze, uchodzi wśród Żydów za Mesjasza. W dwudziestym pierwszym wieku Palestyna, ze stolicą w Jerozolimie, jest rządzona przez Żydów i przez nich w większości zamieszkała. Żydów jest wtedy około trzydziestu milionów. Imperator przenosi swoją rezydencję z Rzymu do Jerozolimy i rozpowszechnia pogłoski, że jego polityka ma na celu światowe królestwo Izraela.

W Jerozolimie też, czwartego roku panowania, nadczłowiek ujawnia się jako Antychryst, po czym bardzo szybko, w ciągu zaledwie kilku dni, następują wypadki przepowiedziane w Apokalipsie. Są one następstwem decyzji imperatora żeby ogłosić się boskim pomazańcem i dobroczyńcą wszystkich chrześcijan. Wielki sobór ekumeniczny, na który zwołuje do Jerozolimy katolików (papiestwo, od dawna wygnane z Rzymu, ma siedzibę w Petersburgu), prawosławnych i protestantów, opowiada się za nim, z wyjątkiem świątobliwego starca Jana, papieża Piotra II i niemieckiego teologa Pauli. Starzec Jan i Piotr II demaskują imperatora jako Antychrysta, za co zostają zabici „ogniem z nieba” przez kardynała Apolloniusza, a trupy ich są wystawione na widok publiczny. Garstka wiernych, prowadzona przez dr. Pauli, ucieka na pustynię Jerycho. Wybrany papieżem, Apolloniusz dokonuje zjednoczenia kościołów, co należy interpretować jako poddanie królestwa nie z tego świata władzy świeckiej, dawczyni ziemskiego szczęścia i sprawczyni naukowo-magicznych cudów.

„Koniec czasów” i początek millenium są w *Trzech rozmowach* zaledwie naszkicowane. Krótki, w porównaniu z całą historią ludzkości, cykl, zaczęty narodziem Dziecka z pokolenia Dawida, zamyka się w Izraelu. Bunt Żydów przeciwko fałszywemu Mesjaszowi, zarządzona przez imperatora rzeź Żydów i nieposłusznych chrześcijan, zmartwychwstanie starca Jana i Piotra II, wystąpienie milionowej armii żydowskiej przeciwko wojskom Antychrysta nacierającym z Syrii, pochłonięcie tych wojsk razem z imperatorem i pseudo-papieżem przez ognisty krater, który otworzył

się w pobliżu Morza Martwego, Chrystus zstępujący z nieba nad Jerozolimą — te eschatologiczne obrazy odbiegają od polemicznych, jak to podkreśla Sołowiew, założeń *Trzech rozmów* i zapewne dlatego są ujęte jak najzwężlej.

Ta skrótowość ostatniej części rękopisu utrudnia zrozumienie koncepcji „antychrystowego dobra”. Ktoś może powiedzieć, że nakarmić głodnych, uratować z poniżenia uciśnionych, zapewnić wszystkim narodom pokój, to niemało. Można też wysunąć argument, że koncepcja ta jest głęboko reakcyjna, ponieważ każde dążenie do ziemskiej szczęśliwości z góry podaje za podejrzanę. Otóż byłoby to krzywdą wobec Sołowiewa. Jego nadczłowiek zasługuje na podziw właśnie jako dobroczyńca ludzi i jeżeli jest Antychrystem, to wyraża się w tym cała zagadka ludzkiej historii. Rządy jego są oparte na fałszu, który musi nieuniknienie spowodować jak najgorsze skutki i terror przez niego zapoczątkowany byłby zapewne coraz okrutniejszy, gdyby nie pochłonęła go ziemia. Fałsz równa się wymaganiu aby i co ziemskie i co boskie oddać Cezarowi czyli obywatel miał być szczęśliwy ale tylko za cenę zupełnego posłuszeństwa we wszystkich swoich myślach i czynkach. Nieposłuszeństwo nielicznych chrześcijan jest więc u Sołowiewa testem, dzięki któremu genialny władca pokazuje kim jest naprawdę.

Zestawienie rękopisu mnicha Pansofija z *science fiction* pozwala zastanowić się nad czasem pisania jako gąszczem możliwości poddawanych przez piszącego ocenie. Współczesnym Jules Verne'a nie przychodziło na ogół do głowy, że środki wybuchowe, chociaż w dziewiętnastym wieku coraz to udoskonalane, mogą zanieść człowieka aż na księżyc, a powieści na ten temat czytali jako zabawne baśnie. Wiemy oczywiście dzisiaj, że ogromnie długa armata do wystrzelenia międzyplanetarnego pojazdu jest niepotrzebna, bo ten pojazd sam jest i armatą i pociskiem, niemniej Jules Verne trafnie ocenił możliwości. Dla pacyfisty Kniazia w *Trzech rozmowach* rękopis Pansofija jest brednią i chyba zaraz by umarł, gdyby go ktoś przekonał, że taka naprawdę będzie skala wojen dwudziestego wieku. Ludzie 1899 roku do historii w skali planetarnej nie byli wdrożeni. Chociaż o „żółtym niebezpieczeństwie” już wtedy mówiono (w kilkanaście lat po Sołowiewie miał o tym pisać Oswald Spengler), trzeba było nie tyle jakiego skoku wyobraźni żeby przewidzieć podbój Chin przez Japonię i pośrednie tego skutki — zwycięstwo armii rewolucyjnej i militarną potęgę Chin. Ta dynastia, jaką u Sołowiewa Japończycy osadzają w Pekinie, to długa lufa armaty wystrzelającej pocisk na księżyc u Jules Verne'a. Sołowiew co prawda nie kierował się naukowym prawdopodobieństwem ale tajemniczym ładem wyczuwalnym w węzłach i zasadniczych osnowach historii. Gdyby kierował się

prawdopodobieństwem, nie wprowadziłby, wówczas kiedy początkujący ruch syjonistyczny miał mało zwolenników, państwa żydowskiego ze stolicą w Jerozolimie i milionowej armii żydowskiej.

Wyobraźnia zapuszczająca się w przyszłość jest skazana na ekstrapolację tj. na przedłużanie linii uchodzących w danej chwili za „linie rozwojowe”, co prowadzi do mnóstwa pomyłek. Np. nie można całkowicie wykluczać, że postęp techniczny po nagłym skoku zatrzyma się na dłużej, jak to działo się nieraz w historii, i w takim wypadku ci, co dzisiaj zakładają jego nieskończony dalszy ciąg będą wyglądali w oczach jutrzejszych ludzi nieco naiwnie. Jednak czytając Sołowiewa chwilami mamy wrażenie, że jego dwudziesty pierwszy wiek jest bardzo zbliżony, w swoich treściach duchowych, do naszego, czyli że inteligencja rosyjska 1899 roku mogła uważnemu obserwatorowi dostarczyć nie najgorszych przesłanek do przewidywań. Z powodu szczególnych cech Rosji (jak choćby zrost cerkwi z autokracją), inteligencja rosyjska przeżyła gwałtownie, w skrócie, tę przemianę, która w krajach zachodnich, ze względu na mniejszą sztywność tradycyjnych struktur i wolność słowa, odbywała się wolniej i dopiero stopniowo miała się upowszechnić. Bezdomność wyznaniowa inteligencji rosyjskiej domagała się kompensaty w religii człowieczeństwa, rodząc bezgraniczne żądania etyczne zwrócone jednak nie do poszczególnego człowieka ale do „środo-wiska”, które ponosiło odpowiedzialność za skażenie dobrej ludzkiej natury. Powtarza się to we współczesnym nam humanizmie laickim z jego marzeniami o końcu alienacji czyli w istocie o wypełnieniu się czasów, bo nic tych marzeń nie zadowala poza wizją ustroju obywatelczego się bez jakichkolwiek więzów i instytucji. W przeciwieństwie do roku 1899, ta przemiana odbywa się i poza chrześcijaństwem i w obrębie chrześcijaństwa. Jesteśmy świadkami przekształcania się kościołów w kluby przyjaciół człowieka, w zgromadzenia skautów grających na gitarach i klaszczących w dłonie, a ich ochoczość do służby wszelkim szlachetnym sprawom, od walki z kolonializmem po ochronę niedźwiedzi na Alasce, ma związek z teologią „śmierci Boga”, choćby sami się do tego nie przyznawali. Nie oszczędziło to i Kościoła katolickiego, który za wszelką cenę stara się być przystępnym umysłowości laickiej. Żeby o tym się przekonać, wystarczy np. czytać uważnie katechizm autoryzowany przez holenderską hierarchię kościelną: jego autorzy zdobywają się na akrobatyczne wysiłki, byle gładko ominąć to co najbardziej niewygodne i okazać się światłymi humanitarystami.

Historyczna rola chrześcijaństwa w ciągu wieków polegała na przypominaniu o tragizmie ludzkiej egzystencji. Człowiek chce być dobry, ale nie jest dobry, chce być szczęśliwy, ale nie jest szczęśliwy, chce żyć, ale wie, że musi umrzeć, a ta świadomość,

wyróżniająca go spośród wszystkich istot żywych, jest ponurym żartem, skoro nie zdoła go uratować od losu zwierząt. Przekonanie, że ziemia jest „padołem płaczu” mogło być podtrzymywane przez silnych i bogatych, bo przyczyniało się do rezygnacji uciśnionych, ale jeżeli chrześcijaństwo wywierało wpływ łagodzący na barbarzyńskie ludy europejskie, to przede wszystkim dzięki obrazom *Totentanz*, jaki jednoczy najniższych i najwyższych, chłopów i królów. O tym wpływie łagodzącym zbyt często się zapomina i dzisiejsi turyści, zwiedzając francuskie gotyckie kościoły, z niedowierzaniem przyjmują wiadomość, że budowano je przestrzegając ośmiogodzinnego dnia pracy, z dwoma dniami w tygodniu, sobotą i niedzielą, na odpoczynek. Przez wiele wieków Chrystus był kimś zupełnie innym niż filantropowie czy rewolucjoniści: bogocześnikiem, przeciwstawionym porządkowi Natury i łamiącym ten porządek przez swoje zmartwychwstanie — „bo mądrością ciała jest śmierć”, jak powiada apostoł Paweł. Stan umysłów pół-chrześcijań i po-chrześcijań jest mocno enigmatyczny, zważywszy, że niewiara w bogocześniczeństwo Chrystusa zmusza ich, mocą jakiejś fatalności, do ubóstwienia dobrej Natury i przeciwstawienia dobrego człowieka naturalnego represjom cywilizacji¹.

Pewien amerykański radykał-aktywista (i b. bogaty) opowiadał raz przy obiedzie o swoim ulubionym sporcie, *skindiving*, i o tym co zwykle czuje kiedy pływa pod wodą wśród mnóstwa morskich stworów. Była to baśń o elfach, z tym że miejsce żartobliwych, przyjacielskich wobec siebie nawzajem i wobec człowieka elfów zajmowały w niej ryby różnych wielkości i barw. Nikomu bodaj ze słuchaczy nie przyszło na myśl, że człowiek ten jest pomieszany. Jego nienawiść do społeczeństwa istniejącego i jego tęsknota do społeczeństwa idealnego były tak silne, że oszukiwał siebie przyozdabiając nagą walkę zwierząt i roślin o przetrwanie swoimi hasłami powszechnej miłości i pokoju. Ponieważ ludzka cywilizacja jest zła, Natura *musi* być dobra, bo gdzie indziej jeżeli nie w przyszłym hipotetycznym powrocie do stanu naturalnego szukać pociechy, obietnicy ziemskiego rajy?

Wkrótce po śmierci Sołowiewa zaczął się dla ludzkości cykl doświadczeń tak zaprzeczających pojęciom jakich próbował trzymać się wiek dziewiętnasty, że wyobrażenia, zmagając się z przerażającą, nienazwaną rzeczywistością, zwracała się ku o wiele starszym, utrwalonym w folklorze, archetypom. Diabeł, już zdawałoby się wygnany w domenę wilkołaków i rusałek, okazał się nagle osobistością bynajmniej nie śmieszną. Tortury, jakim są poddawani potępienicy na płótnach Hieronima Boscha, przestały być

przywidzeniem chorej psychiki, skoro ludzie poddawali takim samym torturom miliony ludzi. Przypomniano też sobie, że w ikonografii średniowiecznej atrybutem diabła jest piec krematoryjny. Skąd więc, na skutek jakiego paradoksu, dwudziesty pierwszy wiek Sołowiewa, trochę za mało krwiożerczy jak na nasze makabryczne przyzwyczajenia, nie wydaje się nam całkiem obcy? Z dwóch tradycji chrześcijańskich dotyczących Antychrysta, jedna przedstawia go jako wcielenie czystego, jawnie czynionego zła, druga jako kłamcę, udającego dobroć i pokorę, wilka w skórze jagnięcia. Sołowiew, podobnie jak przed nim Luca Signorelli, poszedł za tą drugą, modyfikując ją na swój sposób, a wyłącznie jego własnym pomysłem jest Antychryst, który chce dobra i czyni wiele dobra, łudząc nie tylko innych ale także samego siebie. Otóż, choć nie potrafimy sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika naszej teraźniejszości, bo tkwimy w niej i ona w nas, jej najbardziej może niespodziewanym rysem jest dobrowolna ślepota, odmowa historycznego doświadczenia, jakby człowiek o swoim demonizmie dowiedział się za dużo i nie mógł tego znieść. Czy działa tutaj wyjaławianie religii z jej pierwiastków tragicznych, czego przykładem w *Trzech rozmowach* jest Tołstoj (jeżeli kto woli, Książ), czy działają również inne przyczyny, masowe rozmiary w krajach Zachodu przybiera ruch nowych Adamitów, którzy zalecają powrót do pierwotnej nagości i pierwotnej niewinności. Imperator narodów Ziemi może na zawsze pozostać w sferze pisarskiej fantazji. Gdyby jednak taki nadczłowiek wystąpił, przyobiecując koniec alienacji, miłość i pokój, bądźmy pewni, że miliony śmiertelnych, obojętne na prawdę i nieprawdę, oddałyby mu cześć boską.

Czesław MIŁOSZ

1. Pisze się o tym dzisiaj w języku zapożyczonym od Freuda, co nie zmienia faktu, że język ten maskuje problemy i opcje teologiczne.

Zawiłości i uproszczenia(3)

Dziennik jest dogodną formą pisania. Nie wiąże żaden porządek prócz daty, nie krępuje żaden układ prócz składni. Dygresje, które szpecą powieść i komplikują esej są w dzienniku cnotą, bo stwarzają pozory wiarygodności. Wiemy, marksizmowi na przekór, że życie nie układa się w logiczną konsekwencję przyczyn i skutków, słońca i cienia. Życie się zaczyna i życie się kończy ale sprawy życia są ciągle. Powieść i esej muszą mieć logiczną budowę. Początek, konsekwentny przebieg i koniec a całość musi się mieścić w konwencjonalnych ramach. Jeśli tego nie ma, są złą powieścią lub złym esejem. Dlatego nie można budować powieści z wszystkiego co się mieści w jednym dniu człowieka. Nawet Joyce nie opowiedział wszystkiego co się przydarzyło Bloomowi w jego dublińskiej Odysei. To co człowiek robi i mówi, wiąże się z tym co myśli tylko luźno i ogólnikowo. Człowiek robi co mu każą codzienna rutyna, nawyki, tradycja, impulsy, ale jego myśli biegną naprzód i wstecz, w przyszłość i w przeszłość, w prawdę i w fantazję, w niezbite fakty, w marzenia senne i marzenia na jawie, a mówi wreszcie to co go nauczyło mówić otoczenie, dzieciństwo, cała przeszłość języka ojczystego, zwroty słów i zwroty myśli jakie nabył ucząc się języków obcych. Dziennik omija to wszystko. Piszę o czym chce, w porządku w jakim chce. Fikcja, że dziennik nie jest przeznaczony do druku, pozwala nie liczyć się z kosztami, ramami, czytelnikiem. Koniec końców zawsze można wyciąć, okroić, „przygotować do druku”. Dziennik wyraża więc, lub udaje że wyraża tylko autora i nie musi tolerować balastu innych postaci lub akcji. Autor jest taki, jakim chce aby go widziano. Jeśli jest znany lub osławiony jego reputacja wlecze się za nim i uzupełnia dziennik. Jeśli ma na sprzedaż filozofię lub widzimy się wystarczy jeśli będzie do nich nawracał przy byle okazji, aby stworzyć pozory ładu i konstrukcji. Dziennik może także być obiektywny, gdy mówi o innych

i intymnie osobisty, gdy autor mówi o sobie. To wszystko bardzo mi odpowiada i przyznaję, że „Zawiłości i Uproszczenia” są pisane jak dziennik. Składają się na nie myśli i szkice zbierane od 30 lat, wybrane z materiału jaki się zachował, przebrane i ułożone tak, aby dać osobisty punkt widzenia. A mój punkt widzenia zakreśla łuk w którym mieszczą się humanistyka i scjentyfika, agnostycyzm religijny i polityczny, horyzont w którym Polska daleka, pamiętana przez mgłę lat, zachodzi za inną Polskę, którą znam z propagandy krajowej i emigracyjnej oraz za Kanadę której teraźniejszość obserwuję ale której przeszłości po 25 latach wciąż jeszcze nie rozumiem. Powinienem także w tym miejscu wytłumaczyć mój polityczny daltonizm. Nie widzę polityki barwionej na czarno, na czerwono, na kolory sztandarów narodowych, rasowych, ideologicznych. Nie znaczy to, że jestem nieczuły na krzywdę lub, że nie ponosi mnie przywiązanie do kraju, wiary lub ideologii, lecz wierzę, że podobnie jak człowiek jest wypadkową swego dziedzictwa genetycznego i środowiska w którym żyje, tak rzeczywistość polityczna jest wynikiem najrozmaitszych wpływów. Niektórzy nazwą to liberalizmem inni postawą scjentyficzną. Osobiście nie lubię sztyldów bo są uproszczeniem. Wierzę z C. P. Snow'em we współzależność „Dwu Kultur”: humanistycznej i scjentyficznej oraz w przyszłość, w której ich symbioza może wydać lepszego człowieka i lepsze warunki bytu.

Jako czytelnik chciałbym aby publicystyka emigracji wybrnęła nareszcie z lat 1920-1945 i wpłynęła do współczesności. Żujemy niestety wciąż jeszcze starą przedwrześniową i wojenną paszę. „Kto to jest Rydz-Śmigły?” — zapytał mnie młody 20-letni Polak urodzony w Kanadzie. Nie wiedział nawet kim był Piłsudski, mimo że świetnie mówi po polsku i że spędził niedawno miesiąc w Polsce. Sprawy które nas interesują są zacie i ciekawe ale bezpowrotne jak niegdysiejsze śniegi. Nasze pokolenie wychowało się na humanistyce i na politycznej rzeczywistości Polski między wojnami i trudno nam zmienić krok. Mówimy po polsku, myślimy po polsku, czytamy po polsku ale nasze otoczenie mówi, myśli i czyta po francusku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku. Nowe sprawy polityczne, scjentyficzne, filozoficzne, dochodzą nas w obcych językach, nie są więc poufale. Młodzież kształcona na obczyźnie nie ma z nami wspólnego języka i nie komunikuje nam swych problemów. Moje pokolenie chowało się na Sienkiewiczu. Pozytywizm Prusa, Orzeszkowej, Świętochowskiego nie zagrał na polskiej wyobraźni i nie jest dziś dla nas nawet dobrze rozumianą historią. Może dlatego rewolucja scjentyficzna minęła nas bokiem. Emigracja jej nie rozumie a w kraju klimat nie sprzyja. Sprawy współczesne znamy tylko z prasy obcojęzycznej i nie umiemy ich powiązać z rzeczywistością naszego życia. A rzeczywistość życia w 1970 roku krąży niepokojąco wokół problemów eksplozji ludnościowej, zanieczyszczenia ziemi i atmosfery, eksplozji scjen-

tyficznej i wyobcowania młodzieży. Jak wiele miejsca poświęciła temu *Kultura*?

Scjentyfika i technologia są pod obstrzałem nowoczesnych Luddytów i podobnie jak w przeszłości jest to wynikiem pomieszczenia pojęć. Gdy domagamy się ukrócenia scjentyficznych badań i technologicznego postępu w imię słusznych często postulatów moralnych, społecznych, nawet scjentyficznych, nie myślimy o trudnościach politycznych, które są tak wielkie, że paraliżują jakąkolwiek akcję. Przypisujemy scjentyfice większe wpływy polityczne a polityce większą wiedzę scjentyficzną niż posiadają.

Wiele odkryć naukowych nie zahacza bezpośrednio lub natychmiast o praktyczną użyteczność. Lord Rutherford był pewien w 1930, że rozszczepienie atomu nie może mieć jakiegokolwiek praktycznego zastosowania. Nie można by zresztą nawet wówczas przeszkodzić jego pracy naukowej, bo jak można było skasować fizykę w „heroicznym, elizabetańskim wieku fizyki”. Politycznie scjentyfika wprowadzie wówczas jeszcze się nie liczyła, ale liczył się Oxford i Cambridge. Współcześnie podobny dylemat istnieje w zadziwiających odkryciach biologii molekularnej. Podstawowa wiedza o budowie i działaniu DNA RNA i enzymów jest czysto teoretyczna ale możliwy wpływ tych odkryć na planową zmianę osobowości człowieka i nawet całych grup ludzkich, jest przerażająco widoczny. Możliwości złego są wielkie, ale jak im przeszkodzić? To są polityczne decyzje, ale jak można zatrzymać politycznie postęp biochemii której rozgałęzienia sięgają w każdą niemal naukową dyscyplinę i w tysiące dobroczynnych zastosowań. Zburzenie paru laboratoriów lub nawet egzekucja paru scjentyistów niczego nie zmienia, tak jak rozwalenie paru maszyn tkackich nie opanowało „zła” przeciw któremu buntowali się Luddyci.

Jestem zmęczony! Osobisty początek tych nieosobistych uwag nie tłumaczy niczego prócz rozczarowania. Nie wierzę na słowo nikomu — gazetom, politykom, nawet scjentyistom. Ponad 60 lat wojen, tułaczki, kryzysów nastawiło mnie sceptycznie, niemal cynicznie wobec wszystkich wypowiedzi *ex cathedra*. Doszukuję się w nich niedopowiedzeń, niekompetencji, nieuczciwości intelektualnej. Żądam dowodów! Moja pierwsza reakcja na alarmy ekologiczne była więc charakterystycznie negatywna mimo, że zapoczątkowała je Rachel Carson, świetna pisarka i przyrodniczka którą podziwiałem od przeczytania jej książki *The Sea Around Us* („Morze nas otacza”) w 1951. Rachel Carson idealnie łączy „dwie kultury”, a to daje w moich oczach patent na wiarygodność. W 1964 wydała inną książkę: *The Silent Spring* („Milcząca Wiosna”), w której z dużą werwą polemiczną zaatakowała nadużywanie chemicznych środków owadobójczych, głównie DDT, które jej zdaniem były szkodliwe także dla ludzi, zwierząt, pta-

ków i ryb. DDT (*Dwuchloro-Dwufenylo-Trójchlorometan*) złożono chemicznie już w 1874, ale jego właściwości owadobójcze odkryto dopiero w 1939. DDT znalazło z miejsca entuzjastyczną aprobatę a jego odkrywca, Paul Herman Müller, otrzymał nagrodę Nobla w 1948. Pierwsze sukcesy zarejestrowano zaraz po wojnie, gdy trzeba było odwyszyć uciekinierów wojennych, powracających jeńców, żołnierzy, tłumy wykorzenionej ludzkości. DDT przyczyniło się także do wyplenienia malarii, śpiączki i innych chorób zakaźnych przenoszonych przez owady. Przez długi czas przypisywano środkom owadobójczym także zasługę za fenomenalny wzrost wydajności rolniczej, ale dzisiaj wiemy, że ten wzrost zaczął się około 1930, był więc dużo wcześniejszy niż DDT i był wynikiem intensywnej gospodarki rolnej, nawozów sztucznych, sztucznej irygacji i ulepszonych nasieniectwa. Atak pani Carson był więc zaskakujący. Ja sam, choć byłem pod urokiem jej niewątpliwego talentu, i choć wiedziałem, że jej referencje naukowe były nieposzlakowane, przyjąłem *The Silent Spring* z ostrożnym niedowiarstwem. Przemysł środków owadobójczych natychmiast zmobilizował obronę a nawet koledy scjentyści podzielili się na dwa obozy. Mój przyjaciel, znakomity entomolog, zgryźliwie zarzucił p. Carson sensacyjność i babską przesadę i jakoś nie zauważył, że sensacyjność jej ataku była w rzeczy samej wynikiem reklamy handlowej, która wyolbrzymała zasługi DDT. Atak na tak przereklamowane dobrodziejstwa musiał odbić się rykoszetem sensacji. Rachel Carson miała jednak rację. Jej fakty były ścisłe, jej troska uzasadniona. Po jej śmierci walkę podjęli inni. Dzisiaj już nie tylko pojedyncze środki chemiczne jak DDT, ale cały problem zachwianej równowagi ekologicznej dostał się pod „mędrca szkiełko i oko”. Rachel Carson przeraziła „cisza wiosny” w której zabrakło ptaków wytrutych przez DDT, inni entuzjaści zatroszczyli się o wymierające żurawie i inne zanikające gatunki ziemskiej fauny. Oni także dostali się pod obstrzał szyderstwa. „Nie czas żałować róż...”. Cóż znaczy przetrwanie żurawia gdy Polska płonie. A jeśli ptaki nie świergocą, to co? Kogo to obchodzi? Obchodzi niestety nas wszystkich. Nie tylko stare panny i paniusie kanadyjskiej prowincji, roztargnionych niemieckich profesorów i „zwariowanych przyrodników”, jak nazywaliśmy kolegów Wojtusiaka i Mikulskiego. Prof. Dr Józef Mikulski jest dziś poważanym ekologiem i nie był nigdy ani roztargniony ani „zwariowany”, a ekologia, nauka nie nowa, choć parę lat temu nieznaną politykom i dziennikarzom, znalazła się na świeczniku sensacji i wydaje się sprawą ważniejszą niż Wietnam, konflikt na Bliskim Wschodzie lub zgwałcenie Czechosłowacji. Nie czas żałować ludzi, gdy płonie kula ziemską.

Ekologia, z greckiego *Oikos* (dom) i *logos* (słowo) została nazwana dokładnie sto lat temu przez niemieckiego zoologa Heckela i zajmuje się częścią biologii, która bada wzajemne stosunki zachodzące między żywymi organizmami a środowis-

kiem w którym żyją. Upraszczając to przykładem: na łące żyją trawy, chwasty, owady, ptaki, drobnoustroje gleby — bakterie i pleśń — oraz krowy we wzajemnej współzależności. Ich życie i przetrwanie zależy jednak także od środowiska: atmosfery, klimatu, składników mineralnych i organicznych gleby, słońca i fotosyntezy, która czerpie ze słońca swą energię, no i było nie było od gospodarza. Krowy żrą trawę; chwasty i trawa konkurują ze sobą o pożywienie, które czerpią z gleby; krowy używiają glebę gnojem; słońce, tlen, azot, i dwutlenek węgla przyczyniają się do rozwoju roślin i wszystkich innych istot żyjących na łące. Jeśli gospodarz wypuści zbyt wiele krów mogą one wypaść i wyjąłowić łąkę z niewymierną szkodą dla krów, gospodarza, roślin, ptaków, owadów, nawet bakterii. Ziemia jest podobnym ekosystemem, ale większym i bardziej złożonym. Tym większa jest więc trudność badania i rozumienia wszystkich współzależności. Ziemia, mimo swego ogromu, jest ograniczona w powierzchni i zasobach. Sto lat temu istniały nieodkryte połacie ziemi nie-tnięte stopą ludzką; wyspy bezludne, arktyska i antarktyda — białe plamy na mapach. Dziś człowiek jest wszędzie. Wydawało się także, że zasobów ziemskich jest pod dostatkiem do końca świata: węgla, nafty, metali, pożywienia, energii. Gdy więc słyszmy, że nasze zasoby się kończą, że nawet tlen atmosfery może się wypalić przed końcem stulecia, brzmi to jak głupawy żart, kurierkowa sensacja. Gdy przyjrzeć się temu jednak z bliska, fakty są co najmniej niepokojące.



Wszystkie wysoko uprzemysłowione kraje duszą się w nadmiarze śmieci. Śmietniska miast pełne są nierdzewnych puszek aluminiowych, niezniszczalnych naczyń plastikowych i szklanych, papieru i tektury, żelaza, którego nie warto oddać na szmelc. Co roku Amerykanie wyrzucają 7 milionów nieużytecznych samochodów, 100 milionów opon, 20 milionów ton papieru, 28 bilionów flaszek, 48 bilionów puszek. Fabryki amerykańskie wymiatają 165 milionów ton śmieci a ich kominy wypuszczają w atmosferę 170 milionów ton dymu. A sprowadzając te statystyki do lepiej zrozumiałych rozmiarów: w ciągu 6 miesięcy Expo 1970 w Tokyo, wywieziono z obszaru wystawy 19.700 ton śmieci. (Powyższe cyfry podaje za *Time Magazine*).

Miasto Los Angeles rozszerza się co roku o 70 mil kwadratowych kosztem uprawnej i bardzo żyznej ziemi. W Europie, waszej kulturalnej Europie, która z przekąsem patrzy na amerykańskiego nuworisza, sprawy nie wyglądają lepiej. Jeziora szwajcarskie są tak zanieczyszczone odchodami przemysłowymi, że niezdrowo się w nich kąpać, fiordy norweskie cuchną, Ren nazywa się — nie od dzisiaj — „kloaką Europy” i postuchajcie co Holendrzy mówią o Renie. Czarny śnieg z zagłębia Ruhry opada w Szwecji. W Rosji Sowieckiej nie jest lepiej. Jezioro Bajkał na granicy Mongolii, największa masa słodkiej wody na świecie, było tak zanieczyszczone, że trzeba było skoncentrowanego wysiłku rzą-

dowego, aby je jako tako oczyścić z siarczanów i innych odpadków przemysłowych. Podobne zanieczyszczenie Wołgi bardzo niepokoi sowieckich ekologów.

Nawet niewyczerpane, zdawałoby się, zasoby atmosfery są zagrożone. Atmosfera pra-ziemi nie miała tlenu. Tlen był związany w tlenki metalowe ziemi, w wodę, dwutlenek węgla. Dopiero gdy biopoeza weszła w końcową, życiotwórczą fazę, rośliny zaczęły fotosyntezą wytwarzać tlen. Cały tlen ziemskiej atmosfery powstał wówczas fotosyntezą. Aby utrzymać życie na ziemi biosfera musi mieć 20 % tlenu w powietrzu, i świat roślinny uzupełniał zużywany tlen do tych krytycznych 20 %. Jeśliby zabrakło roślin, tlen powoli zniknąłby z biosfery i życie jakie znamy nie byłoby możliwe. Ta równowaga istniała przez setki milionów lat. Ostatnich 50 lat zmieniło wszystko. Masowe wypalanie węgla i ropy naftowej zużywa tlen, który przyroda stworzyła fotosyntezą w zaraniu świata. Równocześnie rabunkowa gospodarka rolna, erozja i salinacja, niszczą świat roślinny wielkich połaci ziemi, a aktywność fotosyntetyczna planktonów które wytwarzają w morzach i oceanach wielką proporcję tlenu, jest poważnie zahamowana przez DDT. A skoro niebezpieczne ilości DDT znaleziono nawet w pingwinach antarktydy i gdy mleko karmiących matek zawiera 6 razy więcej DDT niż amerykańskie ustawodawstwo zezwala jeśli idzie o mleko przeznaczane na sprzedaż, także i to źródło tlenu prawdopodobnie się wyczerpuje.

Zanieczyszczenie ziemi, wód i atmosfery przez człowieka stworzyło szybkie i radykalne zmiany ekologiczne, a w wieku eksplozji scjentyficznej wiedza o tych sprawach szybko wzrasta. To spowodowało historyczną panikę, która nagle objęła wszystkie kraje i przenika wszystkie kurtyny. To co wiemy wygląda groźnie i uzasadnia panikę, ale wiemy jak dotąd tylko bardzo mało zarówno o zanieczyszczeniu ziemi jak o środkach przeciwdziałania. Geniusz technologiczny człowieka jest chyba w stanie uporać się z tym wszystkim. Trudność polega na uzgodnieniu politycznym tego co, gdzie i kiedy należy zrobić. Znając niedość polityki i bałamutność polityków, perspektywy nie wyglądają różowo.

Megalomania ludzka wierzy, że Bóg stworzył ziemię dla człowieka i na jego wyłączny użytek. Wiemy jednak, że człowiek jest tylko częścią przyrody i że jest ekologicznie równie mało ważny jak krowy w ekosystemie łąki. Gdy krowy wypaszą łąkę one pierwsze wymrą a nowe życie, które przyjdzie, nie musi być ani krowie ani roślinne.



Garstka uczonych scjentyistów kieruje dziś naszym przeznaczeniem i kieruje nim bez demokratycznej kontroli. Niezrozumiałe zawiłości fizyki nuklearnej i biologii molekularnej kształtują szybciej i bardziej radykalnie historię ludzkości niż tysiąclecia poprzedniego rozwoju kulturalnego. Wielka masa ludzkości, „milcząca większość” jest jednak obojętna, oporna, wręcz wroga.

Ludzie nie rozumieją scjentyfiki a jej filozofia ich nie interesuje, choć przyjmują jej technologię gdy służy ich wojnom lub luksusom. Taka dwulicowość nie może przetrwać. Ci co korzystają ze scjentyfiki powinni rozumieć implikacje scjentyficznego postępu. Scjentyści nauczyli nas jak rozszczepiać atom, politycy i wojskowi zdecydowali, że najlepszym użytkiem tego odkrycia jest bomba, ale w chwili decyzji nie wiedzieli nawet o opadach radioaktywnych. Dzisiaj takie zaniedbanie byłoby chyba niemożliwe, ale inne zaniedbania można sobie łatwo wyobrazić. Niedokształcenie scjentyficzne polityków jest nagminne i ma się do braku wykształcenia jak półinteligencja do chłopskiego rozumu. Czasami lepiej nie wiedzieć niż znać po łebkach. W czasach gdy technologia decyduje o politycznej sile a scjentyfika o technologicznym postępie jest to szczególnie znaczące.

Dolina Nilu była od tysięcy lat podporą gospodarczą Egiptu i źródłem wielkości jego historii. Dolina Nilu zawdzięcza swą urodzajność periodycznym wylewom. Tysiące lat temu istniał już w Egipcie skomplikowany system irygacji, który spiętrzając zaporami wylewające wody kierował je kanałami na wysuszone obszary Egiptu i Sudanu. W 1902 zbudowano zaporę w Assuanie celem umożliwienia całorocznej irygacji i mniej więcej równocześnie przerzucono akcent rolnictwa z pólnożywnościowych na plony gotówkowe, głównie bawełnę. To spowodowało wzrost salinacji gleby i co zatem idzie, jej powolne wyjaławianie. Nowa, wysoka zapora assuańska umożliwi irygację — i prawdopodobnie jałowienie — nowego miliona akrów, a to paradoksalnie, może wykończyć Egipt bardziej gruntownie niż wojna sześciodniowa. Scjentyfika uczy nas technologii, polityka ją stosuje. Ponieważ zna ją tylko z trzeciej ręki, coś dziwnego, że tak często trafia kulą w płot. Czy można jednak pozostawić polityczną decyzję scjentydom? Scjentyści są tylko ludźmi. Ich wiedza zbrojna we władzę dałaby im zbyt wielką siłę, a 1984 jest zbyt blisko.



Politykę robią ludzie starzy. Współczesna scjentyfika, jak mistrzostwa sportowe, jest domeną młodych. Pracowałem niedawno z grupą 25 do 35-letnich scjentystów. Moje doświadczenie ledwo pozwalało mi dotrzymać im scjentyficznego kroku a ich szczegółowa wiedza i znajomość zawiłej technologii naukowej ściągnęły mnie szybko z wyżyny mej zarozumiałości. Zdałem sobie sprawę, że młodzi nie tylko umieją więcej ale że ja już nigdy nie potrafię doścignąć ich mistrzostwa. Brak mi nie tylko prężności umysłowej ale nawet podstawowych wiadomości, które nie istniały gdy ja miałem 25 lat. Bardziej nieoczekiwane od mych straconych iluzji było jednak przyznanie się mych 35-letnich kolegów do podobnego uczucia mniejszej wartości wobec 25-letnich scjentystów. Całe wychowanie szkolne i pozaszkolne jest tak różne, że dziw iż konflikt między młodymi a starymi nie jest groźniejszy i bardziej gwałtowny. *Curriculum* scjentyficzne od przedszkola daje młodym inne rozumienie matematyki i nauk ścisłych

niż to, na którym nas chowano, a radio, telewizja, gramofon stworzyły inny wymiar wychowania pozaszkolnego. Wszystkie inne dyscypliny naukowe wykazują podobne zmiany. Młodzi podchodzą inaczej do scjentyfiki, humanistyki, nawet do polityki. Mimo to politykę robią ludzie starzy. Tu leży niewątpliwie źródło alienacji młodych. Miarodajne wartości mego pokolenia dla młodych się nie liczą. To nie jest zresztą nic nowego. Konflikt ojców i synów jest stary jak świat. Nowy jest tylko fakt, że 30 lat jednego pokolenia skurczyło się współcześnie do dziesięciu może nawet pięciu. Nowa jest także świadomość, że ten konflikt jest ściśle uchwytny. Już nie ogólnikowe żale i mgliste niezadowolenia — „Weltschmerze” i „chandra unyńska” — ale precyzyjne stwierdzenie, że scjentyfika jest lepiej rozumiana przez młodych i że autorytet starszeństwa i doświadczenia jest samoułudą. Mimo to, po tej i tamtej stronie wszystkich politycznych kurtyn, przy władzy są ludzie starzy. Oni dyktują wszystkim co i jak. Dekretami ustalają sztukę, literaturę, nawet scjentyfikę. Dawniej, gdy 30 lat pokolenia dawało sporo czasu na zmiany, ewolucja była właściwą postawą. 5 lat współczesnego pokolenia musi się spieszyć. Przez krótką chwilę J.F.K., zdawało się, że przeciąg młodości przewietrzy „korytarze władzy”. Strzały które trafiły obu Kennedych znowu oddzieliły politykę od scjentyfiki, młodych od starych.

Żyjemy w przyspieszonym tempie postępu. Eksplozja scjentyficzna, jak eksplozja praświata, pędzi nas w przestrzeń, z której myśl nie umie sobie wyobrazić powrotu. Ludzie prości, których korzenie myślowe tkwią wciąż jeszcze w teologii, nie mogą tego widzieć i nie rozumieją konsekwencji tych spraw. *Historia est magistra vitae* ludzi ich frazesem tak niewspółczesnym, jak proca przy sputniku. Przeszłość gubi się w niezrozumiałościach zacofania. Nawet scjentyści nie żyją zupełnie w teraźniejszości. Wychowani przez rodziców, którzy byli ludźmi wczoraj, w atmosferze wiktoriańskich przesądów i zaściankowego zacofania, widzą detale scjentyfiki ale zbyt często nie pojmują implikacji całokształtu. Widzą drzewa a nie widzą lasu. Widzą gwiazdy a nie widzą mgławic. Widzą przyczynę i skutek a nie rozumieją logiki indeterminizmu. Widzą hemofilię, ale możliwość manipulacji genetycznych przerasta zasięg ich wyobraźni. Jak komputery motywowane tylko programowaniem i sprzężeniem zwrotnym, żyją w świecie który wie jak, ale nie wie dlaczego. Scjentyści także mogą być ludźmi prostymi. A upraszczając to do czarnego i białego: humanistyka umie wszystko wyczuć a nie rozumie niczego, a scjentyfika wierzy w świat, w którym wszystko można rozumieć a niczego nie trzeba wyczuwać. Prosta teza „dwu kultur” nie przemawia ani do jednych ani do drugich. Dr Leavis nie ma cierpliwości dla scjentyficznych uproszczeń, a humanistyczne zawiłości są w oczach filozofów analitycznych językowym bałamuctwem. Gdzieś jednak prawda istnieje. Gdzie?

Ojczyzna

Handlarze bydła byli u Żydów w pogardzie. Uważano ich za gburów i analfabetów nie różniących się niczym od chłopów, czyli po prostu chamów. Mój dziadek nigdy nie wpuścił handlarza bydła do domu. Do obory tak, ale nigdy do domu. Moje ciotki uciekały, gdy Biurek i jego bracia przybywali do wsi, a dziadek zamykał je w domu.

Dziadek dzielił ludzi na ludzi prawdziwych i chamów. Wiedział, że cham może człowieka obrazić, a człowiek chamowi nie może zrobić nic. Wszystko co człowiek może, to oddzielić się od chama. Przede wszystkim drzwiami. I to właśnie mój dziadek całe życie robił. I w tym celu zbierał pieniądze. Im więcej zarobił, tym bardziej mógł się zamknąć w domu. Słabością dziadka było studiowanie ksiąg, a były to księgi o sensie życia człowieka i jego stosunkach z Bogiem. Im więcej zarobił, tym więcej miał na to czasu. Na studiowanie talmudycznych ksiąg trzeba mieć dużo czasu. Pieniądz to czas, mawiał mój dziadek. Dlatego twardy był w interesach. A cham myślał, że dziadek był chciwy. Czy takie rzeczy może zrozumieć cham?

— Twój dziadek to był mądry człowiek — mówił Biurek.
— On z byle kim nie rozmawiał.

I Biurek nie miał za złe dziadkowi, że go nigdy nie wpuścił do domu. Nie miał też za złe ciotkom, że uciekały przed nim i jego braćmi.

— Im nie pasowało się z nami zadawać — mówił z powagą i przekonaniem. I mówił tak nie dlatego, że ani mój dziadek, ani moje ciotki, ani jego bracia nie żyli. I nie dla pojednania ze zmarłymi. Biurek nie uważał, że zmarłym trzeba przebaczać. Tylko dlatego, że nie żyją? Czym są zmarli lepsi od żywych? Nie przebaczył krzywd, jakich doznał od swojego teścia, tylko dlatego, że ożenił się z jego córką.

— Umrzeć — mówił Biurek — potrafi każdy. Cała sztuka, żeby przedtem, zanim się umrze postępować jak człowiek.

Biurek uważał, że dziadek postępował właściwie i on sam również by tak postępował, gdyby był na miejscu dziadka. Człowiek powinien się bronić jak może. To, że dziadek w końcu nie obronił się nie miało w tym wypadku znaczenia. Dziadek nie obronił ani siebie, ani moich ciotek przed chamstwem jakie ich spotkało, bo było to chamstwo większe niż człowiek mógł sobie wyobrazić, a tym bardziej obronić się. Przed tego rodzaju chamstwem nie można zasłonić się drzwiami. Człowiek broni się tylko przed takim chamstwem, przed jakim się może obronić, utrzymywał Biurek. A póki może, to jest to jego powinność. Biurek rozumiał to. Bo Biurek nie był chamem. Tylko mój dziadek o tym nie wiedział. Skąd miał wiedzieć, jeśli nigdy z nim nie rozmawiał i nigdy go nie wpuścił do domu?

Po wojnie Biurek wrócił do handlu krowami. A że nie musiał już dbać o opinię Żydów, więc włączył do handlu i świnię. Otworzył nawet masarnię na Pradze. Ale państwo, które też przecież jest kupcem, zobaczyło że Biurek robi dobre interesy i pozazdrościło mu. Masarnie zostały upaństwowione, upaństwowiono też handel bydłem, jednym słowem mięso stało się własnością państwową, a handlarzem bydła — państwo. Państwo na tym nie wyszło wcale tak dobrze jak się spodziewało, jeszcze gorzej wyszli konsumenci, najgorzej zaś mięso. Dobrze wyszedł tylko Biurek, który zajął się końmi.

Biurek znał się na koniach nie gorzej niż na krowach, bo zawsze handlował na boku końmi pośrednicząc pomiędzy chłopami a Cyganami i bardzo lubił to robić. Tym razem nie chodziło jednak o sam handel. Biurek wynajął od urzędu kwaterunkowego zburzony dom na Kawęczyńskiej razem z rozległym podwórzem, które było zawałone gruzami. Przy pomocy parobków z Makówka, Drupia, Sołk oraz innych wiosek z okolic Dobrego, Biurek usunął gruzy, załatał gdzieś tam ściany, położył kawałki dachu tam, gdzie prześwitywało niebo i urządził w budynku stajnię. Ruina pozostała ruiną, ale pod dachem i murowana. Czego jeszcze potrzeba koniom?

Stajnie mogły pomieścić dwa tuziny koni. Na podwórzu było dość miejsca na wozy. Wozy zaś były solidne na samochodowych oponach wojskowego pochodzenia, jeśli nie wręcz milicyjnego. Parobcy z Drupia, Sołk i Makówka zaprotegowani przez Śliwę, nowego teścia Biurka, karmili konie, czyścili, reperowali i smarowali wozy, którymi powozili, i z własnymi łopatami jeździli na budowy. Ładowali wozy i wyładowywali, wozili ziemię, cement i cegłę i pobierali z kasy państwowej zapłatę za konia, wóz

i łopatę, z czego to co przypadło na wóz i za konia oddawali Biumkowi. Jeśli na budowie potrzeba było więcej wozów i koni Biumek sprowadzał chłopów z ich własnymi wozami i końmi biorąc od nich tylko za stajnię, w której mieszkali razem z końmi. Nieraz całymi tygodniami. A gdzie mieli iść, zwłaszcza zimą? A nawet latem, mieli gnać konie tyle kilometrów do domu? W stajni stał żelazny piecyk, przy nim grzali się, gotowali, jedli, pili taniej niż w knajpie i przyprowadzali sobie na noc dziewczyny. A jak się przy tym czasem pobili to bez udziału milicji — jak w domu. Chłopi przywozili ze wsi obrok dla Biumka koni, świeży i tani, a on im używane i drogie opony od wojskowych i milicyjnych szoferów, które dostawał przez Słonia. Para opon kosztowała tyle, ile parobek zarabiał na miesiąc.

Biumek zresztą wcale nie przestał czynić państwu konkurencji, jeśli idzie o mięso. Zwłaszcza że nie była to trudna konkurencja. Przez Biumka znajomi chłopci zbywali mięso i skórę. Skórę się szaflikowało na Pradze, a potem odbierał ją Słoń, który miał warsztat szewski i sklep z obuwiem w Łodzi. Słoń kupował jednak znacznie więcej niż sam potrzebował, a resztę przekazywał innym łódzkim szwcom, którzy z wyjątkiem wódki niczego bardziej nie łaknęli niż skóry. W zamian Słoń i jego szewcy przekazywali na wieś nierejestrowane w obrocie buty z cholewami, których w sklepach nie było — z powodu braku skóry. Buty na wieś sły oczywiście również przez Biumka.

Biumek dostarczał więc miastu transportu, żywności, surowców i taniej siły roboczej, a na wieś niezbędnych artykułów przemysłowych dla chłopów. Spełniał zatem wszystkie te funkcje gospodarcze, z którymi w żaden sposób nie mogło sobie poradzić państwo. Kto chciał mógł u Biumka załatwiać również niektóre sprawy bankowe, jak kupno lub sprzedaż dolarów — co już zupełnie było nie do pomyślenia przez państwo.

Kiedy wprowadzona została ustawa, że wszystkie waluty obce mają iść do państwowego banku, a za ukrywanie dolarów groziła kara śmierci, Biumek je przekazał do Śliwy. Śliwa ukrył dolary w sąsięku. W tym samym, gdzie za Niemców ukrywał Biumka. Za ukrywanie dolarów groziła taka sama kara jak przedtem za ukrywanie Żyda, ale dolary siedziały cicho, nie wychodziły za potrzebą i nie trzeba im było nosić jedzenia. Było więc mało prawdopodobne, żeby ktoś się dowiedział, że Śliwa ukrywa dolary.

Przyszły zniwa. W czasie zniw najpierw Śliwa z synem pracowali u Kalinowskich, a potem Kalinowscy u Śliwy. W zniwa na wsi nie myśli się o dolarach tylko o zniwach. Więc Śliwa zapomniał o nich. Kiedy zaś sobie przypomniał, dolarów w sąsięku nie było. Boże, co wtedy się działo!

Śliwa przerzucił całą stodołę, przeszukał każdy snopek, ile ziarna przy tym się namarnowało! Ale dwa i pół tysiąca dolarów to nie było byle co. Cała gospodarka Śliwy nie więcej była warta. A w dodatku nie tylko o pieniądze chodziło. Bo gdyby to były Śliwy pieniądze, to w końcu powiedziałaby sobie: nieszczęście, klęska, spaliło się, trudno, dopust boży. I żeby to były obce pieniądze, cudze. Jeśli przez obcego człowiek zostanie posądzony, łatwiej z tym mu się pogodzić. Ale to były pieniądze zięcia, zięcia i rodzzonej córki.

Biumek oczywiście zapewnił Śliwę, że mu wierzy. Przecież zawsze mu wierzył. I wtedy gdy się u niego ukrywał i kiedy zenił się z jego córką i kiedy mu powierzał pieniądze. Więc dlaczego miałby mu teraz nie wierzyć? Dlatego, że stracił? Nie tyle już w swoim życiu stracił. I nie było to żadne „wierzę bo muszę, bo co mi przyjdzie z tego, że nie będę wierzył, przecież i tak nie odzyskam dolarów...”. I nie było to wyrachowanie w rodzaju „czy za dwa tysiące dolarów mam rozbić sobie rodzinę, jedną jaką teraz mam, a sojusznika zamienić na wroga? W dodatku chrześcijanina. Wiadomo jacy oni są wrażliwi, gdy zostaną dotknięci przez Żyda. Zwłaszcza sojusznicy...”. Nie było to tego rodzaju żydowskie myślenie. Biumek naprawdę Śliwie wierzył. W interesach jakie robił trzeba było umieć wierzyć. Wiedzieć komu wierzyć, kiedy, na ile. Biumek całe życie prowadził tego rodzaju interesy. Nawet w czasie okupacji, kiedy handlował o życie. A może zwłaszcza wtedy. Zdążył więc w sobie tę umiejętność wyrobić, o ile nie był to po prostu jego instykt. Bez tego nie byłby możliwy żaden z interesów, które w swoim życiu zrobił. Włącznie z przeżyciem wojny. Ale skąd Śliwa mógł wiedzieć, że Biumek mu naprawdę wierzył? Mały, chudy Śliwa jeszcze bardziej się skurczył i wychudł. Gdy przyjeżdżał za interesami do Warszawy, to nocował na dworcu, a do Biumka wstydził się wstąpić.

Kalinowscy zaś kupili sobie ogród z inspektami w Ożarowie koło Warszawy i zaczęli się szybko dorabiać na sałacie, pomidorach i kwiatach, które dostarczali zimą do warszawskich ambasad. Pewnego dnia doszło jednak do kłótni pomiędzy starą Kalinowską a dziećmi. Dzieci, to jest syn, synowa, córka i zięć zawiadomili Śliwę, że to Kalinowska wzięła z jego sąsięka dolary. Śliwa jak na skrzydłach poleciał na milicję. W tym czasie nie groziła już kara śmierci za dolary. Biumek zeznał przed prokuratorem, że pieniądze pochodziły od jego pierwszego teścia, który dał mu je na posag dla jego pierworodnej córki Eli. Pieniądze zostały w czasie wojny ukryte u Śliwy, a potem „zupełnie o nich zapomniano”. U Kalinowskich w czasie rewizji znaleziono trzysta dolarów w złocie, parę dwudziestorubłówek i jakieś przedwojen-

ne dynary, reszta była już upłynniona, a raczej uziemiona, bo kiedy Biumka adwokat zażądał, żeby Kalinowscy zwrócili równowartość wszystkich skradzionych dolarów w złotych polskich po pekaowskim kursie siedemdziesiąt dwa złote za dolara, Kalinowscy oświadczyli, że nie mogą, bo za wszystko co mieli kupili ziemię i żeby zapłacić będą ją musieli wpierv sprzedać. Nie było innej rady, jak czekać aż Kalinowscy sprzedadzą ziemię. Ale wtedy zaczął się pomiędzy Kalinowskimi a dziećmi nowy spór, o ziemię. Sprawa została oddana do sądu. Teraz adwokat Kalinowskich oświadczył, że ziemia nie może być sprzedana, dopóki nie zostanie zakończony spór sądowy pomiędzy Kalinowską a dziećmi. Wiedział, że według nowego prawa rolnego nie wolno wystawiać na licytację ziemi, której właściciel może wykazać się wieloletnim okresem posiadania jej i uprawiania. Dlatego grał na zwłokę.

Biunek nie umiał czytać ani pisać. Jak większość handlarzy bydła. Ale jak większość handlarzy bydła, umiał świetnie liczyć. Bez pomocy ołówka, w pamięci. Pamięć miał przez to wyostrzoną. Stała się ona u niego jakby zmysłem zastępczym, podobnie jak u człowieka ociemniałego słuch. Biunek nie prowadził ksiąg, całą buchalterię nosił w pamięci, a miało to nieocenioną zaletę, że trudno ją było sprawdzić.

Biunek łatwo sobie radził z urzędem finansowym, ale nie bał się też milicji ani UB. Nie ma takiego psa, którego nie można by było oturuć, mówił. Trzeba tylko mieć czym... A Biunek miał czym. Biunek nie bał się komunizmu i z politowaniem patrzył na tych, co przekupywali urząd paszportowy i uciekali. „Komunizm nie jest straszny, mówił, jeśli się tylko ma głowę. Można nawet powiedzieć, że im gorszy komunizm, tym lepszy interes... Trzeba tylko mieć głowę na karku, a najważniejsze, nie trzeba się bać. Ja miałbym się ich bać? Przecież oni nie mogą się beze mnie obejść...”

I rzeczywiście wszystkie drzwi stały przed Biunkiem otworem: prywatne i państwowe. Nie wiem czy dziadek mógłby teraz pozwolić sobie nie wpuścić go do domu. Wszyscy go potrzebowali. A już najbardziej gospodarka państwowa. Skąd wzięliby konie i wozy? Skąd wzięliby stajnie? Mieli budować państwowe stajnie w Warszawie, zakładać fabrykę konnych wozów, budować specjalne, tanie hotele dla chłopów — tańsze niż Biumka stajnia? Ile kosztowałyby takie inwestycje? A ile by przy tym nakradziono? Ile koni zamorzono by głodem? A skąd wzięliby opony na wozy? Od Słonia?... Biunek zaś mógł dostarczyć im każdą ilość wozów, woźnic i koni, o każdej porze i bez żadnej ze strony gospodarki miejskiej nakładów.

— Kto, myślisz, odbudowywał Marienstadt i Starówkę? Kto kopał tunel na Trasie? Kto sypał wał nad Wisłą i woził ziemię

na stadion? Moje konie! O nich się nie pisze w gazecie, ale możesz mi wierzyć, że bez moich koni długo jeszcze by tego nie było. Nie daliby rady...

Biunek twierdził, że moja babka była kuzynką jego byłego teścia, czyli dziadka Eli. Kiedy Ela i ja chodziliśmy jeszcze do szkoły, Biunek przyjeżdżał z nią do nas do Łodzi i mówił do mojej mamy: „Te dzieci powinny się chować razem...”. Namawiał, żeby mama wysłała mnie na studia do Warszawy, gdzie jego dom będzie zawsze dla mnie otwarty. I tak było. Kiedykolwiek zaszedłem na Radzymińską, Janka wyjmowała z pieca jakieś mięsne danie, które widocznie tylko na mnie czekało.

— Dla kogo, myślisz, ja trzymam to wszystko? — mówił pokazując mi wyczyszczone na połysk i dobrze odkarmione konie, solidne, na samochodowych oponach rolwagi. — Czy ja to robię dla siebie? Co ja takiego potrzebuję? To dla niej wszystko. Możesz mi wierzyć, że dla niej! Coś jej się chyba należy od życia, po tym cośmy przeżyli... Mam drugą żonę i dzieci. Żona jest młoda i ładna, a i dzieci, niech im Bóg tylko da zdrowie, wystarczy i dla nich... Ale ona jest dla mnie najdroższa i zawsze mi będzie najbliższa. Przecież ona to wszystko co mi z tamtego życia zostało.

Biunek był dumny z ładnych, udanych dzieci, które miał z córką Sliwy, ale Ela była jego pierwszym dzieckiem i była dzieckiem jego pierwszej żony, która wyszła za niego wbrew woli swojego ojca. Kiedy zginęła, Biunek uważał, że jedynym celem jego życia było uratować Elę. Zakopywał ją w leśnych ziemiankach, w słomie w stodole u Sliwy, u Sobótków w piwnicy pod młynem, wynosił ją na rękach z obławy. A teraz najbardziej ze wszystkiego zależało mu żeby wyszła za żydowskiego chłopca. Tym bardziej, że on sam ożenił się z nieżydówką, z którą miał nieżydowskie dzieci. Była rzeczywiście jedynym co pozostało mu z jego byłego ja. Chciał je ratować. Podobno kompleks ten występuje najsilniej u ludzi, których rodziny zostały wymordowane za to tylko, że byli Żydami. A Biunek oprócz żony miał przecież kiedyś ośmioro braci i sióstr.

Dlaczego Biunek wyjechał? I to właśnie wtedy, kiedy komunizm zelżał kiedy również inni przestali się bać. Czy dlatego, że komunizm stał się za łatwy? Biunek nie był romantykiem i nie zależało mu wcale, żeby mieć godnego przeciwnika. Wyjechał, bo zaczął się bać. Właśnie wtedy, gdy inni przestali. Gdy przestali się bać do tego stopnia, że zaczęli znów czepiać się Żydów. Tutaj wolność często utożsamiano z wolnością czepiania się Żydów. I tego właśnie Biunek bał się najbardziej, a ściślej mówiąc — tylko tego. Mógł sobie poradzić z komunizmem, od tego miał głowę. Wiedział jednak, że nie obroni się przed tym.

Przed t y m nie można obronić się głową. Słoń kpił z Biumka.

— Coś się tak od razu przestraszył? Poczekaj, nie śpiesz się, jeszcze nie strzelają!

— Mam czekać aż będą strzelać?...

Wsiadł w samolot z Janką, dziećmi i dwiema walizkami. W jednej walizce była bielizna, a w drugiej miód, kiełbasa i topione masło. W masle zaś były dolary.

Dolary, które Biumek wyrwał państwu z zębów, a które za wybitny udział w odbudowie Warszawy uczciwie mu się należały, pozwoliły mu przetrwać z żoną i z dziećmi pierwszy rok w Buenos Aires, gdy chodził z podwórza na podwórze i handlował starymi szmatami. Słoń w Łodzi śmiał się z niego — strzelają!... Po jakimś czasie Biumek kupił sobie jednak sklepik z delikatesami, gdzie między innymi sprzedawał wódkę, szynkę i śledzie pochodzące od polskich marynarzy. Marynarze nie dojadali i nie dopijali w czasie długiego rejsu z Gdyni, żeby tylko mieć co sprzedać Biumkowi. Potem ochmistrz inkasował dwadzieścia dolarów za beczkę zaoszczędzonych śledzi, które Biumek sprzedawał po dolarze za sztukę. Janka stała za kontuarem, bo Biumek w żaden sposób nie mógł nauczyć się hiszpańskiego. Ale miało to swoją dobrą stronę, bo gdy Janka stała za kontuarem w Buenos Aires i sprzedawała, Biumek miał czas, żeby otworzyć masarnię w Cordobie.

— To aż tak daleko musiał jeździć, żeby sobie otworzyć masarnię — mówił Słoń. — Co brakowało mu tutaj, kiedy nie miał masarni?... Nie, tutaj nie strzelają!

Rzeczywiście, nie strzelano. Najwyżej pobito kogoś gdzieś na prowincji w Legnicy, w Wałbrzychu. We Wrocławiu milicjant wszedł do mieszkania właściciela sklepu z konfekcją, zabrał pieniądze i biżuterię i zastrzelił go razem z żoną. Ale takie rzeczy zdarzają się zawsze i wszędzie. Zawsze i wszędzie się zdarza, że ktoś przychodzi i zabija kupca. Nawet nie Żyda.

Kiedy Biumek wyjeżdżał, Ela była jeszcze na studiach. Powiedziała ojcu, że nie chce przerywać nauki, że jak skończy studia wyjedzie. Biumek zgodził się, bo zależało mu, żeby Ela skończyła studia, a jeszcze bardziej mu zależało, żeby wyszła za mnie za męża. Dostała nową kawalerkę, cztery metry na cztery, ale z łazienką i z centralnym ogrzewaniem, w zamian za trzy pokoje z kuchnią na Radzymińskiej, gdzie nie było ani łazienki, ani centralnego ogrzewania.

Ela miała przeciętną figurę, którą odziedziczyła po Biumku, i złą cerę dobrej uczennicy, prymuski. Ale była nie tylko prymuską, naprawdę interesowała się tym, czego się uczyła. Na stażu docent widząc jej zapał oddał jej pod opiekę salę, co się rzadko zdarza na stażu. Ela była w szpitalu jedynym człowiekiem, który okazywał chorym współczucie. Chorzy byli jej wdzięczni za to

i może nawet dzięki temu szybciej wracali do zdrowia. Jeździła z nimi na drugi koniec miasta, jeśli w szpitalu nie było aparatury do zbadania chorego. Nie było zresztą nawet rentgena. Jeśli nie dostawała szpitalnej karetki to brała taksówkę, za własne pieniądze, a jeśli przyjeżdżała z pacjentem na miejsce i nie chcieli jej przyjąć, urządzała awanturę, zapierała się w drzwiach, w ostępczości płakała. Przynosiła do domu codziennie wiązanki kwiatów i bombonierki z czekoladkami. Częstowała mnie czekoladkami, opowiadała o wdzięczności chorych. Była pewna, że dostanie propozycję pozostania w szpitalu po stażu. Po takich wynikach? Po tylu bombonierkach i kwiatkach?

Była ogromnie zaskoczona, gdy nie dostała. Zadzwoiła do mnie, przez telefon płakała. Zgłosiła się do innych szpitali, ale wszystkie etaty już były zajęte. Poszła leczyć do przychodni — grypkę. Przyjmować musiała do dwudziestu pacjentów na godzinę w „sezonie”. Skąd mogła wiedzieć, co im naprawdę jest? Przepisywała aspirynę, alkoholikom dodatkowe zwolnienia. Jak można było im nie dać zwolnienia? Przecież się nie nadawali do pracy. Zalecała również pacjentom częstsze mycie. Zwłaszcza przed wizytą u lekarza. Gdy przychodziła do domu, kładła się na tapczanie i paliła jednego papierosa za drugim. Nie sprzątała mieszkania. Nie chciała. W dodatku odezwały się wady kręgosłupa, których nabyła w dzieciństwie przez zbyt długie przebywanie w ziemiankach i piwnicach. Była bardzo sama. Studia razem ze stażem zabrały jej osiem najlepszych lat. Jej koleżanki powychodziły za męża, miały dzieci. Nawet te z medycyny. Nawet te znacznie brzydsze.

Jeździłem dla niej do urzędów, do adwokata, do sądu, a ona leczyła mnie gdy byłem chory. Jeśli miałem cięższą grypkę, sprowadzałem się do niej, odstępowała mi swój tapczan, a sama szła spać do koleżanki. Wystawiałem dla niej w kolejkach, nie przepuściłem sklepu ze świeżym serem albo wędliną, a ona udzielała mi długoterminowych pożyczek. Zgodziliśmy się, że jesteśmy kuzynami. Innych krewnych przecież nie mieliśmy w kraju. Przedstawialiśmy się ludziom jako cioteczni „siostra i brat”. I żyliśmy jak brat z siostrą. We wielkie święta czyli czas oblężenia, gdy po wykupieniu całej żywności w mieście wszyscy siedzieli ze swoimi licznymi rodzinami przy stołach i od rana do nocy się objadali, my siedzieliśmy we dwoje i oblężeni przez wielkie święto jedliśmy gęś, którą Ela dostawała od Sliwy.

Sliwa nie mógł zrozumieć co się dzieje. Przywoził jajka, jabłka i miód, a na wielkie święto gęś, przyglądał nam się znacząco. Wreszcie zaczął wprost pytać, kiedy się pobierzemy. A mnie nawet do głowy nie przychodziło się zenić. Tym bardziej z Elą. Nawet gdybym nie znał bardziej atrakcyjnych dziewcząt w Warszawie, nie ożeniłbym się z nią. W ogóle nie ożeniłbym się z ży-

dowską dziewczyną. Zwłaszcza z taką, która przeżyła to co ona, czyli to co i ja. Była moją siostrą. Albo nawet więcej niż to. Czułbym coś w rodzaju kazirodztwa. Nie umiałbym się zbliżyć... Jeslibym miał zamiar się żenić, wziąłbym sobie normalną dziewczynę ze spokojnymi oczyma, a nie jeszcze jeden żydowski kłopot. Siedzieliśmy więc naprzeciwko siebie przy stole i — we dwoje byliśmy jeszcze bardziej samotni.

Ela w końcu postanowiła pojechać do Argentyny. Ale nie na zawsze, tylko zobaczyć ojca. Złożyła w poselstwie argentyńskim podanie. Na odpowiedź czekała pół roku. Pewnego dnia zadzwoniła, żebym natychmiast przyszedł. Leżała na tapczanie i płakała. Dostała odpowiedź odmowną.

Nigdy w życiu nie zobaczę już ojca! — wołała. Co ci kretyni tam myślą? Że jestem komunistką, że jadę obalić ich zaszary rząd?! Jedne łobuzy robią wielką łaskę jak kogoś wypuszczają, a drudzy nie chcą wpuszczać do rodzzonego ojca! Co to za świński świat jakiś! Co my na tym świecie robimy? Po cośmy przeżyli wojnę? Czy na takim świecie warto w ogóle żyć?...

Zwrócić się z ponowną prośbą o wizę Ela miała prawo dopiero po roku. Napisała rozpaczliwy list do ojca. Biurek wiedział, że w Argentynie nie ma takiej sprawy, której nie można by załatwić za pieniądze. Poszedł do adwokata, żeby mu powiedział komu i ile trzeba dać i po dwóch miesiącach Ela miała wizę — bez składania ponownego podania.

Zajmowałem dla niej kolejkę w urzędach, jeździłem po zaświadczenia, wypełniałem kwestionariusze i pisałem podania, biegałem po znaczki skarbowe i do sklepów z pamiątkami. Spakowałem jej walizki, sam je w pocie czoła taszczyłem, wsiadłem z nią w pociąg do Gdyni i powtarzałem w kółko — nie wracaj!

— Co ciebie czeka tutaj? — mówiłem. — Jakie życie ma tutaj kobieta? Zestarzejesz się w tramwajowym tłoku i w kolejkach po kawałek kiełbasy. Zgorzkniejesz za biurkiem lekarza, który nikomu nie może pomóc. Chcesz być lekarzem tutaj? W kraju, gdzie lekarze nie lubią pacjentów, a pacjenci nie szanują lekarzy, gdzie nikt już nikogo nie lubi i nie szanuje. A ty przecież jesteś kobietą i coś ci się chyba od życia należy. Przy najmniej trochę uszanowania...

Mógłbym jej jeszcze powiedzieć, że zmarnieje samotnie w swej brudnej kawalerce i dymie złych papierosów i nikt się z nią nie ożeni, bo Żyda z naszego pokolenia nie znajdzie, a inny się z nią nie ożeni, bo minęły już czasy kiedy żeniono się z Żydówkami i gdyby nawet nie było dosyć innych dziewcząt, ładniejszych i młodszych, po co komu do wszystkich kłopotów jeszcze jeden żydowski kłopot?... Ale tego jej nie powiedziałem. Mówiłem tylko:

— Nie wracaj! Przecież widzisz, że jest źle i rozumiesz, że musi być gorzej. I jakby nie dość źle jeszcze było, zaczynają znów czepiać Żydów. Więc po co masz tutaj wracać? No po co? Po co siedzieć w tym smrodzie?

— A po co ty siedzisz?

— Ja to co innego. Ktoś musi zostać...

— Wmawiasz sobie. Nikomu tutaj nie jesteś potrzebny.

— Wiem, ale niech przynajmniej wiedzą że jestem. Nie chcę dać za wygraną.

— A dlaczego ja mam dać za wygraną?

— Nie przyrównuj się do mnie. Ja nie jestem kobietą. Ja mogę po prostu dłużej czekać...

— Dlaczego ci tak zależy, żebym wyjechała? Powiedz o co ci naprawdę chodzi?

— O ciebie!

— Zależy ci na mnie? To wyjedź. Jak się dowiem, że wyjechałeś, nie wrócę...

Kalinowscy szybko jakoś się dowiedzieli, że Ela wyjechała. Śliwie, któremu Ela zostawiła pełnomocnictwa, proponowali siedemdziesiąt tysięcy złotych i żeby zapomnieli o całej sprawie. Ale Śliwa nie chciał się zgodzić, bo to były Biurka pieniądze nie jego. Kalinowscy dziwili się, że Śliwa nie chce pójść na kompromis. Byli pewni, że Ela nie wróci.

Chodziliśmy więc w dalszym ciągu do adwokata. Przeniosłem się do Eli kawalerki i teraz mnie Śliwa przywoził ze wsi jabłka, jajka i miód. Chodziliśmy do adwokata, a od adwokata do knajpy.

Nie mogliśmy chodzić do „Europejskiej” ani do „Bristolu”. Z małym Śliwą w za wielkich buciorach z cholewami, z jego czarnymi, chłopskimi rękami, które nigdy się nie domyją. Nie mogliśmy też pójść do żadnej ze średnich knajpek i restauracji, gdzie bylibyśmy narażeni na zaczepki kurewstwa i alfonserii, a zwłaszcza tych odprasowanych cwaniaczków, którzy nienawidzą chłopów, dlatego, że sami pochodzą ze wsi, albo też dlatego, że chłopci, choć nie wyglądają cwano, robią lepsze interesy niż oni. Mogliśmy wprawdzie pójść do Domu Chłopa, gdzie kwaterowano i żywiono wycieczki z prowincji oraz turystów z Mongolii i Związku Sowieckiego, ale było tam pełno ubeków i taka para jak Śliwa i ja zwracałaby za bardzo uwagę. Nic takiego nie robiliśmy, ale po co to komu potrzebne?

Chodziliśmy więc do knajpy niedaleko Zgody, gdzie siedzieli nieogoleni kierowcy, ślusarze, blacharze i szewcy z okolicznych warsztatów-ruder, faceci z takimi samymi jak u Śliwy niedomywającymi się rękami. Ale tu z kolei moja obecność wymagała wyjaśnienia.

— Syn mojego przedwojennego dziedzica — mówił do kelnerki Sliwa.

Zamawialiśmy wołowinę z buraczkami i ćwiartkę. Pewnego razu gdy jedliśmy nasze buraczki z wołowiną, bo tak to się raczej powinno nazywać, Sliwa przysunął się bliżej i nachylił nad stołem.

— Niemcy podobno szykują się znowu...

— Niemcy jak to Niemcy... Ale na razie nie ma obawy.

— Ale sam mówi „na razie”...

Sliwa myślał o tym, żeby się przenieść do syna za Toruń. Stach miał tam ładne gospodarstwo, murowane. Nie tylko obora, stajnia i chlew, ale i dom był murowany, a w chlewie bieżąca woda. Dziwiłem się, że w domu nie ma, przecież można by doprowadzić, ale Sliwa mówił: — Po co? Nie opłaci się. Świnie to potrzebują wody. — Sliwa chętnie by się przeprowadził, bo tam udawał się tytoń i len. Po co siedzieć na kartoflach i życie? Państwo kontraktuje każdą ilość, żeby tylko było komu siać, sadzić i zbierać. Bardzo widać tytoń i lnu potrzebują. A zarobić można dobrze, bo co państwo oszuka na cenie, to można odebrać na wadze. Magazynier też musi żyć, a len i tytoń łatwo nasiąkają wodą. Gdyby tylko nie Niemcy. Stach chciał kupić furgonetkę „Warszawę”. Bardzo by mu się przydała, ale Sliwa doszedł do wniosku, że lepiej to na razie odłożyć a postawić sobie w Toruniu dom. Zdziwiłem się.

— Po co mu dom w Toruniu?

— A jak Niemiec wróci? Gospodarę to odbierze, bo jego. A jak dom w mieście postawić, to dom mój i zabrać go nie ma prawa!...

Dlatego Sliwa interesował się polityką i wypytywał o Niemców. Przychodzili również inni ludzie z okolic Dobrego, którzy dowiedzieli się mojego adresu od Sliwy. Przyszedł starszy z braci Sobótków, bo miał trudną sprawę rozwodową i prześladował go przewodniczący gromady. Miał na sobie ubranie, w którym z całą pewnością sypiał i dwudniowy zarost na twarzy. Pokazywał AL-owską legitymację, wydaną w czterdziestym piątym roku, zupełnie się rozpił. Zadzwoiłem do byłego kolegi z dziennikarki, pochodził z Jadowa i pracował w tygodniku zajmującym się problemami wsi — niech się zainteresuje czego chce od biednego Sobótki tamten przewodniczący gromady. Potem przyszedł młodszy Sobótko, który przeniósł się do Radzimina i potrzebny mu był dyplom kamieniarski. Poszedłem do ORT-u, ale ORT nie prowadził kursów kamieniarskich i nie miał prawa wydać takiego dyplomu. Złożyłem więc w TSKŻ-cie, który znajdował się w tym samym budynku, oświadczenie, że Sobótkowie pomogli moim znajomym przeżyć wojnę i dostałem dla jego żony dobrze płatną

chałupniczą robotę z żydowskiej spółdzielni produkującej opakowania z plastiku.

Pewnego dnia przyszła nawet pani Ciokowa, była nauczycielka z Dobrego, żeby zrobić coś w sprawie jej syna, który miał wybitne zdolności, przyjęto go na Akademię Sztuk Pięknych i już mu nawet obiecali wystawę, ale został zbałamucony przez literatów, którzy przewrócili mu w głowie. Pili z nim — za jego pieniądze — rozpiłi, a potem uwiedli mu żonę, bardzo ładną dziewczynę, której chodziło tylko o to, żeby dostać się do sławnych ludzi, a jak się tylko dostała, zaczęła się puszczać z nimi. Więc zaczęła jeszcze więcej pić, już nie z literatami lecz sam, a dziewczyna go zupełnie zlekceważyła i gdy powiedział jej słowo, odeszła. Teraz on chodzi i szuka jej nocami po mieście. Co miałem zrobić w sprawie syna pani Ciokowej? Gdzie pójść, dokąd zadzwonić? Do TSKŻ-u? Do prasy? Mogłem jej powiedzieć, że w życiu trzeba mieć instynkt. Zwłaszcza zaś w artystycznym życiu. Mnie na przykład sam instynkt podpowiedziałby, żeby nie pić z literatami. Ale tego jej nie powiedziałem. Co pomoże taka rada po szkodzie? Zresztą nie byłem powołany do udzielania tego rodzaju rad. Mój dziadek miał kwalifikacje rabina, nie ja.

Przychodzili ludzie, którzy byli przekonani, że Żydzi mogą nie tylko pomóc w procesach sądowych i znaleźć pracę, ale również przysyłają paczki zagraniczne, lub udzielają bezzwrotnych pożyczek, jeśli ktoś im kiedyś pomógł. Byli przy tym przekonani, że niezależnie od tego jakiemu Żydowi pomogli, każdy inny Żyd powinien się czuć wobec nich zobowiązany. Rzeczywiście przychodziły zza granicy paczki, zaproszenia i bilety na podróż do najęzotyczniejszych krajów, lekarstwa i pieniądze przekazy. Pomagano, jeśli ktoś chciał wyemigrować. I bardzo często odbywało się to pocztą łańcuchową. Mogłem więc i ja postarać się o parę paczek od Biunka, albo od mojej mamy.

Najgorzej było jednak, gdy w radiu i prasie zaczęły powtarzać się komunikaty, że takiemu a takiemu obywatelowi z takiej a takiej wsi nadano odznaczenie za udzielenie szczególnej pomocy ukrywającym się w czasie okupacji osobom pochodzenia żydowskiego i wśród chłopów zapanowało przekonanie, że Żydzi rozdają ordery.

A chłopom na niczym tak nie zależało jak na orderach. Nawet na pieniądzech im tak nie zależało. Nie chodziło tu o czczą dekorację, tacy głupi to chłopci nie są. Chodziło o rzecz praktyczną. Pieniądze na wsi miał każdy, a w każdym razie mógł mieć. Natomiast order lub medal nie każdy. Pieniędźmi każdy mógł być przelectyowany, a orderem nie każdy. Poza tym pieniądze szybciej się dewaluują niż medale. A zastosowanie praktyczne? Gdyby Sobótko miał medal, przewodniczący z Drupia bardziej by się z nim

liczył. Bardziej liczyłaby się z nim również jego rozwiedziona żona przed sądem. Chłopi byli praktyczni. Jak Żydzi.

Z jednej tylko rzeczy nie zdawali sobie sprawy. W ich mniemaniu żydowskie akcje stały wysoko. Jeśli za ukrywanie Żyda dostawało się medale? Co i raz to rozlegało się szuranie ciężkich butów pod moimi drzwiami, o szóstej, o siódmej rano. A skąd ja im miałem wziąć medale? Jak miałem im tłumaczyć, że rozdawanie tych orderów i medali świadczyło o czymś zupełnie przeciwnym niż myśleli. Mieli radia i czytali gazety. Ale radia mieli od niedawna i nie od dawna umieli czytać. Nie umieli się wsłuchać w ton radia, ani czytać między wierszami.

Tylko Śliwa domyślał się. Miał instynkt, dość długo przebywał z Żydami. Toteż on nie prosił o medal.

W Noc Sylwestrową postanowiłem pójść na miasto, żeby zobaczyć jak się bawią brzuchacze z Chmielnej z partyjnymi, i bezpartyjnymi, łapownikami. Ani ja ani żaden z moich znajomych nie mieliśmy jednak do stracenia tysiąca złotych, dlatego wypiliśmy w domu, a dopiero potem poszliśmy na miasto. W „Europejskiej” ścisk był okropny, bo kupców z Chmielnej, badylarzy i łapowników było znacznie więcej niż „Bristol” i „Europejska” mogły pomieścić, a każdy chciał w Noc Sylwestrową być na takiej sali. A że każdy dobrze płacił, więc kelnerzy dostawiali stoliki. A kiedy nie było już miejsc na stoliki, dostawiali do stolików dodatkowe krzesła. A kiedy zabrakło już i miejsc na krzesła i krzesła, wpuszczali na stojaka, za stowę. Więc na sali był tłok jak w tramwaju w godzinie szczytu. Muzyka głośno grała, a ludzie stali w miejscu i udawali, że tańczą. Zeszliśmy więc do cocktail baru, gdzie na wysokich stołkach siedziały kurwy kategorii „S”, wszystkie piękne i sztywnie ubrane. Otoczone były ciasno przez brzuchaczy, którzy stawiali im whisky — sto pięćdziesiąt złotych za łyka. Stanęliśmy sobie przy schodach i zaczęliśmy robić oko do kurew. Kurwom podobało się to i nawet bardzo odpowiadało, a brzuchaczy wprowadzało w zakłopotanie i złość.

Ponieważ byliśmy trochę wstawieni, więc postanowiliśmy do brzuchaczy zagadać. A że zupełnie nie mieliśmy o czym z nimi gadać, więc mówiliśmy do każdego przechodzącego brzuchacza:

— Nie widział pan czasem Mietka Pawłowskiego?

— Jakiego Mietka Pawłowskiego? — dziwił się brzuchacz.

— Jakto, nie zna pan Pawłowskiego?

Niektóry brzuchacz wzruszał ramionami, ale byli tacy, co czuli się zawstyżeni, że Mietka Pawłowskiego nie znali. Którego myśmy też oczywiście nie znali. Była to głupia zabawa, ale dobra. Jak każda głupia zabawa. A w dodatku była to zabawa tania.

Toteż bawiliśmy się nieźle, aż w pewnym momencie scho-

dami przechodził gładko uczesany blondyn, właściciel sklepu z kulowymi piórami. W nowiutkim garniturze z krepy i przyćmionych okularach z zagraniczną oprawą. Nieduży, ale nie gruby i dosyć przystojny. Miał niewiele więcej niż trzydzieści lat i nie wyglądał na prawdziwego brzuchacza.

— Nie widział pan Mietka Pawłowskiego? — zwróciliśmy się do niego z pytaniem. Zatrzymał się, obrzucił nas spojrzeniem.

— Nie, nie widziałem — powiedział. — I w ogóle nie lubię Semitów...

Tegośmy nie przewidzieli w zabawie. Tegośmy nie mogli przewidzieć. Tegośmy się nie spodziewali. A przynajmniej nie tutaj, w „Europejskim” hotelu... Poza tym nie wiedzieliśmy, że byliśmy Żydami. Popatrzyliśmy po sobie i rzeczywiście, byliśmy. Wszyscy. Dopiero teraz to zauważyliśmy. I dopiero teraz zauważyliśmy, że każdy z nas był podobny do Żyda. Jeśli ktoś zastanawiał się kiedyś, co to znaczy „być podobnym do Żyda”, to w tej chwili mógł to zobaczyć. Bo nagle staliśmy się podobni. To w ten właśnie sposób robi się Żydów, Żydzi nie rodzą się sami. Zastanawiało mnie tylko, jak to się stało, że znaleźliśmy się wszyscy razem, tylko „my” i nikt inny z nami? Widocznie jeszcze przed tą zabawą zaczęliśmy się stawać Żydami.

Tamci chłopcy odwrócili się. Udali, że nie usłyszeli, nie zwrócili uwagi. Niektórzy uśmiechali się, niby to ironicznie. Byli ponad tym.

— Nie słyszeliście co on powiedział? — spytałem.

— Nie...

— Nie słyszeliście?!

— Daj spokój, nie warto...

Zacząłem im się przyglądać, po kolei. Byłem najstarszy. Wśród Żydów zawsze byłem albo najmłodszy, albo najstarszy. Oni byli młodszy, sporo młodszy, za młodzi.

— Jak myślicie, dlaczego on to powiedział? — spytałem.

— Bo nie lubi... I co możesz mu zrobić, jeśli nie lubi?...

— Ale dlaczego to powiedział?!

— Bo jest cham, dlatego.

— Nie tylko dlatego.

— Dlaczego jeszcze może mówić takie rzeczy cham?...

— Dlatego, że mu wolno! Bezkarne! Dlatego, że z n o w u mu wolno...

Odwróciłem się i poszedłem na salę. Stał w miejscu jak wszyscy którzy udawali, że tańczą.

— Pan powiedział, że pan nie lubi Semitów?...

Zaskoczony wypuścił z rąk partnerkę, która spojrzała na mnie przerażonymi oczami.

— Tak, nie lubię — powiedział — przybierając pogardliwą minę. — Zwłaszcza takich jak pan...

— A ja bardzo nie lubię chamów! Zwłaszcza takich... — Trzasnąłem go pięścią w twarz i usłyszałem brzęk okularów. Poczuję na sobie dziesiątki twarzy i rąk. Trzymano mnie ze wszystkich stron. Potem ludzie przede mną się rozstąpili i znów zobaczyłem jego, bez okularów.

— Ty żydowski draniu! — zawołał rzucając się w moją stronę. Zobaczyłem wielkie iskry przed oczami. Jego nikt nie trzymał.

Dwaj portierzy ujęli mnie pod pachy i wyprowadzili do szatni, gdzie nagle ujrzałem Łapę. Łapę, którego nie widziałem od lat.

— Co za spotkanie! To i ty jesteś w tym bajzlu, stary? Ale bój się Boga, jak ty wyglądasz? Kto cię tak urządził?

— Jeden taki co nie lubi Semitów...

— A widzisz — Łapa uśmiechnął się ironicznie. — Nie mówiłem?... — Nagle jednak uśmiech zniknął z jego twarzy. — Pokaż mi go!

Zawróciliśmy na salę. Blondyn z kilkoma facetami stał pod filarem.

— To ten parch! — zawołał, kiedy mnie zauważył.

Łapa usunął mnie z drogi.

— Pan się myli — powiedział tonem perswazji. — Pan się bardzo myli... Mówiąc to zbliżył się na odległość pół kroku, a gdy się zbliżył, odgiął się krótko w krzyżu i jak sprężyna rąbnął go głową. Z brwi blondyna pocięła krew i zalała mu oko.

— Wiejemy! — zawołał Łapa. Ktoś chwycił mnie z tyłu za rękaw. Szarpnąłem się i wyrwałem, z rozerwanym rękawem.

— Milicję wezwać, milicję! Pozamykać drzwi! — wołano za naszymi plecami.

— Tędy, tędy! — zawołał portier, gdy wbiegliśmy do cocktail-baru i otworzył nam boczne drzwi. — Zgrabnieś pan to zrobił — powiedział. — Raz, dwa i w nogi! A na co jeszcze czekać? Tak trzeba...

— Za dużo ich tam było — odpowiedział Łapa.

Siedzieliśmy potem na kanapie u znajomej Łapy. Jednej z tych z cocktail-baru. Miała nowoczesne i niezwykle kolorowe mieszkanie w jednym z tych budynków, gdzie mieszkania są za dewizy. Paliliśmy amerykańskie papierosy i piliśmy amerykańską whisky, a nawet amerykańskie piwo z puszek. Było mi dobrze. Tak dobrze, że nagle otworzyło się coś we mnie i zacząłem płakać. Płakałem spokojnie, bez żadnego dźwięku, w milczeniu. Nawet nie czułem, że płaczę. Jakby ktoś we mnie płakał, nie ja. Ja miałem tylko mokrą i słoną twarz.

— Pan ma w Ameryce matkę? Więc co pan tu jeszcze robi? — dziwiła się dziewczyna Łapy. — Na co pan jeszcze czeka? Nie widzi pan, co się dzieje?

— Nie przejmuj się, stary! Ja go jeszcze nie raz dopadnę. Ja mu jaja wygryzę — uspokajał mnie Łapa.

Z Łapą chodziłem razem do szkoły. Ją znałem tylko z widzenia, ale kurwy zawsze trzymały z Żydami. Kto chce niech zgaduje, dlaczego.

Im dłużej człowiek żyje, tym gorszych rzeczy się dowiaduje. A im więcej się dowiaduje, tym mniej zaczyna rozumieć. Nic dziwnego, że na starość zupełnie jest głupi. Kiedy byłem mały wiedziałem co jest dobre, co złe, co trzeba robić, a czego nie trzeba. Wszystko co trzeba wiedziałem. Kiedy zacząłem podraść, też jeszcze wszystko było zrozumiałe. A w każdym razie miało swoje wyjaśnienie. A teraz nie rozumiałem nic. I nawet się nie zastanawiałem. Zakładałem nogi na parapet i patrzyłem godzinami w okno. Po niebie przemykały ptaki. Zajęte, zaaferowane, zalutane, jak ludzie. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, zupełnie bez sensu — jak ludzie. Nie pisałem, nie tłumaczyłem, nie brałem się do żadnej pracy. Nawet czytać mi się nie chciało. Radio włączałem tylko wtedy, gdy była muzyka, bo jak zaczynali mówić, to nie chciało się żyć. Patrzyłem na ptaki i zastanawiałem się, co ja właściwie robię w tej brudnej klitce na szóstym piętrze, zamiast zerwać się i polecieć jak ptak. Dziennikarz z domu naprzeciwno polecał. Tylko tam — nie potrzeba z powrotem.

Bo im więcej człowiek się dowiaduje, tym mniej mu się wszystko podoba. Ma wtedy dwa wyjścia: wylecieć z szóstego piętra, albo czekać, aż przyjdą i mu każą wylecieć, jak tamtemu dziennikarzowi z przeciwnika. Dwa wyjścia przez to samo okno. Ludzie potem pytają, dlaczego? Bo za dużo wiedział, pada odpowiedź. I jest to zupełna prawda.

Jest jednak i trzecie wyjście — udawać, że nic takiego się nie wie. Nie słyszy się, nie zauważa. Wystarczy opanować sztukę „nie wtrącania się w nie swoje sprawy”, która jest sztuką życia. Kiedyś wracam do domu, a mój dozorca przerywa zamiatanie i z rozmachem podaje mi dłoń. Ja się cieszę, że dozorca tak serdecznie się ze mną przywitał, a on na to:

— Słyszał pan o tym gościu, co to wleciał pod pociąg?

— Nie, a co?

— Popchnęli go...

— Kto taki?

— O, panie, tego to się człowiek nigdy nie dowie...

— Ależ dlaczego?!

— A kto ich tam wie... Oni już wiedzą dlaczego... Ja to tam zawsze mówię, że najlepiej nie wtrącać się w nie swoje sprawy... — Co powiedziawszy dozorca znów zabrał się do zamiatania. I wtedy pomyślałem sobie, że mógłbym się od niego wiele nauczyć. A przynajmniej skorzystać z ostrzeżenia. Dlatego zawsze zwracałem uwagę, w jaki sposób się ze mną przywitał. Czy podaniem ręki z rozmachem, czy zwyczajnym podaniem ręki, czy tylko skinieniem. Czasem mnie nie zauważał. A to było najgorsze, bo wtedy musiałem się zastanawiać, czy rzeczywiście mnie nie zauważył. Niezauważenie też może być przywitaniem.

W tym czasie chłopci już przestawali przychodzić. Tylko Śliwy szuranie się rozlegało za drzwiami. Nie używał telefonu, bo nie mógł się przyzwyczaić do mówienia przez telefon. Nie lubił też używać dzwonka. Zresztą dzwonek często mi kradli, w tym czasie coraz częściej. Dawał więc znać o sobie szuraniem. A ja słuch miałem wyostrzony i słyszałem każdy szmer za moimi drzwiami.

— Coś mi się zdaje, że Ela nie wróci — powiedział pewnego razu Śliwa. Już nawet Kalinowscy nie ponawiali propozycji, żeby wziął siedemdziesiąt tysięcy. Wiedzieli od swojego adwokata, że jak Ela nie wróci, to stanie się cudzoziemcem dewizowym, a dewizowemu cudzoziemcowi nie trzeba wcale zwracać tego, co mu się ukradło.

— Musiałaby zwariować, żeby wracać — odpowiedziałem.

— A sam nie myśli uciekać? — zapytał Śliwa.

— Nie. Ja nie uciekam...

— Jak uważa, ale jakby co, to niech wie, że u mnie może się zawsze schować...

— Co też Śliwa wygaduje! — zawołałem.

Zauważyłem, że niepotrzebnie tak głośno zawołałem, więc uśmiechnąłem się.

— Do tego nie dojdzie, może być Śliwa spokojny...

— A kto ich tam teraz wie...

— Nie, nie, Śliwa, to nie te czasy. Mało nas, za mało pieniędzy... To by się im nawet nie opłacało... — Wydawało mi się, że ten argument trafił do Śliwy. Ale do knajpy już tego dnia nie poszliśmy.

Kiedy zostałem sam, podszedłem do okna, spojrzałem w dół i postanowiłem. Sam stąd nie odleczę... Nie będę ułatwiał łobuzom sprawy. Będę tu tkwił. Niech pofatygują się sami.



Przed wakacjami chodziłem na Plac Konstytucji i odkupywałem od ludzi wczasy. Z roku na rok coraz trudniej było je dostać, bo ludzi przybywało a domów wczasowych nie. Skiero-

wania dostawało już tylko dwóch pracowników na stu, więc i ceny na giełdzie rosły. Na wczasach mieszkano się już z pięcioma obcymi facetami w pokoju i każdy spał z pieniędzmi i co lepszymi rzeczami pod głową. Każdy z mężczyzn musiał też mieć z sobą parę pęczków suszonej kiełbasy, żeby wieczorem dojadać, bo na dzienne wyżywienie wczasowicza przypadało dziewiętnaście złotych. A czego można się było spodziewać za dziewiętnaście złotych, nawet jeśli ani kucharz, ani intendent, ani kierownik nie okradał. Wczasy opłacały się jednak bardziej niż prywatny wyjazd i wystawanie po pół dnia w kolejkach do jedzenia. O ile było.

Najgorsze były tylko rozmowy pomiędzy tymi obcymi facetami w pokoju. Dawniej udawałem, że nie słyszę i nie reagowałem. Ale też tamte rozmowy nie dawały się porównać z tymi, jakie się słyszało ostatnio. Nie mogłem już więcej jeździć na wczasy. Ostatniego lata nie wytrzymałem i odezwałem się. Potem kilku młodych wczasowiczów zaczęło za mną chodzić. Kładli się na moim łóżku, golili się moimi żyletkami. Jeden się kładł na moim łóżku, a drudzy patrzyli co będzie. Jeden stwierdzał, że mam dobre żyletki i zaczynał się golić, a inni czekali. Musiałem wyjechać przed końcem turnusu.

Gdybym się nie odzywał, to nie wiedzieliby. Albo raczej wiedzieliby lecz udawaliby, że nie wiedzą. Bo to im sprawia większą przyjemność. Oni zawsze wiedzą. Prawdę mówiąc te bzdury, które wygadywali nie mogły mieć większego znaczenia, ale musiałem się odezwać. Nie mogłem być całe życie na aryjskich papierach. W tym roku nie poszedłem więc na Plac Konstytucji. Spakowałem obszyty końską skórą poniemiecki plecak, z którym mój ojczym wrócił w swoim czasie z Mauthausen, włożyłem na siebie skórzaną kurtkę argentyńską od Bumka i pojechałem tramwajem na Żytnią.

Żytnia to nie była ulica. Jezdnia z resztkami szyn, płoty i puste place. Warszawiacy tu nie bywali. Bywały tu tylko kobiety z jajkami w kobiałkach i ukrytą pod jajkami cielęcina, mężczyźni w butach z cholewami i samodziłowych kaszkietach, dziewczyny w kwiecistych sukienkach i pantoflach na wysokim obcasie od rana. Sukienki nie były uszyte najpiękniej, ale z dobrego materiału, buty mężczyzn na grubych zelówkach i nie szpilkowane a szyte. Nawet chusty bab były schludne, a pod chustą nierzadko można było poznać zagraniczny sweterek z komisu.

Jedynym budynkiem na Żytniej był autobusowy dworzec. Parterowy barak z kasami. Nad kasami rozkłady jazdy, cenniki. Rozkłady jazdy do miejscowości, które wcale nie były przeszłością. Miejscowości te żyły najnormalniejszym życiem i przyjeżdżały stamtąd codziennie kobiety z kobiałkami, dziewczyny w kwie-

cistych sukienkach i mężczyźni w cholewiastych butach. W ciągu niecałych dwóch godzin można stąd było dojechać do Dobrego, Rudzienka, Jadowa, Węgrowa i Kałuszyna — nazwy, które sły-
sząłem kiedyś w bardzo odległych rozmowach, odległych o dwa-
dzieścia pięć lat. Zaś rozkłady jazdy głośiły, że odległość tę można
przebyć w ciągu niecałych dwóch godzin.

Twarze ludzi w autobusie były spokojne, opanowane. Normal-
ne i spokojne były ich gesty i spojrzenia. Były to twarze i spojrze-
nia ludzi, którzy nie udają, że są kimś, kim nie są. Twarze jakich
gdzie indziej się już nie spotykało. A w każdym razie nie spo-
tykało ich się w mieście.

Nagle zrozumiałem jak bardzo nie lubiłem miast, gdzie ludzie
nie umieli przecież zwyczajnie chodzić, rozmawiać, zwyczajnie
popatrzeć w oczy. Wciąż kogoś udawali. Jedni udawali panów,
na co byli za biedni. I za bardzo się bali. Czy może być panem
ktoś, kto ciągle się czegoś boi? Drudzy udawali cwaniaków, ale
widać było, że udają. Kiedy byli wieśniakami, byli sobą. Teraz
jednak przestali nimi być, a nie stali się nikim. Dlatego muszą
ciągle kogoś udawać. Nie nauczyli się żyć z sobą tak, jak powinni
żyć ludzie w mieście. I pewno już się nie nauczą. Od kogo?
Kiedyś w miastach tych mieszkali Żydzi. Żydzi byli tu sobą. Byli
mieszczanami. Niektórzy udają więc Żydów przybierając cwane
miny. Ale Żyd miał doświadczenie, wiedział co może osiągnąć,
a czego nie i patrzył na świat oczami naiwniaka. Którym wcale
nie był. Oni zaś robią miny cwaniaków, którymi nie są. Najlep-
szy dowód, że przecież powodzi im się coraz gorzej. Co prawda
to nie ich wina, że coraz gorzej im się powodzi. Tak samo jak
nie ich wina, że nie potrafią być sobą. Sobą można być tylko
wtedy, gdy się coś ma, a oni niczego nie mają. Sobą mogli być
tylko chłopci.

Chłop miał ziemi niewiele, ale miał. Produkował nie dużo,
ale ceny nie szły w dół, tylko w górę. Nie było też dziedziców
z ich wielkimi polami i maszynami, nie było konkurencji. Nie
stanowiły przecież konkurencji PGR-y, które więcej zmarnują
niż zbiorą. Zatem chłop nie musiał produkować więcej i taniej.
Więcej i taniej musiał tylko produkować robotnik. W rezultacie
chłop mógł za swoją żywność coraz więcej kupować w mieście,
a robotnik za swoją pracę coraz mniej żywności, na którą państwo
podnosiło rok rocznie ceny. Tworzyło to rodzaj trwałej równo-
wagi — i państwo miało komu sprzedać swoje produkty prze-
mysłowe i jako tako wystarczało żywności w mieście. Dlaczego
państwo było takie niesprawiedliwe? Przecież sprawiedliwiej by
było, żeby więcej płacili posiadacze, chłopci, a nie robotnicy, którzy
nie mieli nic? Na to państwo nie mogło sobie jednak pozwolić.
Państwo jest kupcem. To ono kupuje od chłopów i sprzedaje

robotnikom i ono również kupuje od robotników i sprzedaje
chłopom. Państwo dobrze wie, że jak produkty przemysłowe będą
za drogie, to chłop ich nie kupi, bo chłop potrafi się bez nich
obejść, a robotnik żywność kupować musi. Nawet bardzo drogą.
Państwo jest dobrym kupcem. Dlatego, kiedy tylko objęło władzę
zlikwidowało swoją główną konkurencję — kupców.

Z przyjemnością patrzyłem na pewne siebie, chłopskie twarze.
Brakowało mi takich twarzy. Brakowało mi ich jak lekarstwa.
Dopiero teraz zdawałem sobie z tego sprawę. Dopiero teraz, gdy
autobus wiózł mnie wstecz, z szybkością dwudziestu lat na
godzinę.

W niecałe dwie godziny potem szedłem przez pola dojrzewa-
jące pomiędzy Dobrem a Węgrowem, trzy kilometry od Starej
Wsi, pięć kilometrów od Makówca, siedem kilometrów od Rado-
szyny. W przestrzeni odległości są znacznie mniejsze niż w czasie.

Henryk GRYNBERG

MARIA CZAPSKA

EUROPA W RODZINIE

Dzieje polskiej rodziny Czapskich przydomku Hutten, przez
powinowactwa rozgałęzionej aż po Paryż i Petersburg, na tle wy-
padków historycznych XIX wieku.

Str. 364 i fotografie.

Cena F. 25,00

Wyd.: Librairie „LIBELLA”,
12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris, 4^e

Tam gdzie rosną poziomki... (dok.)

Na trzecim piętrze przy ulicy Panieńskiej, w niewielkim ciemnym mieszkaniu pachnącym atramentem i farbą do pieczętek, mieści się ośrodek sztokholmskiej Polonii. Przy wejściu zwieszony slogan reklamujący członkostwo Skarbu Narodowego: „Legitymacja taka — każdego Polaka”. Obok zawiadomienie, że koledze Wypędkowi wstęp wzbroniony aż do odwołania. Po przyjeździe do Szwecji nieraz zaglądałem do tego lokalu, ale potem wolałem sobie dać spokój; raz, że nieprzeciętnie nudno, a po wtóre nuż bym chlapnął jakieś bluźnierstwo i też by mnie wyklęli. Na co mi to? Ośrodek wydaje co pewien czas swoje piśmko *Wiadomości Polskie*, drukowane na powielaczu ale starannie, estetyczna okładka — cóż, kiedy zawartość drętwa: zebrania, obchody, inauguracje, wybory — przeważnie te rzeczy. Kogo to interesuje oprócz organizatorów? Ktoś z redakcji zapytywał jak to się dzieje, że nowi uchodźcy przestają bywać w klubie po paru miesiącach. Nie ma czemu się dziwić, nikt nie będzie jadł spleśniałego chleba jeżeli nie jest bardzo głodny, ani pchał się do nowej klatki jeżeli przed chwilą wylazł z innej. Ośrodek polonijny odwiedzają trzy kategorie ludzi. Zdezorientowani, którzy niedawno przybyli, nie umieją słowa po szwedzku ani jeszcze nikogo nie znają. Chwiejni, tacy co nie mają rodziny ani przyjaciół. Te grupy nie mają znaczenia. Najważniejsza kategoria to Niezawodni, utytułowani (w najgorszym razie z racji aktualnej funkcji) założyciele ośrodka, ze starej emigracji. Ci są tutaj u siebie, nadają ton, panują i mają z tego dużo zadowolenia. Bieda z tym, że w swojej działalności nie mają zamiaru wyjść poza określone dogmaty anachronicznej konwencji. Kto ją akceptuje ten przyjaciel; obojętni są tolerowani,

* Patrz *Kultura* nry 10/277 i 11/278.

ale jeżeli się sprzeciwiasz, toś wróg — czyli komunista. My nowi znamy ten schemat — tylko do tyłu — z Polski Ludowej; tam też były dwie możliwości: chwalić, albo trzymać gębę na kłódkę. To się nazywało „pozytywny stosunek do obecnej rzeczywistości”, a znaczyło że człowieka na razie nie wyrzucą z posady. Do jakiego absurdu dochodzi czujność w kołach emigracyjnych może świadczyć fakt, że pomówienia o komunizm nie uniknął nawet sztokholmski kierownik radia „Wolna Europa”. Kto ma po pięćdziesiątce i nienaruszony багаż przedwojennych przesądów pasuje do ośrodka jak ulał. Z młodymi, czasem z własnymi dziećmi, organizatorzy nie mają wspólnego języka. Do klubu swoich ojców młodzi ludzie nie przychodzili nigdy. Taka jest rzeczywistość.

Polski ośrodek istnieje, można rzec, na przekór obojętności. Na szczęście, bo jak dotąd tylko tutaj nowy przybysz może znaleźć radę, tymczasowy ką, skromną zapomogę — i dużo dobrego serca.

Na osiem milionów mieszkańców Szwecji Polaków jest tylko parę tysięcy. Nowych twarzy mało przybywa, wycieczki do Skandynawii są bardzo rzadkie i niewiele pomaga wysoka przeciętna 15 procent polskich zbiegów. Na tle tej cyfry pięknie odcina się zdyscyplinowanie turystów ze Związku Sowieckiego. Przez całe lato regularnie przyplływają do Sztokholmu dwa duże (rozmiarów „Batorego”) statki z Leningradu — „Michał Kalinin” i „Nadieżda Krupskaja”. Mimo to w czasie mojego pobytu słyszałem tylko o dwóch wypadkach pozostania obywateli sowieckich. Trzeciemu się nie powiodło; był to mieszkaniec Rygi, polskiego pochodzenia. Kiedy nie wrócił na statek ambasada sowiecka rozwinęła gorączkową działalność celem ściągnięcia zbiega z powrotem. Ale ten nie chciał gadać z sowieckimi urzędnikami i władze szwedzkie nie dopuściły do konfrontacji. Wobec tego na gwałt samolotem przytransportowano z Rygi matkę delikwenta. Teraz nie było wyjścia — jakto, matce odmówić widzenia? Pierwsza rozmowa odbyła się pod okiem Szwedów, potem za zgodą stron była kontynuowana w sowieckiej ambasadzie. W rezultacie operacji niedoszły azylant posłusznie wrócił do czerwonego raję — czego należało oczekiwać.

Wielu Polaków urywa się z wycieczek na krótko, żeby zarobić parę groszy, kupić wymarzonego Volkswagena i wrócić w chwale. Po roku 1965 władze szwedzkie nie wydają pozwoleń na pracę dla przyjeżdżających czasowo. Robi się wyjątek dla studentów na okres letni, choć ta dyspensja z niezrozumiałych powodów nie dotyczy młodzieży ze Wschodniej Europy. Mimo tego robotę można znaleźć, ale podlegszego gatunku: mycie albo znoszenie naczyń w knajpach, roznoszenie gazet, dla kobiet pilnowanie dzieci (nie potrzeba zezwolenia). Zarobek przy garach wynosi około

pięć koron za godzinę na czysto, plus jedzenie — i jak się mieszka u znajomych można z nadliczbówkami wyciągnąć w ciągu miesiąca te tysiąc koron na przechodzonego Volkswagena. Następnie dwa miesiące trzeba pracować na polskie cło które teraz podskoczyło blisko czterokrotnie na 150 złotych za kilo samochodu, to znaczy ok. 100 tysięcy za lekki wóz. Za zarobione pieniądze kupuje się ciuchy, najlepiej używane bo niskie cło, i w ten sposób można osiągnąć w kraju 50 złotych za koronę, czasem więcej. Dawniej bywały złote czasy; kiedyś do mojego biura przyszedł na letnią praktykę Tadeusz, architekt z Polski. Był kierownikiem jednej z pracowni Miastoprojektu w Warszawie. Dość sympatyczny facet, chociaż twardy partyjny karierowicz oddany z kośćcami władzom ludowym, przy których pomocy wywindował siebie, a potem swoją rodzinę z zapadłej wsi w kieleckim. Orłem nie był, ale rysował wprawnie, szybko i z głową. Dostawał osiem koron za godzinę, połowę tego na co zasługiwał. Pracował co dzień po godzinach, w soboty, niedziele. Żona, krewna zabitego (zdaje się przez NKWD) bohatera Polski Ludowej Janka Krasickiego, przysyłała mu z Warszawy wałowę, którą uzupełniał najtańszymi w Szwecji jedzeniem — czekoladą i sardynkami. Opowiadał mi jak czasem podchodził do stoiska gdzie leżały polskie gazety i czytał odsłoniętą część, bo szkoda mu było wydać zarobionych koron. Po trzech miesiącach skończył u nas robotę, kupił Forda Taunusa w doskonałym stanie za cztery i pół tysiąca, furę prezentów dla rodziny i wrócił do Warszawy. Wkrótce potem został głównym szefem Miastoprojektu.

Gości z Polski bywały u nas w domu dwa rodzaje. Rodzina i przyjaciele — ci nie ukrywali smutnej prawdy o kraju ani podziwu na widok innego świata. Inni od razu nastawiali kolce; od pierwszej chwili gorliwie zapewniali nas że w Polsce jest zupełnie tak samo dobrze jak w Szwecji i za żadne skarby nie zostaliby tutaj na stałe. Raz przyjechali do nas w ziemie dwaj ciężko partyjni panowie z ministerstwa, jeden dyrektor departamentu, przełożeni przyjaciela z Warszawy. Na widok świeżych truskawek które kupiliśmy żeby uczcić drogiego gościa, stwierdzili zgodnie że na pewno są importowane z Polski. Byli na delegacji służbowej, spali u nas jedną noc, potem przenieśli się do hotelu. Przed wyjazdem prosił Wandę o przetłumaczenie kasjerce żeby im wystawiła fikcyjny rachunek hotelowy za dodatkowy dzień. Zupełnie nie mogli pojąć czemu Wanda nie chciała im wyświadczyć tej drobnej przysługi.

Stosunek Szwedów do obcokrajowców w ogóle, a do Polaków w szczególności jest życzliwy, pełen zainteresowania; przynajmniej takie odniosłem wrażenie po dziesięciu latach pobytu w Szwecji. Raz zacząłem wątpić, kiedy Wanda samotnie łowiąc ryby została

poturbowana przez podpitego Wikinga, który próbował jej zabrać wędkę — i w żaden sposób nie mogliśmy znaleźć na niego sprawiedliwości; jak się potem okazało facet miał po prostu wyjątkowe chody na policji. Ale zazwyczaj jeżeli ktoś został wylany z pracy i twierdzi, że to dlatego bo dyskryminują cudzoziemców, to albo nie potrafi się dogadać po szwedzku, albo jest gorszym fachowcem niż sobie wyobraża. Polacy mają większe względy niż inne nacje częściowo na zasadzie współczucia za nasze przejścia wojenne, dobrze tutaj znany terror we własnym kraju, no i dlatego że nas tutaj tak mało — sympatia dla obcokrajowców jest zwykle odwrotnie proporcjonalna do ich liczby. Nieodłączna taryfa ulgowa dla polskich osiągnięć staje się czasem irytująca. Kiedy po październikowej odwilży nakręcono kilka niezłych filmów — Szwedzi co prędzej ogłosili je za genialne, a łódzka szkoła filmowa za osiągnięcie jedyne w swoim rodzaju na świecie. Zresztą może rzeczywistości trzeba być geniuszem żeby w polskich warunkach stworzyć coś dobrego? W roku 1964 Zbigniew Cybulski został zaangażowany przez szwedzkiego reżysera Donnera do głównej roli w filmie pt. „Kochać”. Sam film i aktorka Harriet Andersson mieli bardzo dobrą krytykę, ale Cybulski przeciwnie. W rzeczy samej robił wrażenie jakby nie całkiem wiedział o co chodzi. Podczas wywiadu prasowego znany z konformizmu aktor opowiadał szeroko o wolności twórczej w polskim filmie. Na jego szczęście nikt z obecnych nie wiedział że nakręcony po październiku film „Ósmy dzień tygodnia” według noweli Hłaski, z Cybulskim w roli głównej, był jednym z tych, które nigdy nie weszły na ekrany.

Prawa szwedzkie starają się zapewnić swoim cudzoziemcom jak największą wolność. Chruszczow w czasie swojej wizyty (ostatniej przed wylaniem) bardzo się gniewał na bezustannie otaczający go mur policjantów, który ograniczał mu pole widzenia i swobodę ruchów. Pisali, że Nina Chruszczowa skarżyła się na to żonie szwedzkiego premiera. Pani Erlander tłumaczyła się, że to przykra konieczność ze względu na obecność wielu wrogo nastawionych byłych mieszkańców państw bałtyckich, Węgier, Polski i Ukrainy. Czy nie można było — pytała Nina — zastosować genialnie prostego rozwiązania prezydenta de Gaulle'a, który na czas pobytu Chruszczowa we Francji zarządził przymusowe wakacje na Korsyce dla wszystkich niepewnych? Aina Erlander starała się bez skutku wyjaśnić zdumionej Azjatce, że szwedzkie prawa o wolności osobistej wykluczają taką możliwość.

Podczas przyjęcia Chruszczowych na zamku (pełen rewerencji Nikita tytułował króla Gustawa Adolfa czułym „wasze błagorodie”) pewna młoda Estonka wypuściła na dziedziniec pałacowy tłustego prosiaczka pomalowanego w czerwone placki, z czerwono-

na kokardą na grzbiecie. Prerażona świnka zgrabnie umykała i policjanci musieli się dobrze napocić żeby zaarrestować nieproszonego gościa. Na drugi dzień cała Szwecja miała uciechę oglądając w gazetach malownicze zdjęcia z pościgu. Samą sprawczynię spektaklu odnaleziono, postawiono pod sąd i przykładowo ukarano; została skazana na zapłacenie 40 koron grzywny za zakłócenie porządku publicznego.

Tymczasem młodzi Szwedzi przejęci duchem wolności, równości i braterstwa ostro demonstrują przeciw zbrodniom amerykańskich imperialistów. Co pewien czas przed ambasadą Stanów Zjednoczonych zbierają się wrzeszczące, kolorowe zgraje w spodniach marki „Lee” lub „Wrangler” i z zapalem godnym lepszej sprawy obrzucają personel jajami. Te zabawy wydają się raczej kwestią mody niż przekonania, bo jak inaczej wytłumaczyć prawie zupełną obojętność na ograniczenie wolności indywidualnej, przesładowania religijne i dyskryminacje narodowe w Kraju Rad. Wszystko na co było Szwedów stać po zajęciu Czechosłowacji to nieśmiała demonstracja kilku osób przed ambasadą sowiecką. Gazety potępiły inwazję, to prawda, ale na tym w zasadzie się skończyło — jak gdyby dla spokoju sumienia odwalono przykry obowiązek. Natomiast o dyskryminacjach rasowych w Ameryce pisze się tak dużo i często, że to zakrawa na chorobliwy uraz. Po dwu latach pobytu w Stanach Zjednoczonych wiem na pewno, że gdybym miał tyle wolności w Polsce co Murzyni w USA, na krok bym się z mojego kraju nie ruszył. Łatwo krytykować gdy się samemu nie ma takiego problemu; na razie, kiedy aktorka Maj Britt Nilsson poślubiła czarnego Sammy Davis Jr. jej rodzina na Lidingö dostawała nie jeden obraźliwy telefon i anonimowy list. Rodziny szwedzkich Cyganów są całkiem otwarcie przepędzane przez swoich sąsiadów. Jak przyciśnie, to i swoim się nie daruje; w letniskowym miasteczku Simrishamn przejęci świętym oburzeniem właściciele nieruchomości wnieśli do władz protest przeciw budowie ośrodka dla umysłowo upośledzonych, w strachu przed zmniejszeniem ruchu turystycznego i obniżką wartości posesji.

W eleganckiej dzielnicy Sztokholmu Östermalm stoi zgrabny pałacyk pięknie położony przy szerokiej alei naprzeciw parku. Wewnątrz jest ambasada PRL. Jeżeli o intensywności kontaktów z obcym państwem może świadczyć ilość numerów telefonicznych ambasady, to Polska jest na pierwszym miejscu — związana ze Szwecją na wieczną przyjaźń siedemnastoma liniami. Na drugim i daleko w tyle stoi Grecja, która rozporządza zaledwie ośmioma numerami. Kilka dodatkowych linii ma jeszcze, leżący w sąsiedztwie ambasady polski konsul. Poszedłem tam kiedyś, powodowany absurdalną chęcią zaproszenia mojej matki. Pan attaché

był zajęty, przez półotwarte drzwi poczekalni mogłem zobaczyć skromnie ubraną petentkę, stojącą przed rozpartym w fotelu dyplomatą. Słyszałem rozmowę w tym sensie:

— ... i właśnie chciałam spytać czy pan attaché mógłby mi pomóc w związku z wysłaniem tego auta do Polski.

— Co pani myśli że konsul to przedsiębiorstwo spedycyjne? Co to za samochód? Skąd go macie?

— Kupiliśmy. Używany, stary.

— Aha, kupiliście. A za co?

— Mąż zaoszczędził ze stypendium.

— Z kogo pani próbuje balona robić? Komu pani to opowiada? A z czego żyłicie?

— Naprawdę proszę pana. Kupiliśmy stary, bardzo tanio.

— I teraz chcecie grata do Polski wysłać, prawda? I tam sprzedać za drogie pieniądze, prawda?

— Nie, dla rodziny, za darmo. Na Polskę nie jest wcale zły.

— Aha, na Polskę to nie jest zły. I co z tego, co dalej?

— Potrzebujemy zaświadczenie dla cła że wóz kupiony za otrzymane tutaj pieniądze.

— Powiedziałem że konsul nie wydaje takich zaświadczeń. A czemu nie wracacie do kraju? Powinniście byli dawno wrócić.

— Mąż dostał teraz dobrą pracę. A naszemu znajomemu pan attaché wydał takie zaświadczenie.

— Co mąż dostał tutaj to nas nie interesuje. Macie wracać do Polski i to wszystko na dzisiaj. Kto tam następny?

— Ależ proszę pana, chyba mam jakieś prawa...

— Niech mi pani nie zawraca głowy. Następny proszę.

Posłuchanie było skończone i biedaczka odeszła jak zmyta. Następny byłem ja. Widząc emigranta attaché Flak bez dalszych wstretów przywalił na zaproszeniu pieczęć „Widziano w konsulacie PRL”, za jedyne osiem koron. Matki oczywiście nie puścili.

Swojego czasu zapraszałem przyjaciela z Polski, nie sam, przez znajomą Szwedkę. Poszła potwierdzić wypełniony blankiet ale trafiła nie w porę, akurat tłumaczka szwedzkiego zachorowała. Dziewczyna próbowała po angielsku, francusku, znała nawet parę słów niemieckich. Ani w ząb; żaden z naszych dyplomatów nie znał innego języka prócz rodzinnego. I nie dziwota — znaną jest rzeczą że do polskiej służby zagranicznej dobiera się personel na zasadzie im większy ciemniak tym lepiej — bo taki na pewno nie poprosi o azyl; wystarczającą kwalifikacją tych ludzi jest ślepa wierność dla reżymu.

Wanda, przebywająca w Szwecji jak najbardziej legalnie, postarała się o paszport konsularny wydawany dla Polaków zamieszkałych na stałe za granicą. W obcym kraju czuła się źle i wyobrażała sobie że będzie mogła jeździć do swojego Sopotu; nie umiała

zapomnieć miejscowego *dolce vita* między Grand Hotelem, malarzką kompanią w Zbrojowni i kawiarnią SPATiF'u. W rok po przyjeździe wybierała się do Polski. Po zakupieniu należycie reprezentujących Szwecję podarunków, odpowiednio efektownych ciuchów dla Wandy, walizki itp. — nie zostało mi ani grosza i musiałem żyć do pierwszego na pozostałych w szafce resztkach makaronu, kaszy i płatków owsianych. Jeszcze na koniec okazało się że obywatelka musi złożyć podanie o wizę do swojej ojczyzny i słono za nią zapłacić. Wreszcie pojechała. Trafiła pechowo, dopiero co na Ube przesłuchiwali jej ojca i brata, a ci nie zdążyli już nas ostrzec. Wandzie zaraz zabrali paszport konsularny, potem przez trzy dni rano i po południu milicyjny jeep dowoził ją trzysta metrów do domu na Ube do badania. Jakiegoż to groźnego przestępstwa dopuściła się Lubelska? Otóż okazało się że pocztowa cenzura otworzyła jej list do przyjaciółki, z informacjami jak ta ma sobie i mężowi załatwić przyjazd do Szwecji. I za to teraz dwóch dżentelmenów maglowało nieszczęśliwą dywersantkę od rana do wieczora. Jeden przysadkowaty o grubym karku, w zagranicznej nylonowej koszuli i z eleganckim sygnetem na małym palcu — częstował ją papierosami które ciurkiem paliła, mówił do niej „pani Wandeczko” i walił pięścią w stół. Drugi chudszy bez sygnetu, z rzadka przygadywał, przeważnie krzątał się Wandzie za plecami. Jak można się domyśleć ja w opinii tych panów wychodziłem na nielicznego drania, choć biedulka próbowała bronić mnie nieśmiało. Trzeciego dnia dżentelmeni odkryli karty: zażądali szpiegowania dwóch osób w Szwecji. Odchodziły takie przekonywujące argumenty jak „honor Polki”, „przysługa dla ojczyzny”, i inne w tym guście. Cóż miała robić nieboga, obiecała szpiegować ile się da, donosić na podany adres jakiejś Zosi Szymczak z Sopotu, a mężowi nie pisać ani słowa. Puścili ją wreszcie z ubowskim błogosławieństwem; jeszcze tego samego wieczora była w drodze do Szwecji. W nocy do okna rodziców zapukał Wandy znajomy; nie wiedział że wyjechała i przyszedł ją ostrzec: była u niego milicja i kazali meldować o każdej jej wizycie i poruszanych tematach.

Teraz Szwecja zaczęła się Wandzie gwałtownie podobać i to był cały zysk z ponurej przygody. Ale ja nie miałem zamiaru puścić sprawy płazem: zażądałem zwolnienia z obywatelstwa PRL; była to moja jedyna szansa protestu. Dopieroż zaczęły się koro-wody, podania, ankiety, „wydobywanie dokumentów z Polski” (lapidarny język konsulatu) i za wszystko odpowiednie opłaty w twardej walucie. Ciągnęło się to parę lat — wreszcie przyszła odpowiedź odmowna. Jak się dowiedziałem, odnośny paragraf odznaczał się charakterystyczną jasnością: „odmowa zwolnienia z obywatelstwa PRL nastąpiła z innych ważnych powodów”. Nie-

przychylnie załatwienie mojego wniosku przyjąłem z pokorą; widać władze ludowe zdegradowały swoje obywatelstwo do roli żałostnego piętna które zdejmuje się tylko zasłużonym. Niedługo potem otrzymałem obywatelstwo szwedzkie, bez wątplenia wielki przywilej, który urzeczywistniał marzenie mojego życia: swobodę podróżowania po świecie bez proszenia o łaskę konsularnych urzędasów; nawet polską wizę mogę dostać (oczywiście gdybym zechciał) jak Szwedzi — od ręki na granicy. Równocześnie miałem dowód na piśmie, że w odróżnieniu od opinii władz PRL zostałem w Szwecji uznany za uczciwego człowieka; innym po prostu nie daje się obywatelstwa.

Teraz kiedy mieliśmy pewny grunt pod nogami można było pomyśleć o wyprawie w szeroki świat. Przyjemna jest świadomość że zawsze będziemy mieli gdzie wrócić. Temu kto nie mieszkał w Szwecji trudno sobie wyobrazić jak lekko człowiek oddycha w tym spokojnym i pięknym kraju. Ile tu przestrzeni — na obszarze dwa razy takim jak Wielka Brytania żyje mniej niż jedna szósta jej mieszkańców. Cały Sztokholm dookoła śródmieścia jest poprzedzielany szerokimi kępami lasu; nie jakieś wyleniałe podmiejskie zagajniki, tylko prawdziwy, pachnący las, prawie taki jak u nas w Gorcach. A w nim grzybów, poziomek, jagód, orzechów laskowych, których nikt nawet nie trzusi się zbierać. Dość powiedzieć że Wanda, która wypatrzy prawdziwka na sto metrów, posyłała suszone grzyby do Polski. Naokoło lasów znowu wody, jeziora, zatoki; sztokholmski Skärgården — ogród czterdziestu tysięcy wysp, raj bałtyckich żeglarzy. Słowem żyć nie umierać.

Pewnego dnia wyjechaliśmy ze Szwecji; może dlatego, żeby naprawdę zrozumieć jak tam było pięknie? Teraz wyglądamy na świat z naszej kamiennej dziupli schowanej w wąwozach Manhattanu, oglądamy sobie podwórze, szczyty sąsiednich wieżowców — i rozmyślamy nad tym jak dobrze będzie kiedyś znowu wrócić tam gdzie rosną poziomki.

Andrzej LUBELSKI

Wiersze

Arnold SŁUCKI

TEGO CHCECIE...

*Jak w dzień stworzenia
umierać,
gdy zdarza się ziemia, zieleń
i nic jeszcze nie jest modelem
niczego. Mieć tyle taktu,
aby nie być
i nie przestać być.
Czy tego ode mnie
chcecie, przyjaciele?
Spróbuję. Wy liczcie
chwile.*

Z PODRÓŻY

*A jeśli kiedyś wrócę...
czy zastanę tam kogo?
Spi pamięć.
Ktoś
— na strzępy —
poezję w porę rozdarł.
Kręte
są drogi ubóstwa,
toteż
każdy gdzieś żyje
za karę,
bo żył
i stawiał pytania,*

*gdy w sercu nagle
odkrył przerwę,
jak fizyk w świetle.
Zakrzepło w śnie
wszystko.
Kazanie na Górze
ścięta klasycyzność
i tylko powtarzają nas
podróże.*

REPORTAŻ

Stanisławowi Wygodzkiemu

*Na ulicach Będzina toś biegnie
(Widzisz go).
U czoła pęk różeg (Słyszysz trucht
kopyt).
Szyję tylko przegnie
(upewnić się).
Skopią tropy
(władze)
w ruchu. Cel:
bezpieczne ujęcie.
Nie posługiwać się.
Nie uświęcać. Środki
przejmować
po ukaranym dyscyplinarnie nadleśniczym,
toś biegnie. —
Już las się nie liczy.*

*
**

*Miasto mówiące przeszło nade mną,
jak golfsztrom,
szum ciepłą falą ominął mnie —
i znów byłem sobą,
przejęzyczeniem swym,
POLSKĄ.*

Arnold SŁUCKI

Stanisław WYGODZKI

Z CYKLU „DRZEWO CIEMNOŚCI”

*Wrócić do domu późną nocą,
przejsć przez łękę i mokradła.
Gwiazda w palce ciemności spadła,
jeszcze się w rzece zatrępoce.*

*Wrócić gdzie pies ujada na wzgórzu —
wszystka gorycz, nędza wszystka.
Szmery głądzone drganiem listków
w sercu dokładnie powtórzę.*

*Wróć, wróć, przejsć przez trawy
w światło ukośne zza firanki;
ująć zroszoną rękę kłamki
bez żalości i obawy.*

*Cicho zagwizdać na dawną nutę,
ciężką znienacka ujrzę chmurę;
z cienia ktoś wyjdzie z grubym sznurem,
pogrozi nim, jak knutem.*

20. I. 1970

Stanisław WYGODZKI

Obserwatorium**Polityka jako potęga
chorobotwórcza**

Przedstawiam to w postaci brulionu, destruktu, z miejscami do wypełnienia, bo dokończyć nie było czasu. A jak się w tych warunkach mówi, że zabrakło czasu, to brzmi chyba rzeczowo i jednoznacznie. Przepraszam także za nadużycie formy „ja”, co także stało się w wyniku pośpiechu w określonych warunkach.

1. Po pierwsze — książki. Wyjaśniam: w Polsce wystarczy śledzić amplitudę wydawniczą, co się ukazuje, a co jest przetrzymywane w ciemni, żeby całkiem dobrze odczytać panujące tu stosunki w administrowaniu wiedzą i myślą.

Nasuwa się w tym wypadku zupełnie usprawiedliwione porównanie z rynkiem spożywczym. I tam i tu różnych towarów nie ma. Nie ma w tej chwili mięsa, wędlin, kawy, czekolady i w dalszym ciągu oglądamy kolejki przedstawiające się — w jesieni, gdy ludzie są jakoś szaro i gorzej ubrani — specjalnie obrzydliwie. W ogóle kolejki przed sklepami to jest natrętne zjawisko, które nie liczy się z obchodami 25-lecia PRL. Za to kolejek za brakującymi książkami nie widać. Ale tęsknota za pewnym sposobem myślenia może być nie mniej dokuczliwa, niż potrzeba mięsa.

Wydano raptem jedną, mniej ważną książkę Tocqueville'a i zbiór listów Stanisława Brzozowskiego, powstrzymując się jeszcze przed wydaniem „Legandy Młodej Polski”. To jakoś dobrze podziałało na pamięć i człowiek uświadamia sobie szybko, ilu ważnych rzeczy nie ma w dalszym ciągu.

Zygmunt Freud: ostatnie wydanie („Wstęp do psychoanalizy”) miało miejsce w 1957 a teraz nikt nie zapowiada powrotu do tego bardzo źle znanego psychologa i pisarza, może z ordynarnej przyczyny, że jest Żydem. Czemu nam odjęto możliwość poznania jego znakomitych studiów literackich, jak „Poeta i jego fan-

tazja", „Wspomnienia dziecięce” z tomu „Prawdy i zmyślenia”, czy „Dostojewski i ojcobójstwo”? Talent pisarski Freuda nie był mniejszy od jego pasji lekarskich i filozoficznych.

Ortega y Gasset zdaje się być zdyskredytowany tutaj raz na zawsze, bo nie zachwycał się „buntem mas” i upatrywał w nim powody kryzysu europejskiej kultury. A przecież raz po raz w różnych rozprawach trzeba o nim wzmiankować — i czytelnik nie wie o kogo chodzi — bo tylko raz, w okresie wielkiego luzu (1957), jedną jego pracę, „O dehumanizacji w sztuce”, wydrukowano w *Twórczości*. Jeden z najbliżskotliwych umysłów europejskich został z drugiej strony desek, którymi się zabija nasz rejon. A Mereżkowski, a Pasternak, który z powodu niefortunnej Nagrody Nobla stał się legendą, tak jak teraz zupełnie nie znany w Polsce drugi laureat, Sołżenicyn, którego tylko „Jeden dzień Iwana Denisowicza” i „Zdarzenie na stacji Kreczetowka” były ulotnie publikowane sześć lat temu. Sołżenicyna wykluczonego ze Związku Pisarzy, autora „The First Circle”, „Cancer Ward” — na którego teraz patrzy cały świat — u nas nikt nie zna. Nie znam oryginalnych tytułów wspomnianych przed chwilą książek.

Zapomniałem obok Freuda wymienić Fryderyka Nietzschego, choć pominięcie jego w wydawnictwach i to zupełne (ostatnie jego książki po polsku nie przekroczyły roku 1913) wzbudza szczególny gniew. Nie można w dalszym ciągu, z haniebnym prowincjonalnym kompleksem, utożsamiać dzieła Nietzschego z hitleryzmem! Największe umysły akceptowały jego wpływ z podziwem. Thomas Mann pisał o „Nietzschego dumnym wyobrażeniu o prawdzie, o jego pojęciu uczciwości i intelektualnej czystości, o jego odwadze wobec wiedzy, jego samopoznaniu, samoudręce i melancholii płynącej z wiedzy”. Kto dziś zna w kraju Fryderyka Nietzschego? Ale nie jest to bez konsekwencji, na przeszkodzie stoi zapewne jego „dumne wyobrażenie o prawdzie”.

Sporządzona tu lista ma wartość tylko przykładową i można ją poważnie wydłużyć. Cisza wokół pewnych nazwisk jest wyjątkowa. Czas trzeba uprawiać i nawozić, jak ziemię. Nikt nie naprawi krzywdy wyrządzonej młodym pokoleniom.

2. Tęsknota za pewnym sposobem myślenia. Latem raptem wydano „Listy” Stanisława Brzozowskiego za niesłychaną cenę 240 zł. a cena ma swoją funkcję hamującą. Ale „Listy” znikły z półek, jak za podmuchem wiatru. Wtedy od razu wszyscy sobie przypomnieliśmy, że najważniejsze dzieło Brzozowskiego, „Legenda”, zostaje w ciemni. Ostatnie wydanie z 1937 roku. Po co komu Brzozowski?

K i e d y ś — w mrocznym i egzaltowanym dzieciństwie — czytało się Brzozowskiego w sposób, z którego dziś trudno sobie

zdać sprawę. Dobrze pamiętam okoliczności, było to jesienią, w podnieceniu jesiennym, przy wiatrach działających na nerwy — siadywałem dosłownie zaszyty w gąszczu, w autentycznym lesie pod Kaliszem, z jakichś urojonych powodów szukający odosobnienia, w żółtych, rudych liściach klonów, olch, brzoź i czegoś tam jeszcze, a przywiązany do krzaka koń stał nade mną jak cerber. U Brzozowskiego szukało się, teraz dopiero to widzę, możliwości dotarcia do pewnego progu świadomości. Nie wiem, czy wiele można się było nauczyć z tej jego myśli, amatorskiej, trudnej do zweryfikowania i chaotycznej. Ale zarażała jej dzielność. Człowiek czuł się bliski progu poznania, choć *de facto* go nie przekraczał. Tuż obok, zdawało się, jest coś idealnie przypominające wiedzę i mądrość, a nie będące naprawdę ani wiedzą ani mądrością, tylko ich, wzbudzającą silne wzruszenie, antycypacją. Jest to znane w kulturze zjawisko oscylacji i ocierania się o prawdy, jeszcze nie wyrażone, które wzbudza stan bliskopodobny do myśli i w końcu budzi rzeczywistą myśl. Irzykowski nazwał metodę Brzozowskiego publicznym trawieniem myśli, a on sam pisał o Sorelu: „Pisze samym procesem myślowym, nie konstruuje żadnego zastygłego wyniku: uczy nas myśleć bez sylabizowania. Jest to rzeczywistość myślowa bez tytułu... która nie wstydi się nie mieć wyniku, nie doprowadza do żadnego słupa granicznego, do żadnego kopca”.

I to z tamtego czasu pozostało: przejęcie się tą metodą myślenia na głos, otwartego, która może jest jedyną skromną i uczciwą metodą. Nie uczyć, nie moralizować i nie straszyć wiedzą, która nigdy nie jest zupełna. Freud w rozmowie ze Stefanem Zweigiem: „Nie ma prawdy stuprocentowej, tak jak nie ma stuprocentowego alkoholu”. Więc uczynić czytelnika współnikiem imprezy myślowej i kazać mu podzielić z autorem trud dociekania i wnioskowania. Prawdę powiedziawszy tylko w taką metodę publicystyki mogę uwierzyć. Inna sprawa, że po wojnie nie było wiele okazji, żeby ją zastosować, bo tu wnioskowanie odbywa się *a priori*, przed uderzeniem w klawisze maszyny i przed uruchomieniem procesu myślowego — zgodnie z zaleceniem. Jedno z kardynalnych praw w Polsce i obowiązuje w każdym zakresie, nawet w najgłębszym felietoniku. Pewne nazwiska, niektóre skojarzenia, pewne kierunki wnioskowania są wykluczone z góry i po prostu trzeba myśl odzwyczaić od zbaczania z drogi. Powinna iść przy nodze. Tym się też tłumaczy głęboka niechęć redaktorów do dygresji w proponowanych im artykułach. Wszystko to, trzeba przyznać, ma swoją konsekwencję, jest owocem dłuższego zbiorczego procesu. Najdziwniejsze, że ktoś to przewidział już 140 lat temu!

3. Fatalistyczne spotkanie z Tocquevillem. Niczym nie potra-

fię sobie wytłumaczyć, że w 1958, na wiosnę, gdy jeszcze nic nie zapowiadało skandalu z „Dziadami” i jego następstw — zobaczywszy książkę Tocqueville’a („De la Démocratie en Amérique”) w antykwariacie naukowym na Świętokrzyskiej wziąłem ją ze stołu jak swoją; bez przewracania kartek, co należy do miłego ceremoniału w każdej księgarni, załatwiłem transakcję w ciągu minuty i potem pewny, absolutnie pewny — czego? — z książką mocno ulokowaną pod pachą wróciłem do domu. Do twierdzy, jak mówią Anglicy. Ale u nas dom nie jest twierdzą w materialnym ani w prawnym sensie, zawsze tu mogą zajrzeć dwaj czy trzej smutni panowie, jak się w Warszawie mówi, i robić co im się podoba. Jednak te cienkie ściany, choćby załatwiała przez nie pijacka pieśń „Sto lat”, w specyficznym polski sposób pomieszana z „Oczy czornyje” i „Czerwonymi makami na Monte Cassino”, stanowią pewne opakowanie bez gwarancji. Lepsze opakowanie bez gwarancji niż żadne. Kiedyś jako ochronę miałem liście klonu, olchy i czegoś tam jeszcze i chrapy mego rozsiodłanego konia nad głową. Za to pozbyłem się młodości, która sama w sobie jest niebezpieczeństwem. Biorąc pod uwagę kurczenie się przestrzeni — również tej wewnętrznej — pod wpływem czasu, jestem dziś bardziej hermetyczny i ogarnięty. Jest mnie mniej, w pewnym sensie, łatwiej tego upilnować.

Boy ponosi winę, że nie spolszczył Tocqueville’a, tak jak to zrobił z Monteskiuszem, bo obaj są równie wielkimi pisarzami politycznymi. U nas wydano teraz tłumaczenie tylko „L’Ancien régime et la révolution”, ale „O demokracji w Ameryce” nie wydano, choć należało zacząć od tamtego, zresztą głównego dzieła. Ale gdzie jest fenomen: że czyta się teraz Tocqueville’a z żarliwością sztubaka, który nie może opanować swojej duszy w galopie, po prostu tak, jak się kiedyś czytało Brzozowskiego. Ten fenomen tylko jednym się tłumaczy — że Tocqueville (wciąż mam na myśli „Demokrację w Ameryce”) zaspakaja tzw. głód nieświadomości, jak mówią przyrodnicy, że jest to kwestia nostalgii i awitaminozy. Stara, dokładnie obgadana forma ustrojowa, demokracja, w naszych warunkach, od ćwierć wieku, stała się miltonowskim rajem utraconym, a w każdym razie pojęciem zagubionym, które momentalnie się zmitologizowało. Odnośnie demokracji nie przyjmujemy żadnych krytycznych poprawek, nic nas nie obchodzi wieści o wynaturzeniach tego typu ustroju tu i tam; i mamy rację, do pioruna, a przynajmniej mamy prawo myśleć o tym w tak selektywny, idealny sposób, bo taka jest psychologia stosunku do rzeczy zabranej, dalekiej, celu na widnokręgu.

Tocqueville stara się być chłodnym i zrównoważonym w sądach, ale nikt się na to nie da nabrać. „*Faux semblant!*” — wykrzykuje komentator w moim wydaniu. *Ce texte est passionné.*

Tocqueville cherche à comprendre, telle est sa quête anxieuse et celle de son livre. Son instrument est bien intelligence; il la veut étrangère aux partis, au-dessus d’eux: d’où les dehors posés. Mais le fond brûle: ce livre est une œuvre engagée. Y en eut-il jamais de très grande, d’ailleurs, qui ne fût pas cela?”

Dzieło to jest dziwnym wynikiem mieszanki uczuć i rozumu, który nad nimi zapanował. Tocqueville pozostał arystokratą aż do cebulek włosów, jak jego rodacy mówią, płakał nad absolutną nieprzydatnością starego ustroju i zdecydował się na demokrację, jak się człowiek decyduje na małżeństwo, gdy staje się ono najlepszym wyjściem z sytuacji. Ale odtąd pilnował tego moralnego i myślowego nabytku, bo już był jego. Śledził szanse demokracji z zazdrością i bolał nad jej niebezpieczeństwami, które przewidział jako pierwszy w historii. To jest coś nie do wiary: dostrzec możliwości deprawacji tej formy ustrojowej w momencie, gdy dopiero wchodziła w życie i to w ogólnym entuzjazmie, na peryferiach świata kulturalnego, w Ameryce! Do takiej przenikliwości tylko wielka miłość jest zdolna, choć była począta z rozsądku. Są więc tam fragmenty zaskakujące, które komentatorowi przypominają Kafkę, na co zgoda, i Bóg wie co jeszcze, nawet film „Ostatniego lata w Marienbadzie”. Mnie przypominają moje (nasze) bezpośrednie życie.

Komentator: „*Tocqueville a pris conscience de l’abstraction du gouvernement démocratique. Il en est effrayé. Là gît, selon lui, la menace d’un despotisme jusqu’alors inconnu et capable d’annihiler jusqu’à l’idée de liberté. En uniformisant les conditions, l’égalité fait se fondre les individus dans la masse, s’y perdre au profit du corps social tout entier, de la multitude imposante. Les droits souverains de l’une écrasent peu à peu les droits des autres. A la limite, il pourra arriver qu’avec la centralisation croissante de l’Etat et le progrès de son pouvoir, une nouvelle aristocratie soit l’effet de l’importance acquise par les fonctionnaires. La bureaucratie est en place”¹.*

Proszę, ile z tej książki, tak w czasie oddalonej, sklasycyzowanej, pozornie nadającej się do wypisów szkolnych — wynika pierwszorzędnej materii politycznej! To wielka prawda, nigdy, w epokach rządów absolutnych, w epokach starożytnych dyktatur

1. Tocqueville zrozmiał abstrakcyjność rządu demokratycznego. I był tym przerażony. W tym, według niego, leży groźba despotyzmu, dotąd nieznanego i zdolnego unicestwić nawet samą myśl o wolności. Uniformując warunki, równość spowoduje to, że jednostki stopią się w masie, zginą w niej na korzyść ciała społecznego, narzucającego się tłumowi. Najwyższe prawa masy powoli zgniotą prawa innych. W końcu może się zdarzyć, że ze wzrastającą centralizacją Państwa i postępującą jego władzą, wynikiem zdobytego przez urzędników znaczenia będzie nowa arystokracja. Biurokracja stanie się ciałem.

władza i potęga państwa nie były ani w przybliżeniu tak rozróżnione i dotkliwe jak dziś. Wszystko w tym kierunku zrobiliśmy, żeby przy pomocy swoich najlepszych pomysłów wyhodować straszdyło, jakim w ogóle państwo się staje — w całym znaczeniu tego słowa — a gdzie indziej już jest. Rzecz coraz bardziej wzbudzająca wstręt, nie tylko teoretyczny, w znaczeniu *odium theologicum*, ale instynktowne przerażenie ginącego gatunku. Ginącym gatunkiem jest człowiek wolny. Państwo przestaje (albo już przestało) być organizacją ochrony wolności człowieka, a staje się (czy już się stało) machiną jego stopniowego skrępowania, aż do mniej więcej całkowitej utraty swobody ruchu. Nie ma dla tego nazwy, jeszcze jej nie ma.

Ale cóż sam Tocqueville o tym?

„*Je pense donc que l'espèce d'oppression dont les peuples démocratiques sont menacés ne ressemblera à rien de ce qui la précédée dans le monde; nos contemporains ne sauraient en trouver l'image dans leur souvenirs. Je cherche en vain moi-même une expression qui reproduise exactement l'idée que je m'en forme et la renferme; les anciens mots de despotisme et de tyrannie ne conviennent point. La chose est nouvelle* (podkreślenie moje), *il faut donc tâcher de la définir, puisque je ne peux la nommer*”².

Olśniewające! Więc i Tocqueville miał te same kłopoty (wychodząc z założeń bezwzględnej uczciwości), jakie ma dziś każdy usiłujący dokładnie myśleć człowiek, któremu wydaje się niemożliwe używanie stereotypów. Z zastrzeżeniem, że tych osób narzucających sobie dokładność myślenia i sformułowań nie jest dużo. Lenistwo, tendencyjność, zniecierpliwienie — dyktują epitety w miejsce nazw i określeń. Nawet w chwilach największego rozgoryczenia opierałem się równaniu terminu „okupacja” z warunkami powojennymi w kraju. Zakazywał mi tego instynkt, zarówno polityczny jak semantyczny. Po prostu dlatego, że gdy się niewiadome wypełnia mylnymi wartościami, to i rachunek będzie zwodniczy. Już samo poczucie niebezpieczeństwa, które nas otacza — nacisk i nadmiar wątpliwych pojęć — powinny przestrzegać przed zacieraniem granic ścisłej prawdy, bo to grozi samorozbrojeniem i cóż nam potem przyjdzie z potrząsania tymi zabytkami z demobilu! Różnica między okupacją a dzisiejszą sytuacją jest ogromna, choć już nie może się to liczyć jako pociecha, jest to sprawa po-

² Myślę, że rodzaj ucisku jaki zagraża narodom demokratycznym, nie będzie w niczym podobny do tego, co już było na świecie; nasi współcześni nie mogliby wywołać jego obrazu w swoich wspomnieniach. Ja sam na próżno szukam wyrażenia, które mogłoby oddać dokładnie wyobrażenie jakie sobie o nim wytwarzam i które je obejmuje; dawne słowa: despotyzm czy tyrania, nie są tu odpowiednie. To jest coś zupełnie nowego, trzeba więc starać się to określić, jeżeli nie mogę tego nazwać.

równania jakościowego ówczesnych i teraźniejszych stosunków. A przede wszystkim różnica, *so to speak*, syntaktyczna: teraz jest inny stosunek podmiotu do przedmiotu, mimo że naród w dalszym ciągu pozostaje w sytuacji tego drugiego. Jednym słowem tego się nie da nazwać i tak jak Tocqueville stoimy wobec konieczności omówienia.

Dygresja. Tu, nareszcie, nie poczytaj mi dygresji za brak dyscypliny. Wyjaśnienie tej sprawy głównej (okupacja czy coś gatunkowo innego?), budzącej tyle niepokoju, byłoby jednym z paru najważniejszych zadań dla tych, co próbują pisać o kraju — którzy nie pozwalają sobie na oderwanie się myślami od tego centralnego zagadnienia — i usiłują generalizować. Filozofia musi tu zgodzić się na jakieś istotne sprzężenie z publicystyką. Byłoby to zadanie dla takiego człowieka, jak Leszek Kołakowski, choć naturalnie najmniejszego nie mam wyobrażenia, czy ma na coś podobnego ochotę. Tuż obok jest inny kapitalny temat do penetracji: przedstawienie subtelного procesu *oportunizmu*, który ogarnął jednych, drugih szybko ogarnia. Zahaczyłem o to w poprzedniej korespondencji pt. „Sycić nieporozumienie”. Trzeba na ten temat pisać, nie bać się powtórzeń, pisać choćby w formie brulionu — szkicu otwartego do uzupełnienia. Miałoby to charakter dokumentu, dramat myśli w kraju jest dokumentem.

4. Przejmująca lektura. Cytowałem dotąd po francusku, bo uważałem, że jeżeli nawet jest przetłumaczalny sens słowa, to w każdym razie traci ono coś ze swojej istoty; gubiąc swoją nacoczność morfologiczną słowo tanieje i wulgaryzuje się. Ale nie można dłużej wystawiać na próbę cierpliwości czytelnika.

Nie znalazłszy odpowiedniego terminu pojedynczego Tocqueville omawia interesujące go zjawisko:

„Pragnę sobie wyobrazić jak będzie wyglądał ten nowy rodzaj despotyzmu. Widzę nieprzebrany tłum podobnych sobie i równych ludzi wierzących się bez wytchnienia wokół własnej osi, w poszukiwaniu małych i pospolitych przyjemności, którymi sycą duszę [...] Ponad nimi wznosi się ogromna władza nadzorczą (*tutélaire*), która sama się podejmuje zapewnić im wszelkiego rodzaju satysfakcje i czuwać nad ich losem. Władza to absolutna, pedantyczna, systematyczna, przewidująca i łagodna. Byłaby podobna do władzy ojcowskiej, gdyby, jak tamta, miała na celu przysposobienie ludzi do wieku męskiego; ale tej chodzi o coś odwrotnego, o nieodwołalne przytrzymanie ich na szczeblu dzieciństwa. Lubi, gdy obywatele sobie używają, byle o czym innym, niż uciechy nie myśleli. Chętnie pracuje nad zapewnieniem im szczęścia; jednak chce być jedynym sprawcą tego szczęścia i jego jedynym arbitrem; dba o ich bezpieczeństwo, troszczy się o ich

potrzeby, prowadzi za nich interesy, kieruje ich przedsiębiorstwami, reguluje sprawy spadkowe, rozdziela odziedziczone mienie; niewiele brakuje, żeby im w ogóle odjęła kłopot myślenia i ciężar życia, (*que ne peut-il leur ôter entièrement le trouble de penser et la peine de vivre?*). W ten sposób obywatel z każdym dniem rzadziej i coraz mniej skutecznie używa swojej swobody; ograniczając zasięg jego wolnej woli rząd urywa, kawałek po kawałku, z jego osobowości.

„[...] Ujawszy każdą jednostkę po kolei we wszechwładne ręce i ugniósłszy na swoje kopyto, władza rozciąga ramiona nad całym społeczeństwem; zaciąga nad nim sieć skomplikowanych, nudnych i drobiazgowych przepisów, poprzez które nie przedrze się żaden oryginalniejszy umysł i dzielniejsza dusza dążąca do zdystansowania tłumu; tego rodzaju rząd nie łamie woli, ale ją osłabia, nagina i podporządkowuje; rzadko zmusza do działania, ale przeciwstawia się każdej inicjatywie; nie niszczy, ale pilnuje, żeby nic nie wzrastało; nie tyranizuje — za to krępuje, tłumi, osłabia, gasi, ogłupia i w końcu redukuje naród do postaci stada posłusznych choć zmyślnych zwierząt, których staje się pasterzem”.

To trzeba zademonstrować w oryginale: *il réduit enfin chaque nation à n'être plus qu'un troupeau d'animaux timides et industriels, dont le gouvernement est le berger.*

Czytelnik świadkiem, że nie ominąłem tu i tych sformułowań, które nie zgadzają się z interesem moich wywodów, tych różnych wzmianek, niuansów, rewersów w rodzaju „władzy łagodnej i dbającej o rozrywki, a nawet o szczęście i spokój obywateli”. W fazie obserwacji Tocqueville'a — a przecież miał przed oczyma model amerykański na początku ewolucji — te zastrzeżenia były zupełnie prawdziwe, ale nie mają już zastosowania do modelu, który nas tu obchodzi, tzw. demokracji ludowej, ustroju rażąco wypaczonego w relacji do swojej nazwy, na którą bynajmniej nie zasługuje.

Cytując Tocqueville'a odczuwa się posmak rewelacji. A dlaczego? Jego określenia nie wnoszą nic nowego w stosunku do współczesnego doświadczenia. Tak, ale tkwi w tym świadectwie urok odkrycia *avant la lettre* i niedająca się wymacać, zbadać przyjemność potwierdzenia naszej człowieczej identyczności sprzed półtora wieku. Bo człowiek, który myślał i tęsknił tak samo, jak my dziś, musiał być ten sam i taki sam. Wobec paniki ogarniającej gatunek człowieka wolnego uświadomienie sobie starożytności tego gatunku daje, może bezużyteczną, satysfakcję.

A jaka refleksja praktyczna? Żadna. Tym gorzej dla nas, którzy — mając wszystkie dane do dedukcji w znacznie większym stopniu niż Tocqueville — położyliśmy jednak głupie głowy na pień. Nieprawda, że nie było żadnego wyboru, człowiek nie

może zrezygnować z pryncypialnej myśli, że zawsze b y ł wybór. Bez możliwości wyboru — nawet jeżeli to przekonanie dotyczy przeszłości — nie ma co żyć. Wolę świadomość wyboru, z którego nie skorzystałem, niż myśl, że takiego wyboru w ogóle nie było. Przeszłość nigdy nie przestaje zupełnie obchodzić. Wciąż jest się gotowym konstytuować wstecz, urządzić t a m t o jak pokój do zamieszkania, jakby w przeszłość można się wrócić i tam zamieszkać. Ale to nie jest śmieszne, to dobrze, że jednak swoje życie pojmuję się jako integralną całość i jest się gotowym odpowiadać również za to, co było. Totalne pojmowanie swojego istnienia ułatwia różne decyzje, a w każdym razie ułatwia określenie swego stanowiska wobec terażniejszości. Można teraz powiedzieć po prostu: a jednak to g ó w n o.

5. Nadrzędne współczesne uczucie. Uczuciem które dziś człowieka przenika jest nieufność i nienawiść do polityki. Choroba, ze wszystkimi jej cechami. Alergiczna pokrzywka. Wystarczy samo słowo, żeby w całym organizmie odczuć przygnębienie, rodzaj przedsmaku śmierci. Tak duże jest rozczarowanie wobec polityki, która zupełnie zawiodła jako narzędzie demokracji, a odwrotnie, wykształciła się teraz jako super-bronń antydemokratyczna, jako technologiczny cud do deprawowania i redukcji społeczeństwa.

Drugim pojęciem, które wywołuje alergiczny wstręt, jest, jak mówiłem, państwo.

Niechętnie przypomnę przesłanki tej wrogości, bo wydaje mi się, że wszystko to truizmy — z drugiej strony muszę zadbać, żeby te wywody jakoś się kupy trzymały. Jedyne dopuszczalne sens państwa, to administracja, wybieralny i czasowy zarząd. To jest znaczenie skromne i ograniczone i może niejednego otumanionego państwowotwórcę dotknąć; ale gdy tylko się odstepuje od tego skromnego i ograniczonego znaczenia państwa, natychmiast staje się ono tworem nieludzkim, skierowanym przeciw człowiekowi. To, co się dzieje na naszych oczach, zwłaszcza tu w kraju, jako proces jest stosunkowo proste, ale przez to nie przestaje być przerażające.

Treść jedynie sensownej i humanistycznej formuły państwa (jako czasowego zarządu) raptownie — bo wystarczyło pół wieku — rozwinęła się wbrew interesom ludzi, którzy ją w najlepszej wierze stworzyli, wyemancypowała się, absurdalną zrobiła karierę. W końcu zostało to uwieńczone uzurpowaniem sobie cech mistycznych. Za „obrazę majestatu państwa” idzie się do więzienia nawet w dość normalnie funkcjonującym społeczeństwie. Tu można to przyplacić życiem, a jednocześnie unieszczęśliwić rodzinę, bo tu obowiązuje odpowiedzialność mniej więcej zbiorowa, co jak

wiadomo wynaleźli hitlerowcy. Człowiek, czy jakaś grupa parlamentarna, która się kiedyś zgodziła na uchwałę, że za obrazę państwa ponosi się karę — rozpętali ciąg konsekwencji, o jakich nie mogli mieć nawet przybliżonego pojęcia. Jakiś dureń kiedyś wygłosił w dobrej wierze tę myśl w swoim *maiden speech* — a tłum to podchwycił w zaufaniu, ani się domyślając tkwiących w tym nasion absurdu i opresji i tak się już odtąd utarło ku naszej hańbie i na nasze nieszczęście. Tak się zaczęło.

Liwa ben Becalela, rabin i alchemik praski, ulepił z gliny olbrzyma, po czym ożywił go przy pomocy tetragramu, a Golem, sobie pozostawiony, rozpoczął bezmyślną i niszczycielską robotę.

Proszę spojrzeć, co się zrobiło z urzędu zwanego państwem w kraju taki jak nasz. Ludzie, którzy objęli związane z tym stanowiska, przyznali sobie przywileje nie mające nic wspólnego z głównymi ideami demokracji i ze zwykłym rozsądkiem. W tragicznym rozumowaniu Tocqueville'a nie ma, mimo wszystko, jednego: że degeneracja republiki dojdzie aż do tego, że wybór rządu — *condition sine qua non* tego ustroju — zostanie anulowany. Tego Tocqueville nie przewidział mimo całej potęgi swojej indukcji. Ale nasi panowie mają wybory z głowy. Tylko między nimi, w hermetycznym zakresie i drogą „towarzyskiego” zamachu są do pomyslenia jakieś zmiany za biurkami. Są nieomylni. Nietykalni. Cechuje ich absolutny brak poczucia humoru, tak jak istnieje słuch absolutny, cecha zresztą złowieszcza. Kto by przypuszczał, że kwestia humoru może być funkcją zajmowanego stanowiska i ściśle się wiązać z psychologią władzy: dotąd się myślało, że humor to swobodny ptak niezależny od żadnej sytuacji i każdą sytuację wykorzystujący dla swoich wspaniałych celów. Nic podobnego! Od ćwierć wieku w Polsce nie istnieje żadna godna tej nazwy satyra, w słowie czy rysunku. Ograniczone produkcje karykaturzystów (którzy i w tych warunkach muszą przeciw z czegoś żyć) dotyczą drobnych płotek rządu kierownika sklepu spożywczego, czasami dyrektora przedsiębiorstwa, pod warunkiem że aluzja będzie ściśle anonimowa. Najchętniej satyrycy zajmują się obcymi stosunkami i zagranicą: jedną z ubocznych cech ludowej władzy jest zupełny brak taktu i naturalnie nie jest to najbardziej dotkliwy brak (o braku kompetencji na wszystkich szczeblach pisałem nie raz). Obawa żartu łączy się logicznie z paniczną wrażliwością na krytykę, nawet w dzieciennym, nawet w werbalnym zakresie. Użycie pewnych terminów jest niedopuszczalne, bo mogą się one skojarzyć z tutejszym personelem władzy. Za takie figle personel mści się natychmiast. Mściwość jest trzecią, czy którąś tam, łańcuchową cechą Golema.

Co dzień uginamy się pod dwoma brzemieniami: kłamstwa bezpośredniego i pustego frazesu. Gdy te słowa piszę, zaczyna się

właśnie tzw. dekada książki społeczno-politycznej. Ale i bez tych różnego rodzaju akcji impregnuje się nas co dzień kłamstwem i pustym frazesem, wystarczy czytać gazety, słuchać radia, patrzeć na ekran telewizji. Czasem myślę, że przenika to pod skórę nawet gdy się nie czyta gazet, nie słucha radia i nie patrzy w telewizor. Tak jak nie trzeba być palaczem, żeby nasiąknąć dymem tytoniowym, wystarczy przebywać we wspólnym pomieszczeniu. Ale jedyna rada: mówić sobie: nie; mówić sobie: zaraz, pozwólcie pomyśleć; mówić sobie: chwilkę, niech się odezwi serce. Niechże w nas nie umilknie ani na chwilę zmysł sprzeciwu — cudowna busola umysłu — czynnik namiętny, pobudzający, dialektyczny. Tutejsi politrucy sobie pewnie przypisują wynalazek słowa i pojęcia dialektyki, ale to jest zdobycz starożytnych. By sięgnąć do źródeł, to nic innego jak sztuka dyskusowania, umiejętność dotarcia do prawdy przez ujawnienie sprzeczności w sądach przeciwnika. Otóż władza tutejsza nie wierzy w żadną dialektykę, choć to słowo nie schodzi jej z ust, jak wiele innych pięknych wyrazów. Golem to praktyk, Wielki Praktyk. Stworzył rzeczywistość *n o m i n a l n ą*, ale rządzić przecież trzeba przy pomocy środków materialnych korespondujących z rzeczywistością istniejącą prawdziwie. Więc postawił na świeczniku cały rząd pojęć, którym każe wybijać pokłony, jak rewolucja, jak proletariusz, jak dobro ludu — a jednocześnie tłumi każdy odruch nie tylko rewolucji ale i reformy, manipuluje proletariuszem bez najmniejszych złudzeń co do jego rzekomych nadzwyczajnych wartości i każe ludowi, żeby poza spełnianiem tej roli reprezentacyjnej i nominalnej trzymał głowę w kuble. To w sumie zabawne, ale i groźne (jedno nie wyklucza drugiego). Władza manipuluje sztonami. Jednak nie są zbyt bezpieczne te wysiłki aparatczyków wtargnięcia ze sztonami w strefę intelektualną, uczynienie z tego wartości myślowych. Uporczywa chęć, żeby zdjąć z nas ciężar tego, co Tocqueville w nieporównany sposób nazwał *le trouble de penser et la peine de vivre*.

6. Aktualność sprawy Sołżenicyna. Odebranie nam możliwości czytania Sołżenicyna i w ogóle jego sprawa, zwłaszcza dziś, gdy otrzymał Nagodę Nobla, łączy się wymownie z przedmiotem tego artykułu. Komunikat oficjalny był prosty: „Wykluczając Sołżenicyna ze Związku Pisarzy wiedzieliśmy dobrze, że ta decyzja została aktywnie podtrzymana przez całość opinii publicznej. Jest więc godnym pożałowania, że komitet Nagrody Nobla dał się wciągnąć w przynoszącą mu ujmę grę, nie w intencji rozwoju wartości duchowych i literackich tradycji, tylko dyktowaną przez spekulatywne poglądy polityczne”. Mamy więc, zgodnie z duchem i literą tego oświadczenia, wierzyć, że Sołżenicyn za swoją kampanię lite-

racką został potępiony przez szeroką opinię publiczną. Mamy w to wierzyć mimo faktu przepisywania jego utworów na maszynie i rozsyłania ich wewnętrzną tajną pocztą, mimo systemu „samizdat” i tylu innych dowodów, że ten wybitny człowiek, (nie wiadomo czy równie wybitny jako pisarz, w artystycznym sensie tego wyrazu), stał się od paru lat, dosłownie, sumieniem Rosji i wszystkich, którzy znajdują się w sytuacji podobnej do Rosjan, w Czechosłowacji, w Rumunii, w Niemczech wschodnich, w Polsce. Komentator radia szwedzkiego miał wyrazić nadzieję, że przyznanie Nagrody Sołżenicynowi nie będzie poczytane za akt polityczny, nie wywoła burzy takiej, jak w poprzednim wypadku, Pasternaka — bo Nagrodę tę przyznano pisarzowi, a nie politykowi. To nie jest prawda. Przyznano tę Nagrodę pisarzowi, którego praca ma ogromne znaczenie polityczne w najuczciwszym znaczeniu tego zbrukanego pojęcia. I nie ma mowy, żeby obyło się to w atmosferze obojętności ze strony dotkniętego tym głęboko Personelu Władzy. Sam Sołżenicyn napisał w „The First Circle”: „Wielki pisarz jest czymś w rodzaju drugiego rządu. Oto dlaczego każdy reżym nigdy nie lubi wielkich pisarzy, tylko poślednich”.

Nie wiemy, czy Sołżenicyn pojedzie do Sztokholmu i co się stanie w związku z tą sprawą. Ciekawi mnie również, do jakiego stopnia wersja tego wypadku i komentarze rosyjskie zostaną przejęte przez prasę polską. Na razie podano tylko wspomniany tekst o spekulacyjnym charakterze Nagrody i o Sołżenicynie jak wyrodku społeczeństwa. Można być pewnym, że będą i u nas odpowiednie solidarne rozważania. Rząd radzi sobie dobrze z brakiem gorliwości u piszących: nie mogąc zmusić wybitniejszych, inspirowuje małych.

Nienawiść Gomułki do jajogłowych rozwija się z wiekiem i prawdopodobnie z pogłębiającym się u niego przeświadczeniem, że już nie zdąży zrozumieć, po co są na świecie intelektualiści w rodzaju Brzozowskiego, Tocqueville’a czy wreszcie Sołżenicyna. Tę smutną sytuację ułatwia staremu człowiekowi okoliczność, że o większości z nich nic nie wie. Czuje tylko obcy gatunek. I zabezpiecza się. Ma rację. Najbliższym zadaniem jajogłowych będzie — w skali wielkiej literatury — odmitologizowanie pojęcia władzy państwowej. Wtedy Golemowi pozostanie tylko policja, rzecz, bądź co bądź, mniej trwała niż mit i kult.

Ostatni kawał. Gomułka był swego rodzaju rycerzem, w każdym razie wydawał się rycerzem pewnej sprawy. Co dziś zostało w nim z rycerza? Zakuty łeb.

PELIKAN

Kraj

List z Kraju

Szanowny Panie,

Zaczynam ten list po raz nie wiem już który, a czasu mam mało. Przed tygodniem, dosyć niespodziewanie, znalazłem się za granicą. Jeszcze tylko kilka dni i będzie na pisanie za późno, wracam do kraju, gdzie czeka mnie codzienny strach i codzienny wstyd.

Tyle jest szczególnych elementów naszego polskiego bytowania, dlaczego więc wymieniam właśnie wstyd i strach? Może to jeszcze wyjaśnię, choć wcale nie jestem pewien, czy wyjaśnienie jest potrzebne i w ogóle, czy list ten jest komukolwiek prócz mnie potrzebny. Macie swoich korespondentów i niezłe orientujecie się w sprawach polskich. Piszę ten list, bo coś tam (co?) muszę z siebie wyrzucić, a przecież zdaję sobie sprawę, że nie wyrzucę nic, że nie pozbędę się w ten sposób ani niepokoju, ani wstydu. Wracam do kraju, do żony i dzieci, do miejsca pracy i coraz mniej licznych przyjaciół. Wracam także do wrogów, tych których znam i tych, których nigdy nie poznam, ale którzy znają mnie, wiedzą z kim się spotykam, o czym mówię, a przede wszystkim o czym nie mówię. Nauczyłem się bowiem milczeć, dlatego może ten list, głos człowieka, który nie potrafi już znieść własnego milczenia.

Takich jak ja — milczących — jest w kraju coraz więcej, na nas więc skupia się najmniej wdzięczna, nieefektywna i żmudna praca etatowych oczu i uszu aparatu władzy. Etatowi wiedzą co robią. Kto milczy w chwilach, kiedy środki masowego przekazu zaczynają na komendę krzyżeć o kolejnym przełomie historycznym i zapewnijają, że oto znów naród skupił się wokół partii i rządu, ten jest wrogiem ukrytym a więc szczególnie niebezpiecz-

nym. Wszyscy zostaliśmy już zresztą sklasyfikowani i zapisani w rejestrach. Są w tej klasyfikacji niezbyt liczni, ale coraz liczniejsi, NASI, o których z całą pewnością wiadomo, że na każde skinienie gotowi są zgłosić akces, poprzeć, wyrazić solidarność lub zgoda wdzięczność. Są BLISCY, którzy robią mniej więcej to samo, ale dopiero kiedy czują się przyciśnięci do muru. Po tym idą NIEPEWNI: ci także zapewniają o swoim kompletnym zaangażowaniu, ale w momentach krytycznych, kiedy wymagana jest brudna robota, zlikwidowanie kolegi lub gorąca aprobata jakiejś szczególnie haniebnej decyzji centralnej, zapadają się pod ziemię, są na doraźnym urlopie, „na wyjeździe”, a nawet decydują się na pilne wycięcie wyrostka robaczkowego, w każdym razie unikają z pola widzenia, by po kryzysie wrócić skromnie na profesorski fotel lub urzędnicze krzeselko, darząc wszystkich — zarówno egzekutorów jak i ofiary — tym samym sympatycznym, powściągliwym ale pełnym zrozumienia skinieniem głowy.

Po tych trzech kategoriach obywateli, na których w stopniu większym lub mniejszym władza może liczyć, idą już tylko WROGOWIE — oczywiście najrozmaitszego kalibru: potencjalni, bierni, czynni, a nawet jawni. Jawnych policzyć można na palcach, korzystają zresztą ze specjalnego statusu. Ponieważ za wrogów uznani zostali oficjalnie, wolno — im jednym — zachowywać wymowne milczenie, wolno im nawet wypowiadać swoje „nie” w miejscach publicznych. Podlegają oczywiście rozlicznym szykanom, w zasadzie jednak nic im nie grozi. Są nawet użyteczni, służą jako koronni świadkowie, że w kraju panuje swoboda przekonania. Wrogów niekoncesjowanych w zasadzie nie widać. Ich miejsce jest za murami więzień.

Jeżeli wrogów jawnych jest garstka, to tych którzy milczą liczyć można w każdym miejscu pracy, w każdym mieście na dziesiątki, setki, tysiące i setki tysięcy. Gigantyczna praca aparatu bezpieczeństwa polega przede wszystkim na tym, by mieć ich stale na oku. Aparat jest zresztą pobłażliwy i żywi ambicje wychowawcze. „Bliski” może awansować do „naszych”, „niepewny” może dowieść, że w gruncie rzeczy jest bliski, nawet wrogowie nie są pozbawieni życiowej szansy. W stosownej chwili znajdzie się ktoś, kto życzliwie uprzedzi, że oto nadarza się okazja: można załatwić zagraniczne stypendium naukowe, przeniesienie do Warszawy, mieszkanie w nowym domu, politechnikę, dla syna. Niby głupstwo: politechnika dla jedynaka, który upodobał sobie półprzewodniki. Jeżeli okazji się nie wykorzysta, jedynak skazany będzie na Wyższą Szkołę Pedagogiczną i pełen żalu do niezaradnego ojca, wyłącza jako nauczyciel w szkole średniej. A przecież od nikogo nie wymaga się rzeczy niewykonalnych, nie trzeba od razu składać donosów, wystarczy przerwać milczenie lub podnieść

rękę na znak patriotycznego, socjalistycznego, internacjonalistycznego poparcia.

W ten sposób korozja zżera nie tylko pojedynczych ludzi, ale całe grupy społeczne. Kto zdecydował się na podniesienie ręki, odczuwa początkowo jedynie upokorzenie i pełen jest litości nad sobą, po tym zaczyna nienawidzić i zwalczać tych, którzy ręki jeszcze nie podnieśli. Komórki rakowe rozwijają się pod czułą opieką kadry wytrawnych specjalistów. Następują przerzuty. Czy trzeba tłumaczyć, że przerzutom sprzyja zwyczajne ludzkie zmęczenie i strach? Nie, nie strach przed represjami, ale strach przed czasem, który ucieka. Komu potrzebna jest anonimowa ofiara chemika, który uważa, że stoi u progu ważnego odkrycia? Lekarza, który nie może zostać ordynatorem? Pisarza, który nic nie opublikuje? A nawet studenta, który pragnie zostać dziennikarzem?

Działanie czasu przybiera w tych warunkach formy szczególne i nieoczekiwane. Ewolucje poglądów przebiegają w sposób tragicomiczny. Ci którzy w roku 1945 w dobrej wierze czy nawet jako obcy agenci obejmowali władzę w kraju, mają za sobą pierwsze lata euforii, sukcesów towarzyskich, czasem nawet jakichś istotnych osiągnięć w dziedzinie odbudowy kraju. Śmierć Stalina była oczywiście dla komunistów klęską, wielu jednak zaskoczyła w dobrej kondycji psychicznej i fizycznej. Byli tacy, którzy po Poznaniu i Październiku przeżyli rzetelną ewolucję poglądów i ujrzeli pustynię w miejscu, które chcieli widzieć kwitnącym ogrodem. Kiedy więc wybiła godzina prawdy, przemówili głosem ludzi strapiionych, gotowych współdziałać w poszukiwaniu lepszych rozwiązań. Podobnie myśleli ci, którzy nigdy nie byli komunistami, nie pieli się nawet na wysokie stanowiska, lecz po prostu zgłosili się po zakończeniu wojny do pracy we własnym zawodzie, nie bacząc na to, że część emigracji okrzyczała ich jako kolaborantów. Wyczuli instynktownie, że są potrzebni krajowi. Jeżeli zabraknie ich w szkołach, w fabrykach i laboratoriach, stanowiska kierownicze i nawet drugorzędne przypadną obcym przybyszom ze wschodu, Polska spadnie do poziomu sowieckiej prowincji, aż wreszcie staniemy się częścią wielkiego Związku Republik. W chwili najważniejszej ci kolaboranci ocalili kulturę i substancję materialną narodu. Inaczej było z kierowniczą kadrą Armii Krajowej. Po hitlerowskim piekle czekał ich stalinowski czyściec, gorszy nawet od tamtego piekła. Więc kiedy po latach przyszło mizerne zadośćuczynienie w postaci oficjalnego potwierdzenia, że „oni także”, a nie tylko peperowcy, mają rzetelne zasługi w walce z okupantem, okazali się zbyt zmęczeni, by dostrzec manewr zagrożonego wroga, który musi szukać jakiegoś oparcia w narodzie. Woleli uwierzyć, że nadchodzi zwycięstwo

sprawiedliwości. Tym bardziej, że wskazano im nawet, kto ponosi „całą” winę za okres błędów i wypaczeń. Nie chcieli dostrzec, że reżym poświęcił im jedynie szeregowców aparatu zbrodni oraz garstkę prominentów, których obrona nie miałaby już żadnych szans. Nie dostrzegli nawet, że na tę samą listę wpisuje się stopniowo nazwiska ludzi, którzy mieniąc się nadal komunistami, chcieli, być może, naprawdę system zracjonalizować i ucłowieczyć.

Tak więc integracja narodowa dokonać się miała kosztem najbardziej skompromitowanych agentów oraz tych członków partii, którzy agentami być dłużej nie chcieli. Temu samemu celowi służyć miała starannie przygotowana akcja antysemicka i nie jest oczywiście przypadkiem, że na otwartych zebraniach, funkcjonariusze bezpieczeństwa tłumaczyli, że właśnie Marzec jest ostatecznym ukoronowaniem Października.

Integracja nie mogła się powieść, ale rozkład moralny, niekoniecznie związany z kursem antysemickim, ogarnął dalsze kręgi społeczeństwa. Jest właściwością ludzką, nie tylko polską natury, że w każdej nowej sytuacji szuka się iskielki nadziei. Żydzi nie byli specjalnie przejęci, kiedy „zapłutych karłów reakcji” pakowano do więzień, wywożono na Sybir albo po prostu mordowano. Wiadomo zresztą, że wielu Żydów pracowało w stalinowskim aparacie bezpieczeństwa. Czemuż więc Akowcy mieli w marcu żałować Żydów, których wygnano wprawdzie z posad, ale z prawem wyjazdu na zachód? Jest to oczywiście uproszczenie: byli Żydzi, którzy tragedię AK przeżyli ciężko, jak wszyscy Polacy i są byli Akowcy, dla których akcja antysemicka jest policzkiem wymierzonym całemu narodowi polskiemu. Ta sprawa czeka jeszcze na swoich socjologów i historyków. Faktem jest jednak, że Polakom przybył jeszcze jeden garb, jeszcze jedna obsesja, z którą długo nie potrafimy sobie poradzić. Ktokolwiek jednak na Zachodzie krytykuje teraz Polaków, musi przy tym pamiętać, że antysemityzm — podobnie jak napaść na Czechosłowację — są jedynie etapami świadomie organizowanego procesu, którego celem jest moralna degradacja narodu i postawienie go w takiej sytuacji, by poczuł się psychicznie izolowany od wolnego świata i skazany na obóz, w którym zamknęli go nie tylko, a nawet nie tyle, Rosjanie co sojusznicy, mający wobec Polski określone obowiązki moralne i prawne.

Integracja przez degradację, taki jest program, który skazuje wciąż nowe pokolenia Polaków na przemiał w polit-wychowawczym młynie partii, zetemesu, bezpieczeństwa (to także jest organizacja masowa), zbowidu i paxu. W ramach tego programu wszystkie imponderabilia narodowe i wszystkie pojęcia związane z humanizmem pozbawione zostały swego właściwego znaczenia.

Patriotyzm równa się zdradzie interesów narodowych, walka o pokój jest podżeganiem do wojny i samą wojną, równość rasizmem, powszechnie nauczanie hamowaniem dostępu do źródeł rzetelnej informacji naukowej, enkawudowski agent staje się bohaterem walki podziemnej z okupantem, komunistą próbujący uzdrowić własną partię — zdrajcą komunizmu, uprzemysłowienie pogłębianiem przepaści między krajami przemysłowymi a Polską, socjalizm odmianą faszyzmu, a neostalinizm paxowską odmianą katolicyzmu. Emigracja polska jest o tym poinformowana, szeregi piszących na ten temat zasilili zresztą ostatnio ludzie, którzy kraj opuścili niedawno. A jednak wciąż mi się wydaje, że nie zdajemy sobie w pełni sprawy ze strasznego niebezpieczeństwa, jakie właśnie teraz grozi narodowi, który w ciągu ostatniego trzydziestolecia tracił kolejno swoich najlepszych ludzi w obozach hitlerowskich i sowieckich, potem w czystkach epoki Stalina, a dziś stopniowo pozbywa się swojej nowej elity intelektualnej. Na miejsca tych, których wyrzucono, zmuszono do milczenia lub do wyjazdu, przychodzą półinteligenci z dyplomami profesorów i doktorów nauk, grafomani chodzący w glorii nagród przyznawanych przez agentów bezpieczeństwa i wreszcie najbardziej cyniczni i najmniej zdolni funkcjonariusze dawnego ZMP, którzy nie są jednak aż tak głupi, by nie zdawać sobie sprawy, że zahamowanie rozkładu pozbawi ich świeżo zdobytej władzy.

To nieprawda, że historia wymierza sprawiedliwość. Narody pokonane budzą co najwyżej współczucie, ale nie warto ukrywać, że coraz więcej jest w świecie takich, których sprawa Polska niecierpliwi a nawet drażni. Wracam do kraju, który umiera śmiercią powolną i mało efektywną. Wracam, jak Żydzi, którzy stracili nadzieję, dobrowolnie zgłaszali się do hitlerowskich transportów. Nie grozi mi śmierć fizyczna, ginę z wycieńczenia psychicznego, zdegradowany i niezdolny do walki z postępującym rozkładem moralnym społeczeństwa, którego jestem członkiem. Ktoś jest odpowiedzialny za mnie i milion mnie podobnych. Nawet za tych, którzy w trosce o przyszość syna, podnoszą rękę na znak, że aprobują wyrzucenie profesora-Żyda albo inwazję Czechosłowacji.

Ktoś jest odpowiedzialny. Kto?

Nie tylko oprawcy i faryzeusze. Także piłaci.

Mojżesz RABIN

Instytucjonalizm i protest

Protest jest często nużący — zwłaszcza jeżeli przybiera formę nieoficjalnych strajków. Gdy piszę te słowa (druga dekada października) Londyn dosłownie tonie w śmieciach, których od tygodni nikt nie uprząta. Strajkują również pracownicy zakładów, które oczyszczają i dezynfekują zawartość kanałów nim owa zawartość zostanie wpuszczona do Tamizy. W tzw. „dobrych czasach” o podobnych rzeczach nikomu się nie śniło.

Czy socjalizm zrodził więcej problemów niż ich rozwiązał? Czy jest rzeczą możliwą rozwiązać owe problemy nie rozwiązując równocześnie kapitalizmu? Co oznaczają dzikie strajki — czy uwiad archaicznych związków zawodowych czy nowy protest w klasie robotniczej? Czy socjalizm może być czymś innym niż ideologią protestu?

Wyobraźmy sobie państwo w którym socjalizm odnosi zwycięstwo. Większość obywateli głosuje na partię socjalistyczną i w konsekwencji postawie socjalistyczni stanowią przygniatającą większość w parlamencie. Oczywiście rząd w takiej sytuacji składałby się wyłącznie z socjalistów.

Przekonani socjaliści odetchnęliby całą piersią w ufności, że po latach walki ugruntowali zwycięstwo swojej ideologii.

W moim przekonaniu w sprawach ustrojowych nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż zwycięstwo. Prześladuje nas dziwne prawo dziejowe, które określić można w następujący sposób: grobem każdej idei jest instytucja. Zwycięstwo jest równoznaczne z przekształceniem idei w instytucję. Doświadczenie historyczne uczy nas, że po pewnym czasie instytucja karykaturyzuje ideę, w imię której została powołana do życia. Istnieją skrajne wypadki, że instytucja staje się odwrotnością i zaprzeczeniem idei, której miała być zwycięskim ucieleśnieniem.

W naszym przykładowym idealnym państwie socjalistycznym istniałoby realne niebezpieczeństwo, że z czasem związki zawodowe przekształciłyby się w potężny aparat państwowy. Ów aparat

reprezentowałby interesy państwa socjalistycznego a nie klasy robotniczej. Dopóki istnieje wynajem, z punktu widzenia robotnika jest obojętne czy wynajmuje go socjalistyczny przedsiębiorca czy kapitalistyczny przedsiębiorca.

Ideą centralną związków zawodowych była walka o umowy zbiorowe. Jest oczywiste, że łatwiej jest wytargować od pracodawcy dobre płace i warunki związkowi zawodowemu, który liczy dwa czy trzy miliony członków — niż luźnej, niezorganizowanej grupie robotników. Co to są dobre płace? Dobra płaca to jest maksimum tego co w danej sytuacji można uzyskać.

Z czasem pojawił się nowy element. Rządy zaczęły głosić, że płace to nie jest maksimum tego co można wytargować czy wymusić strajkiem. Płace w nowej polityce ekonomicznej muszą być utrzymane w proporcji do ogólnego wzrostu gospodarczego. Rządy głoszą w konsekwencji politykę powstrzymywania i umiarkowania w dziedzinie płac robotniczych. Innymi słowy podwyżkom płac musi odpowiadać zwiększenie produkcji i powiększony zysk.

Napisano tysiące artykułów i setki książek w celu obrony powyższego punktu widzenia. Osobiście nie jestem pewien czy cytowana teza jest słuszna. Płace robotnicze stanowią tylko jeden element w całości życia gospodarczego danego kraju. Budzi się podejrzenie, że zamrożenie płac, czy polityka powstrzymywania wyższych płac — dyktowana jest często oportunistycznym, ponieważ w ten sposób najłatwiej jest obniżyć koszt produkcji. Są i inne metody obniżania kosztów produkcji znacznie trudniejsze lecz na dłuższą metę bardziej skuteczne.

W tym wypadku nie chodzi mi jednak o strukturę płac robotniczych. Chciałem tylko wykazać, że związki zawodowe uległy przemianie z chwilą kiedy stały się instytucją. Dziś związki zawodowe czerpią swe znaczenie z pośredniczenia pomiędzy rządem a pracodawcami. Dygnitarze związkowi widują więcej ministrów i dyrektorów wielkich przedsiębiorstw niż autentycznych robotników. Wstrzymuję się od opinii czy to jest złe czy dobrze. Twierdzę natomiast, że idea związkowa — gdy przetrwała się w potężną instytucję — w znacznej mierze utraciła swój pierwotny charakter. Instytucjonalizm wziął górę nad ideą.

Nie brak autorów, którzy podkreślają, że mimo wzrostu potęgi i znaczenia związków zawodowych — nierówności majątkowe wzrastają a nie maleją. Jest oczywiste, że leży zarówno w interesie pracodawców jak i robotników by ekonomia kwitła. Wzrost ekonomiczny nie jest zagadnieniem. Problemem jest podział nadwyżek produkcji. Wydaje mi się, że do tej pory nie wynaleziono systemu ekonomicznego w którego ramach „lwią część” nie przypadłaby zawsze lwu. W rezultacie „baranek” nie ma nigdy tego co mu się należy ponieważ lwią część zabiera lew.

Technologia w znacznym procencie gra na korzyść kapitalisty a nie robotnika. Zautomatyzowane fabryki przynoszą większe dochody lecz praca w nich jest często znacznie bardziej nużąca

i monotonna niż przy klasycznej taśmie transportowej. Równocześnie technologia na szczeblu zarządzania i planowania utrudnia porozumienie i konsultację pomiędzy robotnikami a pracodawcą. Nowoczesny proces zarządzania jest skomplikowany i trudny do wyjaśnienia laikowi. Wymaga się od robotnika by przyjmował decyzję wypracowaną przez komputery, których często nie rozumie. „Lew” był zawsze groźny — lecz skomputeryzowany lew jest jeszcze groźniejszy.

Mimo wszystkich komitetów, konferencji, dyskusji, konsultacji itp. — klasa menadżerów oddala się od klasy robotniczej. Dawniej młody chłopiec rozpoczynał od strugania ołówków i roznoszenia tradycyjnej herbaty, a po 25 latach zostawał jednym z dyrektorów firmy uzupełniwszy swą wiedzę na kursach wieczorowych. Wieloletnia praktyka liczyła się więcej niż studia teoretyczne. Technologia położyła temu kres. Nowoczesna klasa menadżerów składa się z technologów, inżynierów i specjalistów z różnych dziedzin. Specjalistyczne technologiczne studia otwierają drogę do szybkiej, świetnie płatnej kariery i procent młodych dyrektorów stale wzrasta. Starzy tradycjonałiści są wypierani przez młodych technokratów na wszystkich polach.

Rozpoczęliśmy niniejsze rozważania od strajków. Można by zadać pytanie dlaczego strajków jest coraz więcej mimo wzrostu zamożności i wysokiej stopy życiowej? Wielu ludzi sądzi, że strajk jest jednym z fenomenów społecznych produkowanych przez depresję i biedę. Zrozpaczeni robotnicy wychodzą na ulicę i strajkują.

W dyskusjach pomiędzy robotnikami a pracodawcą strajk stanowi próbę sił. Pracodawca nigdy nie zapłaci więcej niż jest w stanie zapłacić. Jeżeli robotnicy danej fabryki domagaliby się — powiedzmy dla przykładu — płac wynoszących £ 200 tygodniowo — fabrykantowi lepiej by się opłaciło zamknąć fabrykę niż ulec żądaniom robotników. Produkcja bowiem nie może przynosić strat tylko musi przynosić zyski. Wszyscy robotnicy doskonale o tym wiedzą. Pole manewru przetargowego ograniczone jest dwoma faktami: ile przedsiębiorca może zapłacić i ile *de facto* chce zapłacić. Opłaca się naciskać na przedsiębiorcę, który może zapłacić więcej niż płaci. Innymi słowy opłaca się doić tylko zdrową, mleczną krowę a nie taką, która ledwo trzyma się na nogach. Z tej przyczyny mylny jest pogląd, że ogólny wzrost zamożności oznaczać winien koniec strajków.

W latach 1936-37 około 1/3 strajków była oficjalnie uznana przez władze związków zawodowych. W latach 1968-70 — zaledwie jedna dwudziesta strajków została oficjalnie autoryzowana przez egzekutywy związków zawodowych. Inaczej mówiąc 80 % strajków stanowiły strajki nieoficjalne.

Powyżej przytoczone cyfry są zdumiewające. Jeżeli 80 % strajków stanowią strajki nieoficjalne — wypada stwierdzić, że strajki nieoficjalne stały się dzisiaj normą a strajki autoryzowane są wyjątkiem.

Gdzie należy szukać przyczyn tego zjawiska? Wydaje się, że

odpowiedź jest prosta. Gdyby związki zawodowe — jak dawniej — autoryzowały przynajmniej jedną trzecią strajków — strajki nieoficjalne stanowiłyby wyjątek a nie normę. Dlaczego tak się dzieje?

Trudno uciec przed konkluzją, że 80 % strajkujących uważa, że związki zawodowe nie bronią dostatecznie ich interesów. Trudno również oprzeć się wrażeniu, że w zarządach związków zawodowych instytucjonalizm w wielu wypadkach wzięł górę nad socjalizmem.

Jeżeli jakaś idea czy koncepcja zostaje przeobrażona w instytucję — tym aktem uruchamia się pewien nieuchronny proces społeczny. Instytucja nie może się obejść bez biurokracji. Każda biurokracja jest konserwatywna i niechętna zmianom, ponieważ wszelkie reformy dla biurokracji oznaczają dodatkową pracę. Ideałem biurokratów jest rutyna a nie reforma.

Wielkie instytucje produkują z czasem galerię przywódców, dyrektorów, członków zarządów itp. Stanowiska tych ludzi, pensje, władza, pozycja społeczna — zależą w znacznej mierze od utrzymania *status quo*. Siłą rzeczy ci panowie są niechętni wobec grup „wojujących” i protestujących, które domagają się przemian i reformy.

Z drugiej strony trzeba podkreślić, że instytucjonalizm jest ceną jaką nieuchronnie musimy płacić jeżeli chcemy mieć instytucję. Pragnę przez to powiedzieć, że biurokracyzm, tradycjonalizm, rutyna — są w pewnym stopniu konieczne by daną instytucję utrzymać przy życiu. Uogólniając można powiedzieć, że w każdej instytucji społecznej wbudowany jest permanentny konflikt pomiędzy ideą, której instytucja ma służyć, a instytucjonalizmem, który narasta z biegiem czasu.

Nie trzeba być marksistą by zdawać sobie sprawę z faktu, że pomiędzy pracą a kapitałem istnieje sprzeczność. Ustrój demokratyczny owej sprzeczności nie rozwiązał lecz inkorporował ją w swój system. Owa inkorporacja wyraża się ogólnie przyjętą zasadą, że robotnik sprzedający swoją pracę jest legalnie uprawniony do walki o najlepszą cenę za swój „towar”.

Fabrykant eksportujący samochody usiłuje sprzedać swój towar za możliwie najwyższą cenę. Nie ma w tym względnie żadnych ograniczeń. Jeżeli fabrykantem wolno walczyć o najwyższą cenę za ich towar to i robotnikom musi być wolno walczyć o najwyższą cenę za ich „towar”. Jeżeli jednak wprowadzi się ograniczenia dotyczące robotników — motywując owe ograniczenia względami ekonomicznymi — ustala się dwa różne rynki: jeden dla fabrykantów a drugi dla robotników. Dopóki pracę najemną traktuje się za „towar” — tego rodzaju dwutorowa polityka wydaje się niesłuszna.

Pełnej solidarności z kapitałem można by się domagać od robotników tylko w systemie, który rozwiązałby sprzeczność pomiędzy kapitałem a pracą. Taki system do tej pory nie istnieje na tej ziemi.

Instytucjonalizm stanowi poważne zagrożenie przede wszyst-

kim dla socjalizmu, ponieważ socjalizm albo jest ideologią protestu albo jest niczym. Mówiąc o proteście podkreślam z naciskiem, że nie mam na myśli porywaczy i morderców dyplomatów, czy piratów powietrznych. Zbrodnia dokonana z motywów politycznych nie przestaje być zbrodnią. Nie mam również na myśli anarchizmu w jakiegokolwiek formie. Z instytucjonalizmem należy walczyć, lecz bez instytucji nie możemy się obejść.

Wróćmy do przykładu idealnego państwa socjalistycznego. Założmy, że owym państwem jest przyszła Polska. Socjalizm zwycięski przekształca się natychmiast w oficjalny *establishment*. W takiej sytuacji trzeba być nie tylko socjalistą lecz przede wszystkim socjalistą pro-rządowym. Protest nabiera cech działalności anty-państwowej. Związki zawodowe przekształcają się w instytucje z armią urzędników i dygnitarzy. Awans i kariera tych panów zależą w znacznie większym stopniu od poparcia rządu niż od poparcia robotników. Rozrasta się klasa biurokratów, których interesy związane są z *establishment*.

Partia rządząca wykazuje tendencje do narzucania swojej własnej interpretacji socjalizmu. Każda inna interpretacja zostaje uznana za błędną. Instytucjonalizm powoli przekształca socjalizm w bezduszny system biurokratyczny. Z ideologii protestu nie pozostaje nic. Socjalizm staje się swoim własnym zaprzeczeniem. I to jest koniec epopei.

Trzeba podkreślić dwa punkty.

Lenin wyobrażał sobie naiwnie, że gospodie mogą rządzić państwem. To jest oczywiście nonsens. Etatyzm, biurokracja, instytucjonalizm — są nieuchronnym produktem każdego systemu rządzenia. Socjalizm nie stanowi od tej reguły wyjątku. W technologicznie wysoko zaawansowanym państwie powstają nowe ministerstwa, nowe instytucje, nowe biura — i oczywiście urzędników, specjalistów, doradców itp. z każdym rokiem przybywa a nie ubywa. Na to nie ma rady.

I punkt drugi. Czytelnik zauważy: jeżeli socjalizm w danym państwie zatriumfuje to po co protest? Przeciwno czemu protestować? W cytowanej sytuacji protestować będą reakcyoniści i wrogowie socjalizmu lecz nie socjaliści.

Tak oto dochodzimy do głównej tezy niniejszego artykułu. Rzetelny triumf socjalizmu mogą zapewnić tylko socjaliści wierni idei protestu. Powiem więcej — tylko ci ludzie mogą zapewnić prawidłowe funkcjonowanie demokracji.

Jeżeli socjalista zaobserwuje, że rady robotnicze w fabrykach ulegają etatyzacji, że związki zawodowe przemieniają się w transmisje decyzji rządowych, że z każdym miesiącem coraz trudniej jest ogłosić krytyczny artykuł w prasie — wówczas obowiązkiem socjalisty jest aktywnie protestować mimo, że protest wymierzony jest w politykę rządu socjalistycznego. Socjalista winien być zawsze pro-socjalistyczny a nie pro-rządowy.

Podkreślam jeszcze raz. Instytucjonalizm, tendencje do centralistycznego decydowania o wszystkim cechują dziś rządy większości państw i rząd socjalistyczny nie byłby również wolny od

tych tendencji. Uspołecznienie środków produkcji, szeroki sektor gospodarki państwowej — to wszystko powoduje, że etatyzm, instytucjonalizm, biurokratyzm — są groźniejsze dla socjalizmu niż dla demokracji typu burżuazyjnego. Socjalizm jest tak trudnym i ideologicznie subtelnym ustrojem, że w praktyce, od socjalizmu do totalizmu jest tylko jeden krok. Owa granica zostaje przekroczona tam — gdzie socjaliści zapominają, że socjalizm stoi i upada ideologią protestu.

Każdy rząd socjalistyczny byłby — nie w całości ze swojej winy — grabarzem socjalizmu. Sukces socjalizmowi może zapewnić tylko potężna frakcja opozycyjna, która swą moc czerpałaby z poparcia ludzi protestu w całym kraju. Czy rady robotnicze nie uległyby z czasem etatyzacji — czy delegowania z wolnych wyborów w związkach zawodowych nie zastąpiono by delegowaniem z nominacji — czy biurokracja nie wzięłaby wszystkiego za głowę — czy instytucjonalizm i tym razem nie pożarłby idei — to wszystko zależałoby od tego ilu socjalistów dochowałoby wierności ideologii protestu. Ilu miałoby odwagę protestować w każdym wypadku naruszenia demokracji — ilu miałoby odwagę walczyć z centralizmem i etatyzmem w imię nie rządu socjalistycznego, lecz w imię prawdziwego socjalizmu.

Nie mówimy o utopii. Mówimy o państwie socjalistycznym z wszystkimi jego wadami i zaletami. W takim państwie socjalizm byłby saldem wyciągniętym z dwóch pozycji: instytucjonalizmu i idei protestu. By saldo było dodatnie idea protestu musiałaby być zawsze silniejsza od naporu instytucjonalizmu. Czy byłoby to możliwe? Nie mam złudzeń, że utrzymanie owego salda w pozycji dodatniej byłoby rzeczą bardzo trudną do osiągnięcia.

Jest rzeczą bardzo ważną by gospodarka była zbalansowana — by import nie przewyższał eksportu itd. Lecz jest rzeczą jeszcze ważniejszą by równowaga między wolnością a przymusem była utrzymana. Jeżeli możemy być coraz bogatsi tylko za cenę coraz większej interferencji państwa we wszystkie dziedziny życia i coraz większej wszechwładzy biurokracji to nie wiem czy warto być bogatszym. Z tych przyczyn protest ma dziś istotniejszą funkcję społeczną do spełnienia niż kiedykolwiek w przeszłości.

Z chwilą gdy zostają odkryte nowe potencjały potęgi, ludzie po nie sięgają. Ludziom nigdy nie jest dość władzy. Ci, którzy nami rządzą wierzą zawsze, że gdyby mieli więcej władzy dokonaliby cudu. Władza i kontrola to są artykuły na które popyt stale rośnie.

Nie twierdzę, że ci, którzy nami rządzą są ukrytymi faszystami. W większości to są mądrzy i uczciwi ludzie. Lecz jeżeli można skomputeryzować całą ludność i każdemu obywatelowi przydzielić numer — dlaczemu tego nie zrobić?

Biurokracja była ośmieszana i wykpiwana przez stulecia. Dziś po raz pierwszy w dziejach — gdy komputery skończą okres ząbkowania — biurokracja zdobędzie instrument, który pozwoli

jej zdobyć stopień idealnej doskonałości. Obawiam się, że za 15 czy 20 lat nikt nie będzie wykpiwał biurokratów.

Dobra i sprawna administracja leży w interesie każdego z nas pod warunkiem jednak, że owa administracja nie oznacza kontroli życia obywatela od kolebki do grobu. Biurokraci na to odpowiedzą, że nie ma administracji bez kontroli. Im ściślejsza i powszechniejsza kontrola tym lepsza administracja.

Technologia — jak dotychczas — nie przyczynia się do likwidacji nierówności społecznych. Biednym jest się zawsze w porównaniu do bogatych. Biedni nie są biedniejsi dziś niż byli 15 lat temu, lecz bogaci są niewspółmiernie bogatsi dziś niż byli 15 lat temu.

W Anglii działają wielorasowe grupy protestu złożone tak z białych jak i z czarnych, które domagają się od władz samorządowych lepszych warunków mieszkaniowych, obszerniejszych budynków szkolnych itd. W moim przekonaniu w okresie technokratycznym ku któremu zmierzamy — protest grupowy będzie stanowił integralną część procesu demokratycznego. Ów protest grupowy, który można by nazwać demokracją bezpośrednią — będzie odpowiedzią na etatyzm i biurokratyzm skomputeryzowanej maszyny państwowej.

Na zakończenie chciałbym podkreślić, że za konceptualną treść niniejszego artykułu odpowiada tylko niżej podpisany a nie autorzy przytoczonych lektur.

Juliusz MIEROSZEWSKI

1. James Hinton: *Unions, Strikes and Militancy*, (Sheed & Ward Ltd.) 1968.
2. H. Pelling: *A History of British Trade Unionism*, (Penguin) 1965.
3. E. L. Wigham: *What's wrong with the Unions?*, (Penguin), 1961.
4. W. J. M. Mackenzie: *Politics and Social Science*, (Penguin) 1969.
5. Richard Kostelanetz: *Beyond Left and Right*, (William Morrow & Co. Inc.) 1968.

Widziane z Brukseli

Generałowie i kaprale

To, zdaje się, Clemenceau powiedział, że wojna jest zbyt poważną sprawą, aby ją powierzać generałom. Jak wynika z załączanego przeglądu, nie tylko wojna, ale i pokój sprawiają wojskowym poważne trudności. Nie wiedzą jak się zachować, wszędzie ich pełno, wszystkim przeszkadzają. Na generałów w normalnych warunkach nie zwracamy uwagi. Ja np. nie znam ani jednego, nie

bywali i nie bywają w moim bistro czy kawiarni, a na piechotę (niestety, jak się okaże) nie chadzają. Tylko czasem widywałem ich w pra-polskich czarnych „mercedesach” (jeden robotniczy generał miał nawet białego, *décapotable*), teraz przelatują przede mną w ogromnych amerykańskich „fordach”. Ich gry i zabawy toczą się więc z dala od moich zainteresowań i nie odczuwałbym ich braku i nadal, gdyby nie to, że oni sami brutalnie w moje życie wkraczają. Jednak, choć czynią to w sposób urągający wszelkiej powadze, ich przygody nie trafiają do operetki, a trafiają na pierwsze strony gazet, przy czym tak czytelnikom jak i dziennikarzom daleko jest do śmiechu. Warunki bowiem, w jakich do tych igraszek dochodzi są przeraźliwie nieśmieszne.

Co każdy ma na głowie?

Jakie są te warunki poucza nas ogłoszony ostatnio raport bardzo poważnego Instytutu Badań nad sprawą Pokoju Światowego (SIPRI), ze Sztokholmu, którego dyrektorem jest wybitny uczony i polityk szwedzki, p. Gunnar Myrdal. Jest to już drugie sprawozdanie Instytutu „ze stanu zbrojeń i (żeby było zabawniej) rozbrojenia na świecie”, a zawarte w nim dane nawet najspokojniejszego z nas mogą przyprawić o dreszczyk niepewności jutra. Oto niektóre dane tego raportu.

Otóż, jak czytamy w sprawozdaniu, arsenał atomowy obu „super-wielkich” rozwinął się i rozwija nadal. Osobom zaniepokojonym pewnym opóźnieniem ZSSR w stosunku do USA w dziedzinie ICBM, czyli międzykontynentalnych rakiet balistycznych, spieszę donieść, że Kraj Rad już nadrobił te straty, jak również uzupełnił braki w dziedzinie podwodnych łodzi atomowych, uzbrojonych w rakiety typu „Polaris”. Natomiast osoby, zaniepokojone tą skuteczną pogonią sowiecką, chciałbym uspokoić, albowiem w sumie i w ogóle USA ostro prowadzą w tabeli potencjału nuklearnego, no a przede wszystkim błyszczą w produkcji MIRV, czyli rakiet o wielu głowicach atomowych, takich więc które od jednego strzału mogą zniszczyć kilka milionowych miast, oddalonych od siebie o wieśset kilometrów.

Wszystkich natomiast chciałbym poinformować, że:

1) Zapasy broni atomowej wszystkich kategorii na całym świecie oceniane są na 50.000 megaton, co daje ok. 15 ton TNT, czyli, ordynarnie mówiąc, zwykłego dynamitu, na każdego mieszkańca ziemi, włączając w to niemowlęta, starców i członków KC.

2) Ludność krajów przynależnych do obu wielkich ugrupowań wojskowych ma prawo do specjalnego traktowania. W związku z tym, na jednego mieszkańca krajów Paktu Warszawskiego lub NATO przypada nie 15, a 60 ton TNT.

W sumie, zdaniem fachowców, już obecnie światowe zapasy atomowej broni są absolutnie wystarczające, aby wiele razy dokumentnie cały nasz świat wysadzić w kosmos.

Jeżeli połączymy liczne ostatnio wypowiedzi przywódców Pak-

tu Atlantyckiego (sekretarza stanu USA Lairda, sekr. gen. NATO Brosio oraz dowódcy NATO, gen. Goodpastera) z ustaleniami raportu sztokholmskiego to stwierdzimy jednak na Zachodzie pewien niepokój. ZSSR mianowicie w ciągu ostatnich 5 lat powiększył swe wydatki zbrojeniowe o 35 %, a więc nieporównanie więcej niż kraje NATO, gdzie, jak to nostalgicznie stwierdzono w Brukseli, obserwuje się w tej dziedzinie raczej stagnację. Tłumaczyłem im, iż dzieje się tak zapewne z uwagi na to, że szalenie szybki wzrost stopy życiowej w ZSSR i na Wschodzie w ogóle, po prostu pozwala na tak szybki przyrost zbrojeń, ale nie wydali mi się przekonani. Sceptycyzm miejscowych wzrósł jeszcze bardziej, gdy min. Laird trafnie uzupełnił raport sztokholmski ogłaszając na ostatniej konferencji NATO w Ottawie, że ZSSR dysponuje już liczbą 1.400 ICBM, czyli rakiet balistycznych. Wynika z tego, że przynajmniej w tej dziedzinie, prawdopodobnie na cześć 53 rocznicy rewolucji, ZSSR, zgodnie z naukami wielkiego Stalina, dogni już i przegonił Zachód.

Fakt, iż na każdego z nas przypada kilkanaście ton trotylu, tłumaczy być może niestychaną ostrożność z jaką do sprawy tego arsenału podchodzą obaj negocjatorzy z Helsinek, panowie Smith i Siemionow. Rozpoczęli oni niedawno trzecią wstępną fazę rozmów na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych, w skrócie SALT. Są to chyba najbardziej niemrawe i powolne rokowania w historii, i nawet azjatycko-spokojna zabawa Chińczyków z Rosjanami w Pekinie na temat XIX-wiecznych aneksji carskich w Państwie Środka, toczy się mniej ceremonialnie.

Panowie Smith i Siemionow poruszają się jak gdyby w teczkach nosili te przynależne im 15 ton TNT, spotykają się dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, przy czym zabawna rzecz, w ogóle nie dochodzi do dialogu czy dyskusji. Naturalnie posiedzenia są tajne, więc to co wiem pochodzi z tzw. drugiej ręki. Otóż, na każdym posiedzeniu, szef delegacji czyta swoją kwestię, w której w zasadzie odpowiada na pytania strony przeciwnej zadane często całe miesiące przedtem, po czym ze swej strony zadaje nowe pytania. Na następnym posiedzeniu rytuał się powtarza, z tym że zmieniają się kolejność zadawania pytań i lokal.

Jest to bardzo niewiele, ale na szczęście min. Siemionow należy do nielicznych wybranych na Wschodzie, którzy mają prawo spotykać się z obcokrajowcami prywatnie, bez obawy posądzenia o szpiegostwo. Spożywa więc z kolegą Smithem obiady i kolacje. Raz byli nawet razem w saunie. O czym tam rozmawiali nie wiadomo, syk pary wszystko zagłuszył, w każdym razie mówili sobie po imieniu i zdaje się, że się polubili.

Wtajemniczeni natomiast szepczą, iż obaj delegaci super-mocarstw w saunie rozmawiają o kobietach, winie i śpiewie, albowiem mają ograniczone pole manewru i z każdym drobiazgiem muszą się zwracać do przełożonych. Zdaniem Amerykanów, p. Siemionow nie ma nawet przybliżonego pojęcia co do wielkości zapasów atomowych swego kraju, a pewne dane czerpał ze wspomnianego już raportu sztokholmskiego. Co myślą Rosjanie o

p. Smithie, nie wiem, bo mi się nie zwierali, ale już nic mnie w tej dziedzinie nie może zdziwić od kiedy dowiedziałem się, że bywający na całym świecie człowiek zwany „ojcem sowieckich sputników” służy jedynie do reprezentacji i ściskania dłoni i nie był nigdy w życiu na kosmodromie (nawet na Cap Kennedy, gdzie był zaproszony — władze sowieckie nie pozwoliły mu pojechać w obawie przed koniecznością rewanzu).

Jak widać, życie wielkich ludzi nie jest łatwe. Tym bardziej godne potępienia są akty dodatkowo napinające i tak skomplikowaną sytuację i wzmagające ciśnienie tych 15 ton TNT. W tym miejscu przechodzimy do generałów.

Tureckie kazanie

P. Sherrer jest generałem dywizji US Air Force, a p. McQuarrie jest generałem w US piechocie. Obaj są przydzieleni do wojskowej misji amerykańskiej w Turcji. Do niedawna nie wiedziałem o ich istnieniu i dalek bym nie wiedział, gdyby nie dziwne zamiłowania obu wysokich wojskowych. Są to, jak się okazało, zamiłowani turyści i kochają przyrodę. Turcja, kraj piękny i stary, więc obaj panowie zabrali tureckiego pułkownika w charakterze przewodnika, kazali osiodłać U-8 Beechcraft czyli kilkuosobowy samolot, za sterami posadziwszy przedtem własnego amerykańskiego pilota. „Polecimy — rzekli — obejrzyć z góry resztki miasta Ani, drogie sercu każdego Ormianina”. Podobnie jak o istnieniu obu generałów, tak i o mieście Ani mało kto na świecie wiedział. Z Wielkiej Encyklopedii PWN wynika, że chodzi o ruiny stolicy Bagratydów, którzy się tu zainstalowali w X wieku. Już ponad 700 lat temu miasto to zostało całkowicie zniszczone przez trzęsienie ziemi i do dziś przetrwały tylko resztki obwarowań i budowli, z góry naturalnie nie widoczne. Wystarczyły jednak aby tak skutecznie przykuć uwagę amerykańskich amatorów historycznych relikwii, że nie zauważyli nawet kiedy ich samolot przeleciał granicę turecko-sowiecką. Reszta jest milczeniem, w każdym razie zamiast w tureckim mieście Kars, U-8 wylądował w sowieckim Leninakan, perle Armenii, lokalnym odpowiedniku Leningradu i Leninbadu.

Oczywiście cały świat się bardzo zdziwił tej przygodzie amerykańskich generałów, ale najbardziej oni sami. A wraz z nimi pewne organa ojczyzny socjalizmu, które zameldowały na Kremlu, że wzięły do niewoli całe dowództwo US Army w Turcji. W chwili pisania tych słów, żeby użyć zwrotu wielkich reporterów, generałowie wrócili już do domu i — mam nadzieję — do cywila, a całość mogłaby się zakończyć wesołym oberkiem, gdyby nie garść refleksji.

Główna z nich, to ta, że dwóch generałów amerykańskich, żeby nie wiem jak bardzo ogarniętych było szacunkiem dla śladów historii, nie ma czego szukać i czego się pętać wzdłuż granicy ZSSR. Nie słyszałem np. aby marszałek Greczko latał

sobie na małym samolociku wzdłuż granicy chińskiej, choć jest tam równie pięknie i choć, z uwagi na różnice w wyposażeniu, Chińczykom byłoby prawdopodobnie trudniej ściągnąć maszynę do siebie, niż się to odbyło w Leninakanie. Nie wiem zresztą, jakie są prawdziwe szczegóły lądowania, czy była to pułapka czy nie (były szef wywiadu tureckiego, a więc niejako człowiek fachowy, twierdzi, że była) w każdym razie Moskwa nie marzyła nawet o takiej bombie w chwili gdy ich An-24 został porwany w dramatycznych okolicznościach przez dwóch „obywateli sowieckich pochodzenia litewskiego”, kryminalistów naturalnie, i kiedy, z powodów natury ogólnopolitycznej, potrzebny był Moskwie dodatkowy pretekst do rozróby.

Pewien mój przyjaciel, jeden z najlepszych dziennikarzy kontynentu, opowiadał jak to pewnego dnia w pewnym mieście odnalazł sklep konfekcyjny, którego właściciel nazywał się Wiśniewski i był nim naprawdę. Ponieważ dziennikarz wiedział, iż cały handel konfekcyjny w tym mieście znajduje się raczej w rękach Rapaportów, zaintrygowany spytał właściciela sklepu, jak wytrzymuje on konkurencję. P. Wiśniewski uśmiechnął się i odrzekł: „Panie redaktorze, przecież to oni sami ten sklep mi założyli. Teraz jak ktoś mówi, że cały handel jest w ich ręku, to odpowiadają: a Wiśniewski!”.

Tak jak panowie Rapaport, tak i Rosjanie na wszystkie pretenzje o Berlin, o Cienfuegos (baza na Kubie), o Suez, o Amalrika i Sołżenicyna odpowiadali: „a generałowie!”.

Naturalnie, nie obeszło się bez groteski. W odpowiedzi na artykuł *Prawdy*, demaskujący „imperialistyczne knowania i prowokacje”, Amerykanie zapałali świętym oburzeniem, dodając, iż jeżeli w przeszłości czasem mogło dojść do pogwałcenia granicy, to mogło tu chodzić jedynie o niewinnych myśliwych, łowców polarnych niedźwiedzi, potomków Fenimore Coopera. Rosjanie odpowiedzieli na to, że U-8 to udoskonalona wersja słynnego U-2 (który dając się zestrzelić umożliwił Chruszczowowi zerwanie wielkiej czwórki w 1960 r.) i że zamiarem generałów było sprowokowanie zamieszek na turecko-sowieckiej granicy wiecznej przyjaźni. Rosjanie podkreślili przy tym (dosłownie), że „mundury pasażerów samolotu świadczą dowodnie, iż lot nie był podjęty w celach turystycznych czy sportowych” i że „potwierdza to dywersyjne zamiary imperializmu amerykańskiego wobec krajów socjalistycznych”. Innymi słowy, gdyby obaj generałowie byli w „bermudach” albo w slipkach, to turystyczny charakter ich podróży nie ulegałby dla Rosjan kwestii.

Po grzmiącej wymianie not i artykułów, zbojkotowaniu przez Amerykanów przyjęć z okazji listopadowej rocznicy październikowej rewolucji oraz przez Rosjan — takiego przyjęcia z okazji rewolucji tureckiej, wszystko wróciło do spokoju i normy. Amerykańscy turyści latają nadal — w innych strojach — a kolejny samolot sowiecki wybrał wolność w Turcji, wzajemnie z Moskwy i Waszyngtonu wyekspulsowano sobie dwóch dziennikarzy, a

dyplomaci znów chodzą na przyjęcia czyli, że podjęli swoje podstawowe obowiązki.

I właściwie nie było już o czym mówić, gdyby nie fakt, iż zgodnie ze znaną u nas zasadą „każdy bije swojego Żyda”, kosztą operacji zapłaciła Polska. Ot, co!

Waszyngton mianowicie niewiele, poza bajeczką o białych niedźwiedziach, miał do powiedzenia Rosjanom. Ponieważ jednak rząd USA był rzeczywiście wściekły, więc postanowił odegrać się na innych komunistach bardziej ograniczonych w ich suwerenności. Akurat nawinęła się Polska, która czekała na zatwierdzenie przez Biały Dom sprzedaży nowego oddziału dla rafinerii w Płocku. Umowa była już podpisana, czekała tylko na wysokie *placet*. Ba, ale w międzyczasie humory się popsowały i ze „względów strategicznych i politycznych” transakcja (identyczna do zawartej niedawno z Rumunią) została anulowana. Jak to przekonywająco oświadczył rzecznik Departamentu Stanu: „Nie widzimy powodów, dla których mielibyśmy aktualnie faworyzować władze polskie”.

Cała ta historia nie wywołała w świecie większego wrażenia. Zapytaliśmy w Paryżu pionierów „Ost-politik” co myślą o decyzji Dep. Stanu, ale odpowiedzieli, że nie warto się przejmować, bo jest to jeszcze jeden *accident de parcours*. I chyba mają rację, jeżeli zważyć, że po raz pierwszy Paryż użył tego pieśczętliwego sformułowania na określenie inwazji Czechosłowacji.

Z kolei o sprawę generałów interpelowaliśmy, tu na miejscu, sztab sił zbrojnych Paktu Atlantyckiego. Proszę nie myśleć, że to takie skomplikowane, można takie sprawy załatwić przez telefon, numer w książce telefonicznej w domu i w budce. Otóż NATO odpowiedziało, że los obu generałów nic ich nie obchodzi i że niech chodzą na piechotę, skoro nie umieją latać. Choć bowiem brukselski sztab dowodzi siłami zbrojnymi NATO, stacjonującymi w Turcji, to obaj generałowie należeli jednak do misji wojskowej USA, która podlega ambasadowi w Ankarze i dowództwu mieszczącemu się aż na Florydzie.

Nie-NATowska Bruksela zachowała zresztą od samego początku spokój i umiar. Starsi Belgowie pamiętają mianowicie inne lądowanie, też oficcerskie i też przymusowe. Działo się to w styczniu 1940, a więc w czasie wojny. Na lotnisku niedaleko Brukseli wylądował nagle, ku osłupieniu Belgów, wojskowy samolot niemiecki. Pasażer-oficer Wehrmachtu wiozł ni mniej ni więcej, tylko plany hitlerowskiej ofensywy na Zachód. Nikt naturalnie w Belgii nie uwierzył w przypadek, nie zawiadomiono nawet sojuszników. Życie jednak jest śmieszniejsze od fikcji — plany były prawdziwe. Hitler musiał je zmienić i — według wszelkiego prawdopodobieństwa, dzięki błędowi hitlerowskiego pilota cały rejon Gandawy, który w pierwszej wersji miał być celem hitlerowskiego desantu, uniknął krwawego losu.

Tureccy Amerykanie nie wieźli nic interesującego, jeżeli nie liczyć samej maszyny, zgrabnej i nowoczesnej, która nie kryła jednak chyba żadnych tajemnic Rosjanom nie znanych.

Przypuszczalnie więc, nagłe a niespodziewane zjawienie się amerykańskich generałów w mieście Leninakan spowoduje mniejsze perturbacje w historii niż spodziewane, ale niestety spóźnione zjawienie marszałka, a nie generała, Grouchy oraz niespodziewane, ale przedwczesne zjawienie się marszałka, też nie generała, Bluchera w miejscowości niedaleko Brukseli o nazwie Waterloo 155 lat temu.

Mały kapral i wielki Stalin

Waterloo znam już na pamięć. Mogę służyć za przewodnika po koszarnej panoramie, przy której lwowsko-wrocławsko-racławicka jest natchnionym dziełem sztuki. Każdy gość z Polski musi tę pielgrzymkę odbyć i wytoczyć kroplę łzy nad losem „małego kaprała”. Legenda o Napoleonie jest bowiem ciągle żywa, a najbardziej zabawne jest to, że ożywił ją ostatnio pewien Rosjanin. Bruksela patrzy cynicznie na kult Bonapartego, wyłącznie pod kątem widzenia wpływów z turystyki i, mimo francuskich sentymentów, urządziła nawet huczne 150-lecie bitwy pod Waterloo, zbojkotowane zresztą wówczas przez Francję de Gaulle'a.

Teraz czasy się zmieniły i tuż po wyprawie Pompidou do Moskwy, w Paryżu i Londynie odbyły się równocześnie — co ładnie świadczy o francuskim esprit — światowe pra-premiery filmu „Waterloo”, w reżyserii Rosjanina, Bondarczuka. Z wyjątkiem nieobecności księcia Napoleona, potomka cesarza (fizycznie chyba dwukrotnie większego od swego przodka), premiera odbyła się bez zakłóceń. Sciągnięto nawet z tej okazji do Paryża oddział Highlanderów szkockich. Właściwie tylko dwie refleksje godne są odnotowania.

W Paryżu pewien pozbawiony poczucia humoru krytyk zaproponował, aby następny film zrobili Japończycy na temat klęski Francji w 1940 roku i aby na premierę zaprosić oddział hitlerowskich czołgów, dla odbycia defilady pod Łukiem Triumfalnym. (Żadna rewelacja zresztą, bo na premierze filmu „Bitwa o Anglię” obecnych było kilku pilotów Luftwaffe).

Druuga refleksja, dowcipniejsza, pochodzi z Londynu, gdzie po wyjściu z premiery pewien wzruszony krytyk angielski zwrócił się do francuskich przyjaciół, mówiąc: „Taki smutny koniec. *I am so sorry...*”.

A wszystko dlatego, że producentem filmu jest Włoch De Laurentis; reżyserem wspomniany już Rosjanin, Sergiusz Bondarczuk; grają aktorzy z kilku krajów; scenarzystami są Anglik i Włoch, a w komercjalizację filmu zamieszani są naturalnie Amerykanie. Główną rolę w tym przewspaniałym kiczu gra 20.000 żołnierzy Czerwonej Armii, którzy poprzebierani w mundury francuskie, angielskie i pruskie, dają pokaz jak należy umierać za cesarza, króla i cara. Sam film składa się głównie z bitew, bałów, grymasów cierpiącego Napoleona i brytyjskiej flegmy Wel-

lingtona. Bondarczuk zebrał chyba wszystkie słynne powiedzonka autentyczne lub rzekome z historii i z literatury pięknej, z *merde* Cambronne'a na czele, tego samego którego „gwardia umiera, ale nie poddaje się”. Zabrakło chyba tylko *veni, vidi, vici*, natomiast nie jestem pewien czy w pewnym momencie nie pada coś w rodzaju „kości są rzucone”.

Bale i bitwy są, jak wiadomo, specjalnością Bondarczuka, który wydał na nie ok. 100 milionów rubli (ponad 100 milionów dolarów po oficjalnym kursie), tworząc najbardziej przodujący kicz świata, pod zapożyczonym z Tołstoja tytułem „Wojna i pokój”. Ale nawet tam, w filmie czysto sowieckim, Bondarczuk nie umieścił w czołówce słów hołdu dla Armii Czerwonej. Słowa hołdu otwierające „Waterloo” wywołały naturalnie westchnienie na temat radości jaką odczuwają w tym momencie bracia Czesi i Słowacy... W sumie film stanowi kolosalne zwycięstwo pieniędzy nad sztuką oraz jeszcze jeden dowód sprawności rosyjskiej w przepisywaniu na nowo historii.

I chyba nie zajmowałbym się tym filmem w ogóle, chociaż pasuje do wojskowej konwencji bieżącego felietonu, gdyby nie wywiad, udzielony przez Bondarczuka jednemu z najpoważniejszych pism na Zachodzie, a który to wywiad dowodzi, iż odmiennie od bałów i bitew, inteligencja i umiar nie stanowią specjalności rosyjskiego reżysera.

Formalnym pretekstem wywiadu był fakt, iż „Waterloo” jest pierwszą koprodukcją filmową ZSSR z Zachodem. Pytania dotyczą jednak wielu spraw, a odpowiedzi są nader pouczające. Grzeczni lub może naiwni dziennikarze zachodni odnotowali wypowiedzi Bondarczuka i tyle. Nam się jednak wydaje, że nie powinno one pozostać bez śladu.

Najpierw, rzecz ostatnio u Rosjan naturalna, Bondarczuk odaje hołd kapitalistycznej sprawności De Laurentisa, który „ma ogromną wyobraźnię... i takie same fundusze. Pozostawił mi całkowitą wolność... Marksistowskie podejście do historii nic mnie nie obchodzi. Nakręciłem film jak czułem, po skonsultowaniu całych ton dokumentów archiwalnych”.

Czyli zupełnie jak w Związku Sowieckim. Ale idźmy dalej.

Następne pytanie brzmi: „Czy łatwo być reżyserem w ZSSR?”. Bondarczuk skromnie odpowiada: „Trzeba mieć dużo uporu i talentu... Są u nas ludzie, którzy nie mogą usnąć, myśląc o sławie Felliniego czy Antonioniego. Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam żadnych problemów i kręcę tylko te filmy, które mnie interesują...”. Czyli znowu zupełnie jak wszyscy inni w ZSSR. Ot, normalka... jak mówią w Warszawie.

Bondarczuk podkreśla dalej, że pracuje „dla sztuki, która ma uskrzydlić ludzkość, pozwolić człowiekowi odnaleźć wiarę w siebie, ulepszyć go...”. To uskrzydlenie nabiera bardziej konkretnego sensu w świetle dalszych interesujących sformułowań. Oto one: „...Napoleon był największym mężem stanu i największym bohaterem Francji... To prawda, że najwspanialsze chwile swego życia spędził na zabijaniu. Jego wielkość jednak pozostaje...”.

Nie mogę w tym miejscu oprzeć się żądzy sięgnięcia do słów Nikity Chruszczowa, który po śmierci Stalina powiedział do Harimana: „Wszyscy byliśmy jego uczniami i wszystko jemu zawdzięczamy. Jak Piotr Wielki, Stalin zwalczał barbarzyństwo barbarzyństwem, ale to był wielki człowiek”.

Widać z tego, że kryteria wielkości są w ZSSR niejako ponadczasowe.

To westchnienie jest mi potrzebne nie tylko dla celów porównawczo-historycznych, ale także ułatwia przejście do następnego pytania. Dotyczyło ono ewentualności nakręcenia przez Bondarczuka filmu o Stalinie. Odpowiedź jest zastanawiająca: „Kult jednostki jest jeszcze zbyt żywy, więc rzecz nie byłaby łatwa, ale spróbowałbym gdybym dysponował dobrym scenariuszem. Na przykład gdyby Szołochow, autor „Cichego Donu” chciał taki scenariusz napisać...”.

Voilà! Nie wiadomo właściwie co na temat tych bredni powiedzieć. Spróbujmy jednak. Przede wszystkim — materiał do filmu o Stalinie jest w zasadzie gotów i Bondarczuk niepotrzebnie się kryguje. Aktorzy — to ci sami żołnierze co w „Wojnie i pokoju” i w „Waterloo”, którzy mogą tym razem zostać przebrani za łagierników. A w ogóle to można bez nich się obejść, bo według Roberta Conquesta, naukowca poważnego i poważanego, w ZSSR w obozach pracy przymusowej przebywa obecnie około 500.000 osób. Dekoracje — tamże, jak żywe. Po dokumentację Bondarczuk także nie musi sięgać do archiwów ani studiować tomów historii, wystarczy sięgnąć do jednej z powieści Sołżenicyna lub też poprosić o scenariusz Sinawskiego i Daniela. Reszta jest dziecinnie prosta, bo Bondarczuk ma „całkowitą wolność tworzenia i kręci tylko to co chce”. Sam to powiedział. Więc niech zechce.

Wywiad z Bondarczukiem ukazał się w bardzo poważnym piśmie (prawdopodobnie w niejednym, ale wszystkiego przecież nie czytam), bez słowa komentarza. A było to w przeddzień procesu Amalrika, po skazaniu Pimienowa, po lawinie błota, jakim obrzucano laureta Nobla, Sołżenicyna przez prawie całą propagandę socjalistyczną, po, po, po... po tym jak poeta Wozniesiński wyszeptał w pewnym wierszu najtragiczniejsze chyba dla pisarza słowa: „Już nie mogę pisać...”. *Le Monde*, o którym mowa, wychodzi zaś w mieście, gdzie przez całe tygodnie szedł film o Rublowie, który nie został pokazany na Wschodzie w ogóle i którego reżyser, choć miał „dużo uporu i talentu” nie może kręcić „tego co chce”, mimo, że i uporu i talentu ma na pewno więcej niż sam mistrz Bondarczuk.

Duży kapral i mały Stalin

Wywiad z Bondarczukiem na temat filmu o „małym kapralu”, ukazał się bez komentarzy tak z powodu naiwności dziennikarza, co i beztroski środowiska. Nikt oczywiście, i chyba słusznie,

nie przywiązuje tu żadnej wagi do tego co jakiś Bondarczuk ma do powiedzenia w prasie. Nikogo, naturalnie, nie obchodzi też, że gdzieś tam daleko, także w ojczyźnie Bondarczuka, nikt z ludzi nie będzie mógł tego wywiadu przeczytać, choć może ma „upór i talent”, albowiem dziennik ten do Moskwy w ogóle oficjalnie nie dociera.

To co wyżej nie stanowi naturalnie dla Zachodu żadnego argumentu. Tu bowiem każdy ma prawo kupować co chce i czytać co chce, a gazeta ma prawo drukować co chce. Oczywiście, na Zachodzie dziennikarza i redakcja odpowiadają za obelgi i obrazy, w odróżnieniu od PRL gdzie dziennikarze wylatują za charakter i odwagę, gdzie natomiast bezkarnie przechodzi każda obrzydliwość i podłość.

Biuletyn prasowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych ukazujący się w Krakowie pod nazwą *Życie Literackie*, zamieścił w dniach 18 i 25 października ogromny wyciąg z kartoteki władz bezpieczeństwa, demaskujący syjonistyczno-agenturalne powiązania kilkudziesięciu byłych obywateli PRL, którzy po wygnaniu z Polski wpadli w sieć inż. Wiesenthala (tego od Eichmanna) i nie zajmują się niczym innym, jak tylko działalnością przeciwko p. Moczarowi.

To paskudztwo, którego autorem jest pewien duży kapral MSW, nazwiskiem Wacław Szafrąński w bardzo nieudolny sposób oddaje treść obłąkanego raportu polskiego James Bondów, i nie tylko nie zasługuje, ale nawet nie nadaje się do odpowiedzi czy wyjaśnienia. Zawiera jednak pewien krótki, acz wymowny fragment, który mnie blisko obchodzi i dlatego nie mogę zostawić go bez komentarza. Oto on:

„Kontakty z Ośrodkiem Dokumentacji i z Palestina-Amt (czyli z Wiesenthalem i z Izraelem — dop. B.) podjął w 1969 roku również były dziennikarz *Życia Warszawy*, przebywający obecnie w Belgii, Leopold Unger, którego brat, pracownik służby wywiadowczej NATO od dawna współpracował z Wydziałem Żydowskim CIA...”.

Mniejsza o kontakty Leopolda Ungera z Wiesenthalem i z Wiedniem, na szczęście już nie te czasy i już nie trzeba się przed żadnym kapralem Szafrąńskim z niczego tłumaczyć. Istotny jest natomiast fragment dotyczący brata L. Ungera. Oto bowiem:

1) Nieprawdą jest jakoby brat Leopolda Ungera był pracownikiem służby wywiadowczej NATO, natomiast prawdą jest, że podporucznik Leon Unger (jedyne brat Leopolda) poległ w kampanii włoskiej w styczniu 1944 r. i jest pochowany na cmentarzu w Loreto jako pierwszy oficer polski pochodzenia żydowskiego, spoczywający na tym cmentarzu w kwaterze z Gwiazdą Dawida na kamieniu.

2) Nieprawdą jest jakoby Leon Unger, brat Leopolda, współpracował z wydziałem żydowskim CIA, natomiast prawdą jest, że jako czynny działacz polskiej lewicy pro-komunistycznej, a zarazem plutonowy podchorąży Wojska Polskiego, został natychmiast po zajęciu Lwowa deportowany do Kołomy, skąd po latach

katorgi udało mu się przedrzeć do wojska polskiego formującego się w ZSSR.

Tyle wyjaśnienia dla ew. czytelników, bo przecież nie dla gazdiniówki wychodzącej w Krakowie (PRL).



Obok artykułu Szafrąńskiego zamieszczony jest felieton Machajka z okazji Święta Zmarłych. Pisze on: „Chylimy czoła przed każdą śmiercią... na pierwszym miejscu wybieramy pamięć tych, których wybrały wraże kule. Tym zawdzięczamy najwięcej... być może ich śmierć uratowała nasze życie...”.

Chyli czoła przed grobami, ale profanując je.

BRUKSELCZYK

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 192 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMNASTY

Zawiera m.in. S. Popkiewicza: *Łączność radiowa z Krajem po Powstaniu Warszawskim*; S. Żochowskiego: *O Sztapie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej*; J. Garlińskiego: *Oświęcim walczący. Działy: Na 25-lecie P.R.L. — W ZSSR o Powstaniu Warszawskim — Wspomnienia — Polemiki — Recenzje i Listy do Redakcji.*

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4; 30 sh.)



TOM 193 — SERIA „DOKUMENTY”

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

KRYZYS ROLNICTWA CZY KRYZYS POLITYKI ROLNEJ ?

Nowa analiza „błędów i wypaczeń” tym razem dotycząca polityki rolnej w PRL — napisana przez autora „Motorów i hamulców socjalizmu”.

Str. 64.

Cena F. 9 (dol. 2; 16 sh.)



Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Osobiście mówiąc tytuł tego działu należałoby rozszerzyć i nazwać go: „To co jest i to czego nie ma w prasie sowieckiej”. Czytając bez specjalnej przyjemności, lecz z dużym zainteresowaniem, gazety i pisma sowieckie szukam w nich informacji o życiu państwa, od którego polityki w dużym stopniu zależą losy ludzkości. Bardzo często informacja ta ma charakter — można by powiedzieć — negatywny. Informacji bowiem nie ma, ale jej brak świadczy o określonych tendencjach sowieckiej polityki wewnętrznej czy zagranicznej.

W swoich dwóch ostatnich przeglądach zwracałem uwagę na gwałtowną, podziemną walkę, jaka toczy się między sowieckim kierownictwem a uczonymi, podkreślając, że jedynie jej echa można znaleźć w oficjalnej prasie. Ale brak szczegółowej informacji o etapach tej walki, znanej, i to dobrze, wszystkim jej uczestnikom, pozwala na stwierdzenie nieistnienia określonej linii na „szczytach” sowieckiego kierownictwa.

Wydarzenia narastają, rozwijają się w tempie, które jeszcze nie dawno temu byłoby nie do pomyślenia. W ostatnim miesiącu powtórzyła się prawie dosłownie sytuacja, o której pisałem w ostatnim przeglądzie. Znowu dwa polityczne „przestępstwa”. Jeśli w poprzednim miesiącu była mowa o biologu Jaurèsie Miedwiediewie i byłym kierowniku literacko-artystycznego klubu Akademiogorodka, M. Makarenko, to teraz jest mowa o matematyku Pimieniewie i pisarzu A. Amalriku. Jaurès Miedwiediew był umieszczony w domu dla chorych umysłowo, lecz bardzo szybko zwolniony na skutek nacisku uczonych. Makarenkę skazano na osiem lat więzienia. Rewolta Pimienowa, na którego procesie asystował w charakterze obserwatora (!) akademik Sacharow — skazano na pięć lat zesłania, a Amalrika — za to samo „przestępstwo” — „za przygotowanie i rozpowszechnienie oszczerczych wymysłów, zniesławiających sowiecki państwowy i społeczny ustrój” — na trzy lata obozu o obostrzonym reżymie.

Ale należy zauważyć, że te dwa wyroki mają dalszy ciąg i to właśnie miałem na myśli mówiąc o błyskawicznym rozwoju wypadków. Przede wszystkim — przemówienie Amalrika w sądzie, które ma się rozumieć nie ukazało się w prasie sowieckiej ale, zanotowane przez przyjaciół pisarza, trafiło do „samizdatu”.

Daniel i Siniawski byli pierwszymi „politycznymi przestępcami”, postawionymi przed sowieckim sądem (po raz pierwszy bodajże po procesie eserów w 1922 r.), którzy nie przyznali się do winy. Amalrik jest pierwszym, który rzucił wyzwanie sowieckiemu reżymowi. Strach przed ideami, które reprezentuje, fakty, które przytaczam w moich książkach — oświadczył Amalrik — oto to, co wy rozpatrujecie jako przestępstwo kryminalne. To wszystko co widzimy dzisiaj, można wytłumaczyć strachem reżymu, widzącego niebezpieczeństwo w rozpowszechnianiu każdej myśli, każdej idei niezrozumiałej dla biurokracji.

Amalrik zakończył swoje przemówienie słowami, które być może będą kiedyś nazwane proroczymi: ten proces miał na celu nastraszenie ludzi i wielu nastraszył. Tym niemniej rozpoczęty proces ideologicznej wolności jest nie do zatrzymania.

Ale również i proces Pimienowa ma swój dalszy ciąg.

15 listopada akademik Sacharow z dwoma wybitnymi sowieckimi fizykami, Andrejem Twierdochlebowym i Wasilijem Czalidze, poinformował zagranicznych korespondentów, że stworzyli w Związku Sowieckim Komitet Obrony Praw Człowieka. W rozesłanym przez siebie piśmie wyłożyli cele Komitetu. Głównym celem jest współpraca z władzami w pracy nad stworzeniem i zrealizowaniem gwarancji praw człowieka. Główne zastrzeżenie: Komitet Praw Człowieka nie będzie miał najmniejszych związków z zagranicznymi organizacjami, szkodzącymi Związkowi Sowieckiemu.

Różnica między punktem widzenia Amalrika i Sacharowa jest jasna. Amalrik uważa reżym sowiecki za zgniły i nie nadający się do życia. Sacharow zaś wierzy w żywotność reżymu, lecz chciałby go trochę zreformować.

Problem sprowadza się tylko do jednej rzeczy: czy reżym chce się zreformować, czy uważa za dopuszczalne, aby ktokolwiek — spoza partii — patrzył mu na ręce i troszczył się o „prawa człowieka”.

Ale bunt elity rozszerza się. Światowej sławy wiolonczelista Mstisław Roztropowicz wysłał list otwarty do wszystkich centralnych pism sowieckich. Roztropowicz jest jednym z przedstawicieli nowej sowieckiej kasty „niedotykalnych”. Wystąpił on w obronie Sołżenicyna, w obronie twórczej wolności.

List Roztropowicza, nieopublikowany dotąd przez prasę sowiecką, zapewne otrzyma jakąś odpowiedź, ale prawdopodobnie od jakiegoś uświadomionego czołowego robotnika, czy kołchoźnika, bo trudno będzie znaleźć muzyka, równie głośnego jak Roztropowicz, który zgodziłby się wystąpić przeciwko znakomitemu wiolonczeliście i... przeciw Sołżenicynowi.

Kampania przeciwko Sołżenicynowi jest prowadzona do tej

pory. Ale nie ma w niej dawnej „pasternakowskiej” siły, czy złości, krócej — nie ma w niej dawnego stalinowskiego przekonania o swojej słuszności. Do tej pory przeciwko Sołżenicynowi nie wystąpił jawnie ani jeden z sowieckich pisarzy. Jak dotąd występują jedynie pisarze zagraniczni — wschodni Niemcy (potępiając Sołżenicyna podpisała Anna Seghers), Bułgarscy, niektórzy — bardzo nieliczni — wierni Moskwie pisarze komunistyczni holenderscy, szwedzcy, amerykańscy. Ciekawe, że wszystkie te oświadczenia są identyczne. Może to jest wina przekładu, a może być... Bodajże najbardziej jaskrawym epizodem nagonki na Sołżenicyna jest oświadczenie agencji „Nowosti” (bez podpisu), rozpowszechnione poza granicami Związku Sowieckiego, a w ZSSR przedrukowane jedynie w *Komsomolskiej Prawdzie*. Sołżenicyn jest nazwany w tym oświadczeniu nie pisarzem, a „literatem” (co po rosyjsku brzmi bardzo pogardliwie), człowiekiem o chorobliwej ambicji itd., itp. Jednym słowem to wszystko nic innego niż to co mówi się o Sołżenicynie od lat. Jest jednak i nowy element. „Nowosti” oburzają się nie tylko na Sołżenicyna, ale i na szwedzki Komitet Nobla; oskarżając go o liczne grzechy piszą: „A może my stawiamy członkom literackiej sekcji Komitetu Nobla zbyt wysokie wymagania? Przecież w ich praktyce był już laureat André Gide przeklęty przez swój i inne narody za współpracę z hitlerowskimi mordercami”.

Ten ustęp nas oszołomił. Dlaczego André Gide? Jest przecież dobrze wiadomo, że nigdy nie współpracował on z hitlerowcami, że bynajmniej nie był „wyklęty przez swój i inne narody”, przeciwnie jest wysoko ceniony we Francji i w innych krajach. O co więc chodzi? Przecież jeśli już koniecznie trzeba było znaleźć prawdziwego kolaboranta wśród laureatów Nobla, to był taki — Knut Hamsun. Ale agencja „Nowosti” wybrała André Gide’a. A więc świadomie. Przypomniałszy sobie lekcje Sherlocka Holmesa, zastosowaliśmy metodę dedukcji i indukcji i doszliśmy do następujących wniosków.

„Współpraca z hitlerowskimi mordercami” — to jest zrozumiałe. O Sołżenicynie ciągle rozpowszechnia się oszczerstwa, że jakoby był on w niewoli u Niemców i z nimi współpracował. Pisarz wielokrotnie przygwałdził to kłamstwo, ale sowieccy agitatorzy nadal je rozpowszechniają.

Ale dlaczego André Gide? Okazuje się, że zagadka jest prosta. Osądźcie sami. Gazeta pisze: Aleksander Sołżenicyn — André Gide, potem — Sołżenicyn — Gide i u czytelnika powstaje potrzebna asocjacja: Sołżenicyn — Żyd. Tego trzeba było dowieść — kolaborant i Żyd.

Wszystkim, który ta hipoteza może się wydawać naciągnięta, chcę przypomnieć, że w 1948 roku, w czasie walki z „kosmopolityzmem”, pismo *Krokodil* zamieściło na swojej okładce karykaturę odrażającego Żyda (typu „sztürmerowskiego”) i aby czytelnik nie miał najmniejszej wątpliwości o co chodzi, odrażający

typ z haczykowatym nosem itp. trzymał w ręku książkę, na której było napisane „A. Gide”¹.

Należy jeszcze dodać, że w oświadczeniu „Nowosti” przesłanym do francuskich agencji prasowych ustęp o André Gide był opuszczony. Po pierwsze Francuzi znają prawdę o swym pisarzu, a poza tym w języku francuskim nie ma tej znakomitej gry słów, tak wygodnej w języku rosyjskim.

W ostatnich tygodniach — w październiku — były dwa wypadki powietrznego piractwa. Dwa sowieckie samoloty zostały zmuszone do lądowania w Turcji. W pierwszym wypadku dwóch Litwinów — ojciec i syn — terroryzują załogę i zabijają stewardessę. Wypadek ten znalazł najbardziej szeroki oddźwięk w prasie sowieckiej. Ukazują się artykuły, drukuje się liczne listy oburzonych obywateli sowieckich, domagających się wydania sowieckim władzom powietrznych piratów.

„Niebezpieczeństwo zagrażające samolotom pasażerskim ze strony różnego rodzaju przestępców stało się zagadnieniem międzynarodowym” — zupełnie słusznie piszą *Izwestia* (nie będziemy przypominać, że w innych wypadkach powietrznego piractwa niczego podobnego nie pisało się). Mimo nacisku ze strony rządu sowieckiego, mimo bardzo przejrzyściej aluzji („czy warto dla dwóch bandytów zakłócać stosunki z sąsiednim państwem?”), uparci Turcy nie spieszyli się z wydaniem Litwinów. I wtedy, na sowieckie szczęście (jest teoria, że szczęściu można i trzeba troszkę pomagać) w Armenii wylądował amerykański samolot wojskowy z dwoma amerykańskimi generałami i jednym tureckim pułkownikiem. Zdawało się, że teraz jest już wszystko w porządku: dwóch sowieckich uciekinierów łatwo będzie można wymienić na generałów i pułkownika.

Ale tu znowu się wszystko poplątało. Znowu — i to jest ten drugi wypadek — dwaj sowieccy obywatele opanowali tym razem nie pasażerski, a turystyczny samolot i wylądowali na tureckim terytorium. Ale o tym wypadku w sowieckiej prasie nie napisano ani słowa! Zły przykład okazał się bardzo zaraźliwy i władze widocznie nie zdecydowały się na rozpowszechnienie doświadczenia uciekinierów.

Amerykańskich generałów i tureckiego pułkownika po jakichś tajemniczych targach puszczono do domu, a w gazetach dalej drukuje się listy z żądaniem sądu nad powietrznymi piratami i generalnym potępieniem powietrznego piractwa.

Według ostatnich informacji palestyńscy feddajni zdecydowali się na zmianę form walki: planują oni teraz zatapiać tan-

1. W języku rosyjskim słowa cudzoziemskie pisze się fonetycznie. „Żid” jest określeniem pogardliwym; normalnie mówi się „jewrej”.

kowców-olbrzymów. Związek sowiecki takich tankowców nie posiada.

Po pewnej przerwie w prasie sowieckiej znów zaczyna się mówić o reformie ekonomicznej. Zdaje się, że najbardziej charakterystyczną cechą państwa sowieckiego jest wiara w cud, której hołdowali wszyscy jego przywódcy. Lenin nazywał to zasadniczym ogniwem w łańcuchu. Znaleźć takie ogniwo i wszystko od razu będzie na swoim miejscu — nastąpi rozkwit. Takie „ogniwo” przedstawiał, na przykład, Stalinowi Łysienko. Specjalnym wielbicielem „ogniwa-cudu” był Chruszczow. Co rok uroczysto ogłaszał swoje wynalazki: to kukurydza, to chemia, to rakiety na Kubie.

Także i obecnie rozpoczęta dyskusja o reformie ekonomicznej związana jest z poszukiwaniem kolejnego „zasadniczego ogniwa”. Dzisiaj ogniwo to nazywa się: „organizacja i kierowanie gospodarką narodową”. Zmienić system organizacji i kierownictwa a wszystko się od razu zmieni. Trzeba przyznać, że tym razem idzie rzeczywiście o istotę ustroju sowieckiego, chociaż autorzy artykułów i książek ukazujących się w ostatnim czasie otwarcie o tym nie piszą. Atak prowadzi się w pierwszym rzędzie na istotę państwowego i partyjnego aparatu, na nomenklaturę, na system doboru i przesunięć kierownictwa. Ma się rozumieć w tych artykułach mówi się jedynie o kierownikach życia gospodarczego. Ale najbardziej naiwny czytelnik łatwo zrozumie, co ma na myśli autor artykułu, czytając w *Literaturnoj Gazecie* (Nr 44) artykuł dyrektora departamentu Ministerstwa Przemysłu Samochodowego ZSSR, A. Runienkowa. Ten wysoki sowiecki urzędnik atakuje ankietę! „Główną wartość robotnika — pisze on — określa się czystością ankiety”. Jego zasługi mierzy się nie tym co robił, a tym czego nie robił, nie popełniając błędów, nie dopuszczając do przekroczeń itd. „Nic nierobienie przybiera pozytywny charakter. Lepiej niczym się nie wyróżniać, niż wyróżniać się, ale z ryzykiem popełnienia błędów”.

To tu — można by uzupełnić autora — leży więc przyczyna immobilizmu sowieckiej ekonomiki, i nie tylko ekonomiki. Ale autor artykułu przytacza jeszcze jeden powód. „Wzbudza niepokój granica wieku kierowników. Wiadomo przecież, że przeciętna wieku większości naszych działaczy jest bardzo solidna, a nierzadko i emerytalna”. Chociaż A. Runienko pisze o wieku działaczy ekonomicznych, to dobrze wiadomo, że wiek wielu państwowych i partyjnych kierowników jest także „emerytalny”. Zwraca uwagę, że w liczbie inicjatorów tej kampanii o odnowienie systemu kierownictwa znajdujemy socjologa, doktora filozofii, W. Gwyszjani. Zajmuje on stanowisko zastępcy przewodniczącego Państwowego Komitetu Rady Ministrów dla Nauki i Techniki. Niemniej ważne jest i to, że W. Gwyszjani jest zięciem Aleksieja Kosygina. W 1970 roku wyszła książka W. Gwyszjani pt. „Organizacja i kierownictwo” rozpatrująca — jak pisze jeden z recenzentów —

zagadnienia kierownictwa w warunkach państwowo-monopolistycznego kapitalizmu Stanów Zjednoczonych. Autor książki dochodzi do wniosku, że system istniejący w Stanach Zjednoczonych może być doskonale wykorzystany i w Związku Sowieckim. Jak dowodzi sowiecki ekonomista prof. Millner „paradoks polega na tym, że kapitalizm ucieka się w obronie swego systemu do metod zaprzeczających jego istocie”.

11 listopada w *Izwiestiach* ogłoszono artykuł Gwiszjaniego, otwierający nowy dział: „Szkola kierowania gospodarką”. W tym dziale będą regularnie publikowane materiały propagujące racjonalne metody kierownictwa, nielegalnie wykorzystywane przez kapitalistów.

Adam KRUCZEK

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

NOWOŚCI

BIBLIOTEKI « KULTURY »

INSTYTUT LITERACKI

Adres Redakcji : 91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE, France

Andrej AMALRIK

CZY ZWIĄZEK SOWIECKI PRZETRWA DO ROKU 1984?

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 31)

● Znane studium sowieckiego pisarza, skazanego w listopadzie br. na trzy lata obozu pracy przymusowej o zaostrzonym reżymie. Książka zawiera ponadto trzy listy Amalrika i list Piotra Jakira. Przedmowa *Adama Kruczka*. (Lipiec 1970).

Tom 190
Str. 96
10 F (\$ 2,25; 18/6d)

Witold GOMBROWICZ



KOSMOS

● Tom IV-ty „DZIEŁ ZEBRANYCH” (Pierwsze wydanie „Kosmosu” ukazało się w maju 1965 r. jako tom 92 „Biblioteki Kultury”. (Sierpień 1970).

Tom 191
Str. 16C
15 F (\$ 3,75; 31 sh.)

ZESZYTY HISTORYCZNE

(Zeszyt 18-ty)

● Zawiera m.in. prace: S. Popkiewicza: *Łączność radiowa z Krajem po Powstaniu Warszawskim*; S. Zochowskiego: *O Sztabie Głównym i Wyższej Szkole Wojennej*; J. Garlińskiego: *Oświęcim Walczący* oraz *Działy: Na 25-lecie P.R.L. — W ZSSR o Powstaniu Warszawskim — Wspomnienia — Polemiki — Recenzje — Listy do Redakcji*. (Sierpień 1970).

Tom 192
Str. 240
18,50 F (§ 4; 30 sh.)



Władysław BIENKOWSKI

KRYZYS ROLNICTWA CZY KRYZYS POLITYKI ROLNEJ?

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 32)

● Nowa analiza „błędów i wypaczeń”, tym razem dotycząca polityki rolnej w PRL, napisana przez autora „Motorów i hamulców socjalizmu”. (Październik 1970).

Tom 193
Str. 64
9 F (§ 2; 16 sh.)



Andrzej BOBKOWSKI

COCO DE ORO

(Szkice i Opowiadania)

● Wybór opowiadań przedwcześnie zmarłego pisarza, którego przypominamy naszym Czytelnikom w 10-tą rocznicę jego śmierci. Przedmowa Józefa Czapskiego. (Październik 1970).

Tom 194
Str. 272
20 F (§ 4,25; 33 sh.)



Juliusz MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

● Wybór artykułów czołowego publicysty *Kultury*. (Listopad 1970).

Tom 195
Str. 224
18,50 F (§ 4; 32 sh.)



Tadeusz NOWAKOWSKI

HAPPY-END

● Powieść znanego pisarza na tle rzeczywistości Polski Ludowej. (Listopad 1970).

Tom 196
Str. 208
18,50 F (§ 4; 32 sh.)

GŁOSY STAMTĄD ZSSR i PRL

(Od opozycji do rewolucji)

(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 33)

● Tom zawiera opracowania otrzymane z Kraju pt. *Próba diagnozy* i *Abecadło dla opozycjonistów* oraz tłumaczenia z „samizdatu”: S. Zorina i N. Aleksiejewa *Czas nie czeka* oraz *Program Ruchu Demokratycznego w Związku Sowieckim*. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego. (Grudzień 1970).

Tom 197
Str. 176
18,50 F (§ 4; 32 sh.)

INSTITUT LITTÉRAIRE

91, Avenue de Poissy

78-MAISONS-LAFFITTE

France

WIAM NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI:

..... Cena

..... Cena

..... Cena

..... Cena

..... Cena

..... Cena

I PRENUMERATĘ „KULTURY” NA

5; *Zagranicą* - F. 82 (lub \$ USA 15;

PRENUMERATĘ „KULTURY”
ZESZYTAMI HISTORYCZNYMI” NA

0; *Zagranicą* - F. 120 (lub \$ USA 21;

A FUNDUSZ „KULTURY”

na

(podpis)

ZESZYTY HISTORYCZNE

Poświęcone najnowszej historii Polski i krajów środkowoeuropejskich, wychodzą regularnie od 1962 r., dwa razy do roku. Napływ materiałów jak i zainteresowanie Czytelników sprawiają, że Instytut Literacki chciałby przekształcić *Zeszyty Historyczne* na kwartalnik. Zależy to jedynie od ilości prenumeratorów. Liczymy tu na pomoc naszych wszystkich Czytelników.

Zwracamy ponadto uwagę, że są jeszcze do nabycia komplety *Zeszytów* (18 zeszytów) — z wyjątkiem wyczerpanego nru 2-go.

Cena pojedynczego *Zeszytu* wynosi F. 18,50 (\$ 4; 30 sh.).

Roczna prenumerata *Zeszytów Historycznych* kosztuje F. 45 (\$ 8 lub równowartość).

Prenumeratory *Kultury* korzystają ze zniżki i płacą: F. 35 (\$ 6 lub równowartość).

O religii bez namaszczenia

Konfrontacja

W *Kulturze* paryskiej z października 1969 r. ukazał się artykuł pt.: „Smutna parafia”. Autorem jest Słowak Peter Horsky. Horsky odwiedził w lipcu ub. roku wsie Nową Białą i Krempachy na Spiszu na terenie Archidiecezji Krakowskiej. W kościołach w Nowej Białej i w Krempachach od paru lat nie odprawia się żadnych nabożeństw. Klucze od kościołów znajdują się w rękach Słowaków, którzy co niedzieli schodzą się tam w liczbie ok. 300 osób i śpiewają po słowacku pieśni mszalne i nieszpory. Całą odpowiedzialność za ten stan rzeczy zwała Horsky na Władze Kościelne Archidiecezji Krakowskiej, a w szczególności na Ks. Kardynała Wojtyłę, Metropolitę Krakowskiego.

Dokonajmy obecnie konfrontacji podanych przez Horsky’ego najważniejszych faktów ze stanem rzeczywistości.

Horsky cytuje — słowa swoich rozmówców Słowaków z Nowej Białej:

„W naszym kościele nigdy dotychczas nie śpiewało się po polsku, zawsze po słowacku. Bo po przyłączeniu tych ziem do Polski w Nowej Białej słowacki ksiądz ojciec Moś — krajan z sąsiedniego Trybsza został, bo tu się urodził. Mieszkał w Nowej Białej, ale administrował także sąsiednie Krempachy. W dobie istnienia państwa słowackiego ziemie te należały do Słowacji. Kiedy po roku 1945 z powrotem przyłączono je do Polski, ksiądz Moś najpierw uwięziono a potem wygnano na Słowację. Ale słowacki śpiew w kościele pozostał zarówno w Krempachach jak i w Nowej Białej. Polski ksiądz wygłaszał kazania i modlił się po polsku, a my śpiewaliśmy po słowacku”.

Otóż, zdaniem najstarszych parafian, Godzinki, Gorzkie Żale, Droga Krzyżowa, adoracja przy grobie Pana Jezusa w Wielki Piątek — zawsze były po polsku, bo księża słowaccy nie znali tych nabożeństw. Śpiewano też tam dużo polskich pieśni — szczególnie kolęd. W czasie misji w 1944 roku słowacki misjonarz

* Te wyjaśnienia otrzymaliśmy z miarodajnych kół kościelnych polskich i na ich zamieszczeniu zamykamy dyskusję. — *Redakcja*.

zachęcał do śpiewania polskich pieśni w czasie procesji z krzyżem misyjnym po wiosce.

Po wojnie nie było polskich śpiewów.

Od wizytacji biskupiej w 1962 roku po sumie śpiewano „My chcemy Boga”.

Ks. Moś przełożył na język słowacki Godzinki o Matce Boskiej i nauczył ludzi. Przełożył również Gorzkie Żale, ale słowackie władze kościelne ich nie zatwierdziły. W okresie Wielkiego Postu za ks. Mośa nie były śpiewane ani po polsku ani po słowacku. Ks. Franciszek Moś, pochodzący z Trybsza, tam też był wikarym do 1920 r. a potem administratorem tejże parafii do 1925 r. W 1925 r. został przeniesiony do Nowej Białej. Według jego własnego opisu zawartego w broszurze „Roky 1918-1939 na severnam Spisy”, wydanej w Bratysławie w 1944 r., stwierdza, że prowadził zdecydowaną akcję, mającą na celu przekonanie ludzi o ich słowackiej przynależności. W okresie państwa słowackiego był kierownikiem „Hlinkowej Gardy”. Za swoją postawę w latach wojny i w 1945 r. zostaje aresztowany przez władze polskie, w listopadzie 1945 r. Ks. Kardynał Sapieha dnia 18. VII. 1946 r. pisze do prokuratora Sądu Specjalnego w Krakowie list L. 4734/46 w którym prosi m.in. „aby sprawa jego jak najszybciej została załatwiona i on został zwolniony z więzienia”. W październiku 1946 roku ks. Moś zostaje zwolniony z nakazem opuszczenia Polski i udania się na Słowację. Żegnając się z ludźmi miał powiedzieć: „żeby mi tu polskiego słowa w kościele nie było”.

Po odejściu ks. Mośa parafią w Nowej Białej administrowali księża polscy. W kościele odprawiano co niedzieli jedną Mszę św. po łacinie, w czasie której wszystkie śpiewy i aklamacje ludu były po słowacku natomiast Ewangelia i kazanie było po polsku. Nie śpiewano natomiast nigdy pieśni polskich. Pod koniec 1963 r. przybyła do ówczesnego proboszcza ks. Bączkiewicza delegacja Polaków z Nowej Białej i prosiła, by wprowadzić Mszę św. dodatkową ze śpiewem polskim dla Polaków.

Horsky pod datą 8. I. 1964 pisze:

„Ksiądz Bączkiewicz zaprasza Radę Kościelną i oznajmia, że we wsi konieczna jest również polska Msza św., bo Polacy nie rozumieją po słowacku”.

Otóż w pierwszych dniach stycznia 1964 r. przybyła dwukrotnie na plebanie w Nowej Białej, delegacja ludności słowackiej domagając się, aby prośby wniesionej ze strony polskiej o Mszę św. ze śpiewem polskim nie brać wcale pod uwagę. Nie należy rozmawiać z ludźmi, którzy domagają się języka polskiego, nie przyjmować ich na plebani, a raczej zamykać przed nimi drzwi. W ten sposób — ich zdaniem — będzie można na terenie parafii utrzymać dalszy spokój.

Słowacy tłumaczyli swą postawę tym, że nie rozumieją modlitw, odmawianych po polsku. Trzeba stwierdzić, że w całej Nowej Białej i Krempachach wszyscy mówią wyłącznie po polsku używając gwary góralskiej. Dnia 12 stycznia 1964 r. została ogłoszo-

na przez ks. Bączkiewicza dodatkowa Msza św. o godz 13 ze śpiewem polskim. Dotychczasowa Msza św. ze śpiewem słowackim pozostała bez zmian. Oznacza to więc, że obok Mszy św. ze śpiewem słowackim o zwykłej porze tak jak dotychczas, będzie jeszcze jedna, dodatkowa ze śpiewem polskim.

Mszy św. ze śpiewem polskim wywołała gwałtowne reakcje ze strony pewnej grupy Słowaków. Horsky pisze (1. II. 64) na ten temat lakonicznie i niejasno:

„Ksiądz odchodzi od ołtarza, bowiem Polacy nie utrzymali się przy śpiewie. W kościele wybuchła bójka”.

Tymczasem fakty przedstawiają się następująco: Podczas pierwszej dodatkowej Mszy św. o godz. 13 odprawianej w niedzielę, dnia 19. I. 1964 r., po wyjściu księdza z zakrystii do ołtarza, zaczęto śpiewać kolędy w języku polskim. Ale równocześnie Słowacy zaczęli śpiewać po słowacku. W kościele zapanował krzyk i hałas. Na skutek tego ksiądz nie rozpoczął Mszy św. ale czekał, aż się uspokoi. Dopiero po 45 minutach takiego śpiewu — krzyku nastąpił spokój, a ksiądz rozpoczął Mszę św. Podczas Mszy św. panowała cisza. Dodajmy, że w tym samym dniu była Msza św. ze śpiewem słowackim i nikt nie przeszkadzał ze strony Polaków. W następną niedzielę, o godz. 13-tej, 26. I. 64 r. było dość spokojnie. Śpiewano tylko po polsku. Wywołało to powszechną radość i nadzieję wśród Polaków, że wszystko jakoś się ułoży.

We wtorek, 28. I. 64. przyszło na plebanie w Nowej Białej dwóch mieszkańców, Słowaków, należących do Komitetu Kościelnego: Sylwester Kurnat i Andrzej Skupin. Usiłowali oni wymusić na księdzu wycofanie Mszy św. ze śpiewem polskim o godz. 13-tej. Ponieważ nie uzyskali zgody ze strony księdza — grozili że w niedzielę będzie gorzej. 1. II. 64 potwierdziły się te słowa. Na skutek strasznego zamieszania w kościele Mszy św. nie można było odprawić. Powyższa relacja obrazuje sytuację: Na skutek masowego przybycia ludności słowackiej na Mszę św. o godz 13, która miała być odprawiana ze śpiewem polskim, doszło do zamieszek w kościele spowodowanych przez Słowaków.

Dalsza relacja autora posiada również charakter niejasny:

„Nadszedł list od Arcybiskupa. Msza św. o godz. 13 została zakazana, a na pozostałych nie będzie się śpiewać”.

Należy stwierdzić, że była to Msza św. o godz. 13, a więc ze śpiewem polskim. W czasie tej Mszy św. Słowacy śpiewali i krzyczeli również podczas odczytywania przez księdza Ewangelii tak, że ci, którzy chcieli jej wysłuchać, musieli podchodzić pod sam ołtarz.

Msza św. dla ludności słowackiej była odprawiana bez jakichkolwiek przeszkód ze strony księdza czy ludności polskiej.

Horsky relacjonuje dalej:

„Kuria Metropolitalna w Krakowie ul. Franciszkańska 3. 5. IX. 1964 r. L. 3038/64.

Do Wiernych Parafii w Nowej Białej.

Od dłuższego czasu, a szczególnie w niedzielę dnia 30 sierpnia br. w kościele parafialnym św. Katarzyny w Nowej Białej miały miejsce zajścia o charakterze ciężkiego świętokradztwa. Dla uchronienia Domu Bożego przed zbeszczeszczeniem a Najświętszego Sakramentu przed ciężkimi świętokradczymi zniewagami zarządzamy, aby Msza św. o godz. 13-tej została odprawiana bez jakiegokolwiek śpiewu wiernych — do wyjaśnienia. Zwracamy się do katolickiego sumienia Dzieci Bożych wzywając, abyście przeproszali Pana Boga za wyrządzone zniewagi, a uczestnicząc w Najświętszej Ofierze Mszy św. w duchu wiary i pobożności, wyjednali dla parafii błogosławieństwo Boże i łaskę jedności i zgody.

+ Karol abp.

Skonfrontujmy tę informację z tekstem listu Ks. Arcybiskupa Wojtyły. Oto pełny jego tekst:

Ażeby rozładować sytuację Ks. Kard. Wojtyła zarządził, by wprowadzić jeszcze jedną, tj. drugą, Mszę św. ze śpiewem słowackim. Aktyw słowacki jednak nadal odmawiał Polakom prawa do śpiewania pieśni polskich na Mszy św. o godz. 13 powodując w czasie tej Mszy św. awantury w kościele. Należy tu dodać, że na Spiszu i Orawie, gdzie mieszka ludność słowacka i polska, sprawa pieśni w czasie Mszy św. jest od 50 lat ułożona w ten sposób, że na przemian w jedną niedzielę śpiewa się pieśni słowackie, a w drugą polskie, albo w czasie tej samej Mszy św. do Podniesienia śpiewa się po polsku, a po Podniesieniu po słowacku. Jedyne wyjątek stanowi tu Nowa Biała i Krempachy, gdzie aktyw słowacki domaga się, by zawsze śpiewano tylko po słowacku.

Ks. Kardynał Wojtyła parokrotnie kierował gorące apele listowne prosząc Słowaków o zmianę postępowania. Wszystko na próżno. Nie pomogło też jego przybycie do kościoła w Nowej Białej, ani rozmowy z delegacjami Słowaków w gmachu Kurii Metropolitalnej. Kiedy więc awantury wszczynane przez Słowaków w czasie Mszy św. o godz. 13 nie ustawały Ks. Kardynał w sierpniu 1965 roku polecił ks. proboszczowi zaprzestania odprawiania jakichkolwiek nabożeństw w kościele w Nowej Białej i od tego czasu zaczęto odprawiać nabożeństwa w nowopowstałej kaplicy w miejscowej plebanii.

Horsky zarzuca następnie, że Słowacy z Nowej Białej musieli chrzczyć dzieci w odległej wiosce słowackiej Dursztyn.

To prawda, że z chwilą zaprzestania odprawiania nabożeństw w kościele w Nowej Białej zaprzestano tam również udzielania sakramentów św. Natomiast nabożeństwa niedzielne odprawiano dla parafian z Nowej Białej i Krempachów w kościele parafialnym w Łopusznej i tam też udzielano sakramentów św. Za ks. proboszcza Adamskiego od roku 1967 zaczęto odprawiać nabożeństwa niedzielne i udzielać sakramentów św. w kaplicy na plebanii w Nowej Białej. Natomiast informacja o odległym od Nowej Białej o 4 km Dursztynie jako wiosce słowackiej jest nieprawdziwa. W Dursztynie od lat, używa się w kościele wyłącznie języka polskiego. Po polsku są tam wszystkie śpiewy. Już w cza-

sie wizytacji biskupiej w 1923 r. mieszkańcy z Krempachów bili i nie chcieli wpuścić do wsi ludzi z Dursztyna za to, że śpiewają tylko po polsku. Nawet w okresie państwa słowackiego w Dursztyńskim kościele śpiewano po polsku. W Dursztynie, poza okresem państwa słowackiego, nie było szkoły słowackiej.

Osobna sprawa to zabranie przemocą przez Słowaków klucza od kościoła w Nowej Białej. Klucz ten znajdował się na plebanii i Słowacy udający się na śpiew do kościoła używali tego klucza. Relacja Horsky'ego jest tutaj co najmniej niekompletna i pomija rzeczywisty przebieg wydarzenia. Horsky pisze:

„Rok 1967. Do kościoła chodzimy bez księdza. Przed Wielkanocą ksiądz nie chciał nam wydać kluczy od kościoła. Klucze te nawet w okresie największych niepokoїв, gdy odmawiał nam odprawiania nabożeństw, pozostawialiśmy w rękach księdza”.

Wydarzenie to miało przebieg następujący: Dnia 23 marca 1967 r. w Wielki Czwartek ks. Bączkiewicz odprawiał Mszę św. Wieczery Pańskiej w kaplicy parafialnej w Nowej Białej. Kapliczka jest mała, więc grupa wiernych zajęła korytarz i sąsiednie pomieszczenia. W tłumie modlących się była gospodyni Księdza, która wychodząc do kaplicy, zamknęła kuchnię. Nagle, w czasie Komunii św. wpadła na plebanię grupa ludzi, którym przewodzili: Andrzej Skupin, zamieszkały w Nowej Białej nr 33, Sylwester Kurnat, Nowa Biała nr 60, Michał Kalata, Nowa Biała nr 149 i Szymon Bednarczyk, Nowa Biała nr 165 i domagali się wydania klucza od kościoła. Nie słuchali wyjaśnień, że ksiądz zaraz skończy Mszę św. ale napadli na ludzi, bijąc ich i kopiąc. W kaplicy powstał tumult. Dopiero wtedy służąca dowiedziała się o co chodzi i natychmiast pospieszyła wydać klucze. Nie wróciły już one więcej do rąk księdza.

Świadkowie wydarzenia:

Franciszek Kalata	—	Nowa Biała nr 139
Emil Bryja	—	” ” ” 14
Franciszek Półtorak	—	” ” ” 20
Ilona Jerdonek	—	” ” ” 99

Z kolei Horsky zarzuca obecnemu proboszczowi w Nowej Białej ks. Adamskiemu, że wyciągnął konsekwencje wobec rodzin, które nie przyjęły go z kolędą w styczniu 1968 r. Mianowicie odmawia chrzczyć im dzieci.

W tej sprawie ks. proboszcz Adamski zeznał co następuje:

„W 1968 r. urodziło się 24 dzieci rodziców zamieszkałych w Nowej Białej i 16 dzieci rodziców zamieszkałych w Krempachach. W księdze ochrzczonych w Nowej Białej za rok 1968 zapisanych jest 23 aktów chrztu a w księgach dla Krempachów 15. Z tego zestawienia wynika, że dwoje dzieci nie zostało ochrzczonych: jedno w Nowej Białej i jedno w Krempachach. W żadnym wypadku jednak nie było odmowy chrztu, tylko odmówiono przyjęcia na rodziców chrzestnych ludzi niepraktykujących i od lat nieprzystępujących do Sakramentów św.”.

Osobny zarzut w artykule Horsky'ego został sformułowany następująco:

„Ludzie uznający się za Słowaków, śpiewający w kościele słowackie pieśni nie dostają rozgrzeszenia nawet przy spowiedzi wielkanocnej”.

Skonfrontujmy znowu ten zarzut z faktami. W dniu 21. XII. 1967 r. miała się odbyć spowiedź adwentowa w Nowej Białej i Krempachach. Ludzie byli powiadomieni wywieszkami na tablicach ogłoszeń oraz z ambon kościołów w Łopusznej i Dursztynie. Przyjechali księża z Harkłowej, Łopusznej, Maniów i Dursztyna. Kościół w Nowej Białej zastali zamknięty, a nawet poprzedniego dnia Słowacy przerabiali tam zamki, aby nie można było wejść. Kościelny, mimo urzędowego, pisemnego powiadomienia, kościół nie otworzył. Księża rozpoczęli spowiedź w kaplicy parafialnej.

W Krempachach kościół był otwarty od godz. 10. Nie przysłano jednak fury po księży, jak to jest w zwyczaju. Dojechali oni tam dopiero o godz. 14 i słuchali spowiedzi do godz. 21. W dniu 16. III. 1968 r. zostało wysłane pismo do kościelnego w Nowej Białej z Lp. 68/68, w którym powiadamiano go o konieczności otwarcia kościoła w dniu 18. III. 1968 r. w celu umożliwienia wszystkim parafianom wzięcia udziału w spowiedzi wielkanocnej. W dniu 17. III. 68 kościelny powiadomił księdza, aby w sprawie otwarcia kościoła zwrócił się do Komitetu Kościelnego i od zgody tegoż Komitetu uzależnił wykonanie polecenia księdza. Na ponowne pismo do kościelnego, w którym na podstawie prawa kanonicznego przypomniano mu zależność od rektora kościoła, a nie od Komitetu przysłała odpowiedź datowana 18. III. 68. Pismo to otrzymał ksiądz w dniu 20. III. 68 r. Napisane po słowacku — opatrzone 39 podpisami z 24 numerów domów, zawiera, między innymi, takie zdanie: „Odbywanie spowiedzi nie jest sprawą zbawienia ale wynaradawiania nas”. (Teksty oryginalne są zachowane). W dniu 16. XII. 1968 r. o godz. 18 przybyli do kancelarii parafialnej w Nowej Białej mieszkańcy Krempachów: Walenty Brzyzek nr 113, kościelny, Walenty Pacyga oraz Michał Moś nr 126 i oświadczyli, że nie życzą sobie, aby księża przyjechali do Krempachów na spowiedź adwentową. Aby uniknąć skandalu w kościele księża tam nie pojechali. Wierni zostali powiadomieni o tym i przybyli do spowiedzi do kaplicy parafialnej w Nowej Białej.

Horsky stwierdza sam, że oparł się na relacjach przypadkiem napotkanych Słowaków. Zarzutów tych nie badał i nie konfrontował z nikim innym. Stąd pewne istotne wydarzenia zostały pominięte, inne podane w wersji niekompletnej, inne wręcz przekręcone. Tego rodzaju publicystyka jest tendencyjna i demagogiczna, co w żadnym wypadku nie przyczynia się do rozładowania powstałych napięć oraz konfliktów i nie służy sprawie dobrosąsiedzkich stosunków pomiędzy ludnością polską i słowacką tak na terenie polskiego Spisza i Orawy jak i poza granicami Polski.

Kronika kulturalna

Wyrwane strony

2 czerwca 1965

Cały dzień *uciekania* od roboty przy uczuciu że coraz to mam chwilę widzenia — jak pchnąć olej z rysunku: olej, nie kolorową kopię rysunku — notatki z natury, ale dalszy ciąg — pogłębienie wizji pierwszej. Nie ulec *odruchowi*, który wyłapujesz w sobie zwykle za późno, odruchowi naturalizowania jakiegoś fragmentu szczegółu, przy jednoczesnym zatraceniu czy choć osłabieniu widzenia całościowego (gdyby tego osłabienia nie było, a było — jak to czuję w moich studiach „holenderskich” — narastające scalenie się wizji poprzez naturalizm — wtedy dlaczego nie!), pogłębić to co w rysunku-notatce uderza, bo tu tkwi istota doznania. Jeżeli rysunek naprawdę żyje, to żyje pomimo i nawet dzięki błędom, opuszczeniom szczęśliwym czy nieszczęśliwym, wtargnięciom wypadkowości pośpiechu, gorączki *écriture*, opuszczeniom, które właśnie obnażają to, co w widzeniu było istotne, a co w tym widzeniu istniało mniej albo wcale. Zapomnieć wszystko co wiesz, co pamiętasz mózgiem nie okiem, zapomnieć, że to była M. i E., widzieć mocniej, pełniej to co tu w notatce wyrażone: dwie kobiety: czerwoną i niebieską.

Dzień. Po całym dniu wyciskania farb, porządków i spisów praca żywa nad „dwoma kobietami”.

22 czerwca

Kupuję cały pęk lilii, chcę znowu dotknąć ziemi — natury, potrzebuję kontroli siebie, ale doping (zachwycające kwiaty) — to zawsze niebezpieczeństwo, jeżeli doping trafia na umęczenie,

bez przelewającej się w nas potrzeby skoku. Nieraz właśnie widzenie, które doping przyspiesza prawie przymusza — wyzwała, scala wewnętrznie, ale na to trzeba mieć „wody podskórne”, które się wówczas w robocie przerywają. Nie czuję tych wód.

Doping na grunt wyjałowiony, ileż razy daje gorzką porażkę i cofa.

Czekam, nie mam sił na ten skok, na płótno 50 marine a chcę je namalować tak, jak by to było małe płócienko — za jednym zamachem położyć kilka zestawień niechybnych: brąz, czerwień pluszu, zieleń liści, biel lilii i noga stołu, wszystko tak piękne — i stanąć.

„Życie Tołstoja” gruby tom Troyat, pękający od cytatów, faktów z listów, z dzienników samego Tołstoja i ludzi mu bliskich. Czytam jego śmierć i naturalnie zaraz czuję się... Tołstojem; gdybym przeczytał życiorys Messaliny czy Thiersa czułbym się Messaliną czy Thiersem. Skąd ta mimikra moja? Ileż razy odbiera mi siły, utrudnia wszelką decyzję. „Ty masz rację i ty masz rację” — Różia kpiła ze mnie przed laty, jakobym tak mówił słuchając kłócących się, czy gwałtownie dyskutujących, przyjaciół.

Crevel w książeczce pisanej w zakładzie dla suchotników notuje jak leżakując na werandzie bez *własnego* radia (czy może jeszcze gramofonu?) słyszy tylko melodię z aparatów przy kółkach jego bliższych, czy dalszych sąsiadów — okropną kakofonię.

Teraz, czytając Tołstoja, czym się czuję... Tołstojem? Tylko i wyłącznie w tej potrzebie codziennego notowania nie tylko moich myśli ale i najdrobniejszych stanów fizycznych — pełno tego w dzienniku Tołstoja, aż do śmierci. Pisanie dziennika w miarę lat staje się oddechem i z natury rzeczy „oddychamy” nie według planu, piszemy o czym myślimy, co odczuwamy z chwili na chwilę, bez ustalonej z góry hierarchii ważności (kieruje nami tylko mniejsza lub większa siła przeżycia w chwili pisania, a nie logika i *to to* jest dziennik: ile tam zainteresowania sobą, swoim ciałem, swoim nastrojem! Dziennik *demaskuje*. Brzozowski miał resekcję żeber, ciężką śmiertelną chorobę, ale on, w swoim dzienniku przedśmiertnym, pisany pismem nieczytelnym, jest cały, bez reszty, w problemach w Polsce (umierając we Florencji i od lat tam żyjąc) w polemice czy uwielbieniach, z pisarzami żywymi i umarłymi, prowadzi z nimi namiętny dialog o sprawach ostatecznych, czy najdotkliwiej aktualnych, jakby nie miał potrzeby obserwować siebie: jak oddycha, jak i co go fizycznie boli. Jego myślowe namiętności gaszą, przekreślają, to zainteresowanie sobą. Maine de Biran — przeciwieństwo: „Napoleon jest we Francji... mój żołądek się zamyka”. Dzień zły — rano ulewny deszcz, z nawaloną motocyklem kupuję kwiaty, terpentynę, białą farbę, wiozę obrazy do transportera, wracam zmoczony, bez tchu —

całe popołudnie prawie beczyność, bez końca ustawianie martwej i już nie mam sił zabrać się do roboty. Czytam nadal „Tołstoja”.

Sroda, 23 czerwca

Bezsilność, przyjąć wszystko, przyjąć i bezsilność kiedy każdej chwili praca twoja może się urwać i siły, — tylko że to nie takie proste, to powolne staczanie się w rozkład z nawrotami i złudzeniami. Więc trzeba inaczej stawiać sprawę i bez gestu i hałasu się ograniczać.

Otwieram Maine de Biran na chybił trafił i któryż raz znajduję to co mi potrzebne, otuchę i słodycz, w jego słowach:

„20/XII 1818 — Fénelon mówi w jednym z listów do p. de Ferguela „Musimy mieć stale sierp w ręku, żeby wycinać co zbyteczne ze słów i konwersacji, *superflu des paroles et des conversations*, jakżeby potrzebował tego sierpa we wszystkim co robię i mówię. Ciągłe się miotam i ciągle mącą mnie niepotrzebne sprawy a jedna rzecz byłaby konieczna, *zachować spokój wewnętrzny i pracować nad sobą*” (jego podkreślenie).

„Nie mam w sobie samym żadnego punktu oparcia. Idee ważne, dobre postanowienie, przepadają co chwila, tak że śladu po nich nie ma. Trzeba by mieć w sobie Boga obecnego, czy jaką myśl opartą o Boga — nie ma jej we mnie, życie uważać by trzeba jako wprawkę, jak drogę do cnoty, zamiast z tego życia robić cel”, i dalej dalsze strony, świadomość siebie bez hysterii, bez fałszującej wszystko egzageracji, jakie *widzenie* naszej bezsily i nicości: ...

„Pragnąc czasami mieć wpływ tak jak inni, zmęczony tym wysiłkiem niepotrzebnym, tracąc natychmiast panowanie nad sobą, tracąc pewność (*aplomb*) jestem uprzedzony przez świadomość wewnętrzną o nicości mojej roli, rzeczy której inni ludzie nie wiedzą. Dlaczego?”.

— Brak sztywności, cechuje Maine de Biran w każdym jego tekście, przy nim Tołstoj, moralista w pismach pouczających, jakby głupi z klinami w głowie. Ta wiara w nie sprzeciwianie się złemu, wiara w czystość seksualną — jako *panaceum* na wszystko, ta ciągła katagoryczność osądu, ten widoczny, wzruszający, nieustanny wysiłek, bez odruchowej przebaczącej dobroci. Przy nim Maine de Biran robi wrażenie prawie bezcielesne, błakający się duch czy duszek, mądry tą mądrością, której Tołstoj szukał, o którą w sobie walczył i chyba nigdy jej nie osiągnął.

„Niech się trwa dusza jak dolina położony”.

Po pracy. Nie tylko „Mémoire involontaire” — pamięć mimowolna (Proust) ale przede wszystkim *wrażliwość* mimowolna, uwaga mimowolna. Każda uwaga zdobywana wola, to jeszcze uwaga służebna, niepewna, wstępna, już nie mówię o wrażliwości, która z wolą nie ma nic wspólnego. Jeżeli wola jest przecie czynnikiem koniecznym, to tylko żeby siebie pilnować, trzymać się metody którą nakazuje świadomość, by uwaga sama wzrastała i uściślała się.

Wrażliwość przez lata skupionego uporu pracy, pracy nawet wbrew sobie (*œil amer* jak *bouche amère*) wzrasta. Zrośnięcie pełnej uwagi z *wrażliwością* narastającą przez lata, dopiero znaczy, umożliwia lot. I to wszystko widzę tak jasno dopiero teraz! kiedy po kilku uderzeniach pędzlem na wielkim płótnie (pięćdziesiątka) — już leżę! Leżę na łóżku i ledwie zipię.

Pocieszył mnie stary artykuł Guittona, wklejony do jednego z moich kajetów, w którym wspomina Darwina: nie mógł pracować więcej niż dwie godziny dziennie, przy tym po dziesięciu minutach dyktowania synowi mówił: „dosyc”. Ale właściwie tak było u mnie zawsze, przed iluż laty, malując w Warszawie śnieżny widok na Okęcie z okna willi na Staszica, co chwila przerywałem pracę kładąc się na łóżku i czekałem. „Ależ ty nie pracujesz, a leżysz, ciągle leżysz!”, powiedział mi, zachodząc do mnie, Jaś z Chorzelewa. „Ja, kiedy robię portret, kiedy ogarnia mnie po chwili zmęczenie i przestaję widzieć, to rysuję, maluję dalej, udaję, że widzę bo mi wstyd przed modelem!”. Jaś tak gubił swoją wizję, niszczył swój talent.

Moje błędy dotychczasowe? To nie tylko wylewanie się na boki ale nieraz też zbyt podganiana wola pracowitość, nieufność w „przyjście Ducha Świętego”, niecierpliwość, niezdolność *czeka- nia*, pośpiech nerwowy i nieczujny.

Pamięć o tym co jest w mojej mocy jako „podchody” do tych wyższych stanów (one same przychodzą z zewnątrz), więc tępienie w sobie niechlujstwa, a może przede wszystkim strachu przed pustką (*le vide*) strachu przed tym stanem, który ma wszelkie pozory lenistwa, a jest przeciwnie graniczną próbą czujności i wytrwania. Umieć między jednym położeniem pędzla a drugim godzinę *czekać*, ale czekać jak myśliwy na ptaszka, którego chce ustrzelić, *czekać bez ruchów zbędnych*. Ptaszek nie przyleci wcześniej; jeżeli się będziesz denerwował, ruszał, może nie przylecieć już wcale.

Moja gorączkowa pracowitość w malarstwie była może przez lata konieczna, to był jedyny sposób odgradzania się pracą od rozproszenia, odcięcia się od tego co Fénelon nazywa *superflu des paroles et des conversations*, właśnie *superflu* (co zbyteczne) nie tylko w słowach ale w zajęciach i przejściach ludźmi, sprawami — ratunek przed nieustannymi zdradami myśli i uczucia przed

nieustannymi *zrywami*. Nie ma pisarza, człowieka, który by wnikliwiej niż Maine de Biran palcem mi wskazywał gdzie jest mój obowiązek, ale jestem jak ta Amerykanka, o której mi przed laty opowiadała Gertrud Stein, Amerykanka która całe życie zrywała się z miejsca na miejsce. Wędrowała po Europie (wioząc ze sobą wielkie łoża, jakoby Ludwika XIV, zakupione w Aix czy Avignon). Według Gertrud Stein, było to odziedziczone przez nią po przodkach, zdobywcach Zachodu, którzy ciął lasy, wynosili z wagonu *rocking chair*, „obudowywali” go domkiem i zaraz lasy ciął dalej, dalej przeprowadzali tor kolejowy i znów ruszali. I znowu na nowym miejscu wynosili z wagonu *rocking chair*, obudowując go nowym domkiem. Otóż ta Amerykanka napisała do niej kartkę z Sorrento: „Jestem w miejscu, które kocham najbardziej na świecie, *zostanę tu trzy dni*”. (Moje widzenia, moje malowanie coraz to „na trzy dni” a przecie nie mam przodków amerykańskich).

Jeszcze jedno: przyjmując, że nie można (czy ja nie mogę?) rozciąć w sobie węzła sprzeczności — bo wszystko umiera. Trzeba rozvikłać. Wystarczy mi dotknąć płótna żywo, nie wola tylko — po stracie tygodni na pisanie i po decyzji odejść od pisania na długo, już znowu z paletą w rękę zaraz chcę, muszę, notować, pisać, bo już z nową, jakby z ostateczną, świeżością widzę, czuję pewniki mojej metody, bo zdają mi się *obiektywnie* tak ważne, bo teraz nareszcie widzę jasno, demaskuję skąd moje braki, dziury we wrażliwości, dziury w uwadze i skąd bezpowrotne porażki tyłu zmarnowanych płócien.

I to nie jest żadne złudzenie, *widzisz i wiesz dopiero jak trzymasz paletę w ręku*, to już Cézanne powiedział.

Tej zimy i wiosny w Paryżu: ulice pękają od aut, taksówka ze stacji na lewy brzeg, pod wieczór, nic nie przyspiesza, metro do niemożliwości przepełnione, strugi zasapanych ludzi, biegnących po pracy na Gare St. Lazare, co roku pęcznieją. „W tym punkcie rozrostu do którego doszedł Paryż nie można by już znieść żadnego dalszego powiększenia bez narażania go na ruinę” — pisał w 1724 roku jeden z ministrów Ludwika XIV.

Maine de Biran zapisuje w 1819 roku: „Pogarda wszelkiego autorytetu, brak wszelkich uczuć religijnych, niezależność w rodzinie jak i w społeczeństwie, żadnego szacunku dla starości, zadufanie w sobie, pycha, ogólna bezczelność wśród młodych — czyż to są dobre składniki ładu publicznego?”.

Po stu czterdziestu sześciu latach pani Helena, nasza pomoc domowa, ocenia młodzież dzisiejszą *tymi samymi słowami* (tyle że bez wzmianki o uczuciach religijnych).

Po pracy. Jeszcze jedno doznanie, jakbym teraz dopiero tak myślał, czuł, *od siebie, od swojej wizji i wszystko każdy cytat, każde wspomnienie obrazów czy tekstów De Staël czy Maine de Biran, od Villona (malarza) po Goyę czy Delacroix... natura — słownik, Manet... każdy nowy obraz — skok w przepaść, Cézanne'a... przeciw myśleniu o malarstwie bez palety w ręku, Constabla... pamiętać, że cienie się ruszają, Corota... nie pozwalać sobie na brak decyzji w żadnej rzeczy, Valéry'ego — „qui, qui sera mangé” (kto, kto będzie pożarty) i setki innych myśli, uwag zasłyszanych, przeczytanych gdzie? kiedy? już we mnie, na mój użytek, bez mojej wiedzy nieraz przerośniętych czy sfalszowanych, odświeżają we mnie własne sto razy sprawdzone pewniki, potwierdzają, nigdy nie gniją — to moja podręczna biblioteka bez której nie wiem jakbym żył!*

Sroda, 23 czerwca

Duże płótno, białe lilie wielki bukiet w ciemnym wazonie na wiśniowo-czarnej pokrywie pluszowej. Cały dzień. Tak jak dziś trzeba by malować co dzień, wtedy można by dojść do prac zrealizowanych a nie tylko zamierzonych i zarwanych w drodze. (Delacroix pono malował zawsze osiem godzin dziennie). Pod koniec dnia parę położeń za gęstych, nie tak całościowych, i już niebezpieczeństwo, że mogę zapsuć wszystko. Ale i to *nie* dramat, jeżeli tak trzeba, jeżeli i to będzie porażka, gorzej, jeżeli rezultat *dany* jest ci droższy niż krok naprzód w świadomości. Trzeba iść dalej z całą *bezwzględnością*, płótno musi być do końca *en péril de mort*, zagrożone śmiercią — inaczej to już szlifowanie i zatrzymanie. Ile Cézanne swych płócien rzucał w trawę czy na drogę, wracając z pejzażu, ile jego syn pociął nożyczkami, jak to, które posiadał Vollard z wykrojonymi przez syna okienkami namalowanego domu, ile obrazów zniszczył Sutin (wykupywał je nawet, by niszczyć). My teraz nad tym płaczemy, ale czy bez tej potrzeby bezwzględnej w sobie, posuwania się wciąż dalej poprzez nieustanne ofiary — Cézanne, Sutin, *zdobyliby* tę *qualité* jedyną ich płócien i ten *ładunek*, który nas żywi.



1. Cytat z Valéry'ego dosłowny odnalazłem w „Tel Quel”, tom 2: „kto mówi dzieło, mówi ofiara. Najważniejszą rzeczą rozstrzygnąć co będzie poświęcone: trzeba wiedzieć *kto, kto będzie pożarty*” (podkreślenie Valéry'ego).

Gaxotte w *Figaro* z 22 czerwca o „Journal des Goncourt”; wspomina o tym że w 1895 nie ma tam wzmianki o pierwszym kinematografie, Goncourt nie zauważył epokowego wydarzenia tamtego roku. Gaxotte dodaje „Doszedł do wieku gdzie nie lubimy, by nam przeszkadzano w naszych myślowych przyzwyczajeniach”. Czy tego trzeba się tak wystrzegać, wystrzegać jak wszelkiej rutyny myślowej? Ale to może także chronić, przed gonieniem za nowinkami, nieustannym przesiadaniem się z konia na konia, z uczuciem, że przez to zajędziemy dalej. Ile czasu zabiera to przesiadanie się i poznawanie *nowego konia*. Nawet późny Manet, porwany przez impresjonizm młodszych od siebie malarzy, nie był lepszy od Maneta hiszpańskiego („umarły toreador”) o mocnych, konsekwentnych (potem rozsypujących się) walorach, i aksamitnych (potem porzuconych) czerniach. Ten sam impresjonizm odkrył Van Gogh'owi cały świat barwy, jego świat.

Notatka w kawiarni podczas przerwy. Kiedy czuję w sobie ubożenie wrażliwości, inwencji, koloru, przy robocie pamięciowej (inwencja? to złe słowo, *odkrywanie* tego co *musi być*, to nie jest wymyślanie, jeżeli jest wybór to w pierwszym założeniu: *ten ciężar, ten akcent, ten dźwięk*) i kiedy wracam po długim malowaniu pamięciowym, czy po długiej przerwie znów do studiowania *na naturze* (dzisiejsza martwa) mam uczucie niesłychanego *wzbogacenia*. Moje niespodzianki „twórcze” w pracy pamięciowej jakże mi się wówczas zdają ograniczone w porównaniu ze światem nieograniczonych niespodzianek, które daje zwykła szmata rzucona na zwykły stół, czy banalny bukiet. Ubóstwo Picassa i wprost prostactwo kolorystyki Légera w porównaniu do gry kolorów dwóch ławek obitych fałszywą ceratą (którą mam przed sobą), ceratą fioletowo-czerwoną ze smugą pomarańczową u góry. Ale to jest właśnie moje teraz zubożenie, ta potrzeba bezpośredniego nawrotu do źródła, do natury (słownika, jak mówi Delacroix), jeszcze nie doszedłem do chwili, kiedy czuję w sobie widzenie bezgranicznych możliwości koloru bez modelu przed nosem, nie doszedłem do mojej formy najlepszej.

Najlepszej? Cóż ja wiem? Wcale nie jestem pewny, czy patrząc z całą pasją na to pokrycie stołu z pomponikami szarokosmatymi, albo patrząc na ceratę na podłodze kawiarni czerwono-pomarańczową „pod salceson”, w plamki żółto-czarno-białe, czy takie przeżycie doprowadzone bezbłędnie na płótno, bez jakiegokolwiek potrzeby transpozycji estetycznej, skrótowej, nie mogłoby być, jak kiedyś u Holendrów, szczytem sztuki!

Przypisek późniejszy:

W dzienniku Jean Colin jest jego notatka z 17. IX. 1953* o ścisłym

* Opuszczona w wydaniu jego *Journal Intime*, Seuil, 1958.

studiowaniu natury, do ostatnich granic — jak o jedynej drodze mu dostępnej do wizji pełnej, nie „urządzonej”.

„Transpozycja malarska — pisze J. Colin — jak każdy to wie, nie jest dziś, w naszej epoce, tajemnicą dla nikogo. Można zawsze dość nieuczciwie (moje podkreślenie) zrobić transpozycję taką czy inną. Ale prawdą jest, że widzę, że czuję, że muszę przejść przez torturę (*le laminoir* — walcownia) poddania się dokładnemu przedstawieniu przedmiotu, do czego z krwawym potem docieram (*me fait suer sang et eau*). Czy szukamy dowodów dla naszej wiary?”

Colin pisze to w okresie szafu abstrakcji, najdowolniejszych transpozycji i konsekwentnego pryncypialnego lekceważenia wszelkiego studium na naturze, nawet wrogości.

Czym ta podłoga w kawiarni „pod salceson”, na którą patrzę, jest mniej urzekająca od podłogi kamiennej w biały i czarny deseń z jakąś dokładnością wymalowany przez Antonello da Messina (National Gall. w Londynie); podłoga u stóp świętego tuż przy wspaniałym pawiu.

Czwartek, 24 czerwca

Przebudzenie z ulgą, jakbym się w ostatnim płótnie z liliami wyżył, ale już mnie nie stać dziś na poprowadzenie dalej tego płótna z tchem wczorajszym — „pismo” już będzie inne. Może będę miał ten oddech po kawie, niemniej to było płótno, które chciałem zrobić jednym rzutem, w jeden dzień i tego nie potrafiłem.

Po całym dniu wytężonej pracy, uwagi całkowitej (ileż godzin stania i nieustannego ruchu od i do płótna), o ileż mniej zmęczenia, niż po dniu zatracania się z ludźmi i w ludziach.

Pomimo całego podejrzliwego wobec siebie krytycyzmu, muszę przyznać, że robię dla siebie odkrycia i krok naprzód *w metodzie*: większa bezwzględność, bez cienia pośpiechu przed każdym położeniem, choć czas z wiekiem coraz bardziej wyliczony. (Proust, Proust! o tym malarzu, który szedł w góry, by uchwycić, namalować dolinę z góry widzianą i kiedy doszedł, już słońce zachodziło i już było za późno), jednoczesne myślenie kompozycyjne, największa wolność wobec natury „pożerającej” (ostrzeżenie Bonnard), technika na przyszłość i n n a. Parę dużych palet, więcej pędzli, morze terpentyny, stosy szmat, żeby nie być hamowanym w rozpędzie.

O *odkryciach*. Każde moje odkrycie (pod pędzlem) — to prawdy najprostsze i już sto razy odkryte, ale to jedyna droga: dotknąć, spotkać swych mistrzów, zapomniawszy o nich przedtem, ani powtarzając ich, ani kopiując.

Wszystko trzeba na nowo całym sobą pod pędzlem odkryć, to może być 40 lat po tym jak odkrycie już usłyszałeś, pojąłeś,

ale pojąłeś intelektualnie, nawet uczuciowo, ale nie *w swojej* pracy, i nie na końcu *swojego* pędzla.

Moje dawno przez innych odkryte prawdy dziś mi się wiążą najbardziej z metodą pracy Matisse'a, którego tak silnie już ile lat temu przeżyłem; wydaje mi się ona najświeższa, najinteligentniej i najświadomiej łącząca stosunek do natury i jednocześnie do problemów abstrakcji w obrazie.

Praca znowu całodniowa, chcę już przerwać, bo już grozi brnięciem w naturalizm. Na razie jeszcze płótno wydaje mi się świeże i dźwięczne.

Piątek, 25 czerwca

Przebudzenie 8 godz. Już trzeba przerwać płótno i już za późno. Czy ja się nigdy tego nie nauczę kiedy przerwać? Znajduję w numerze *Verve*, poświęconym Bonnardowi jego wypowiedź, której nie pamiętałem, może nawet nie czytałem: „obecność przedmiotu, motywu, przeszkadza malarzowi w chwili, gdy maluje... zawsze jest niebezpieczeństwo ulec pobocznym elementom widzenia bezpośredniego i zagubienia po drodze idei (Wizji?) pierwszej”. Największą siłą niezależności od natury (brał z niej co potrzebował) miał według Bonnarda Cézanne; Monet pracował na naturze 10 minut, potem przerywał, czekał kiedy światło znów będzie odpowiadało jego pierwszej wizji, i Bonnard dodaje „nie dawał czasu rzeczom, by nim ośwładnęły”, a Renoir mówił Bonnardowi: „Trzeba upiększać” i chodziło mu o wytrwanie przy pierwszym oczarowaniu, przy tej *idée initiale*, tej pierwszej wizji. Sam o sobie Bonnard mówi na przykładzie obrazu, który zepsuł — „dałem się pochłonąć detalowi”. Seurat malował malutkie studia z natury, resztę w domu. Bonnard zarzuca Velasquesowi, że w jego wielkich obrazach odnajdujemy tylko samego modela i tylko same przedmioty dokładnie oddane, nie czujemy inspiracji pierwszej, w przeciwieństwie do Tycjana².

Pierwsze przeżycie przed iluż laty nieoczekiwanego zagubienia wizji z powodu obecności modela, do dziś pamiętam, pamiętam i moje naiwne zaskoczenie i zawód. Warszawa, Filtrowa, robociarz wsiada do czerwonego tramwaju gwałtownie oświetlonego zachodzącym słońcem, twarz robociarza cała w refleksach

2. Już w 30 roku, w Prado, miałem to samo wrażenie: „bóg Mars” Velasquesa — stary model, wypłowiały na płótnie, nie, ale to nie, z boga Marsa. Moja wówczas zupełna obojętność wobec Velasquesa przy wstrząsie przed El Greco i bardziej jeszcze przed Goyą. Jedyne wrażenie żywe z Velasquesa, które zachowałem w pamięci, to były jego „Tkaczki”, tak piękne i już we fragmentach impresjonistycznie wibrujące.

czzerwieni oświetlonego tramwaju miała blask różowy, świeciła jak lampa. Poprosiłem, by mi przyszedł pozować w pracowni — przyszedł, ale nic nie zostało z oczarowania, z *idée initiale*, naturalnie nic z tego światła, które było *istotą* wizji. Ten przykład, aż głupi, ileż ich było potem, gdy chciałem zatrzymać, dogonić uciekającą wizję nie przez wżycie się coraz głębsze, w błyskawiczne doznanie, ale przez nowe i nowe oglądanie modelu, czy miejsca, czy przedmiotu, oglądanie, które mogło tylko zgasić wspomnienie.

(Bonnard zastanawia się co lepiej, czy patrzeć na przedmiot malowany raz, czy tysięcy razy. Dubuffet kategorycznie stwierdza dla siebie, że spojrzenie paru sekund bokiem oka — *de biais* — widzi więcej niż długie spojrzenie na nieruchomego modelu).

Ale pamiętać o przeciwnym, *nie mniejszym*, niebezpieczeństwie lekceważenia obserwacji na naturze, studium natury. Zła praca, zły obraz od niedostatecznej obserwacji, to dziś nagminne, niebywałe spłylenie spojrzenia na naturę (wiedza o naturze, „ułatwiona” przez z góry przyjęte formułki, zapożyczone klisze estetyczne, skróty, *arrangements*, takie czy inne, ale koniecznie *moderne*).

Jeżeli tyle razy muszę męczyć i gnębić detal natury, piłować z natury, to dlatego że do dziś nie posiadam elementarnego słownika malarskiego tych picassowskich „palców od nóg modelu”³, bo ciągle jeszcze muszę studiować żeby nie wpaść w płyciznę malarstwa pamięciowego, *niezasilanego coraz to ostrą obserwacją*.

Dogmat Dürera studiowania natury do najdrobniejszego detalu, *nasiąkania* przedmiotem daje i dać może dziś, jak zawsze, także arcydzieło bez osłabienia *idée initiale*; ale to wypośrodkowanie między *idée initiale* a motywem wciąż drażonym i wzbogacanym przez obserwację natury pozerającej, wymaga za każdym razem u każdego malarza na nowo, nawet za każdym nowym obrazem, odkrywania swojej tu i teraz miary, proporcji, *swojej* w tej a nie innej chwili, konieczności.

Nawet Bonnard stary, w ostatnich latach życia, i ten czasami psuł jeszcze płótna, jak sam wyznaje Angèle Lamotte, bo ta jego miara była do śmierci nie skostniała, płynna, niepewna i wskutek tego i jego obrazy były do końca w ruchu, *en péril de mort* (już umierający prosił siostrzeńca żeby wzmocnił z lewa od dołu cytrynowe żółcie na jego, Bonnard’a, ostatnim płótnie „Jabłonka w kwieciu”).

Mały S. J. — czy wolno mi nawet pokazać mu tekst Bonnarda, kiedy on jeszcze nic nie umie, nie widzi, a jego *idée initiale*

3. „Wielu z moich uczniów jest pod Pana wpływem”, miał profesor Akademii Paryskiej Sauverbie powiedzieć Picassowi — a on na to „Niech Pan im powie, *qu'ils sont des c...*, niech lepiej rysują palce od nóg swego modelu”.

to jakaś okropna stylizacja. Przypominam sobie, jak w jego wieku pokazałem swoje rysunki profesorowi Tichemu. „Pan nawet nie wie, jakie to jest złe!” — powiedział mi serdecznie profesor.

U Gierymskiego pasja detalu, która dała takie arcydzieło, jak „Modlących się nad Wisłą Żydów”, jak „Cylinder czarny w altanie” — ta pasja przecie zniszczyła wiele jego obrazów ostatniej, włoskiej epoki. Te kaplice z rzeźbami, z perspektywą złożoną, wystudiuowanymi najdrobniejszymi detalami, w tych płótnach natura go pożarła.

Bonnard, Pankiewicz: w miarę lat rosnąca przestrzeń malarstwa przyjaciół, tak bliskich sobie w latach ich współżycia w Saint-Tropez 1908 i Giverny 1911-1912. Bonnard ileż skorzystał z ówczesnych prądów abstrakcyjnych czy pół-abstrakcyjnych, Pankiewicz urzeczony w młodości Gierymskim, jakby do niego na starość powraca. I szczęśliwie. Nie stałby się większy, gdyby poszedł po linię rozwoju Bonnard’a, jego próby dalszej od natury transpozycji, czy malarstwa bardziej syntetycznego w okresie kubizmu, są tego dowodem. Cała jego inspiracja była w motywie i z motywu, a o jego pamięciowych obrazach, chociażby tych które malował dla kaplicy wawelskiej, można by chyba zapomnieć bez wielkiej straty dla jego cennego dorobku.

Trzy dni pracy wścieklej, takiej, o której zawsze marzę i na którą zwykle mnie nie stać (sprawy inne, ludzie, chaos). No i rezultat? Znowu zjeżdżanie, znowu obraz („lilie”), w którym pierwsza wizja, tak prosta i tak silna, zaczęła opadać i dała w rezultacie obraz jak tyle innych, gdzie przedmiot pozerający zniszczył mi jedność malarską, w miarę pracy.

Obraz do *zamalowania*.

Dlaczego tak mnie wzruszają urywki listów, wypowiedzi Renoir’a, Cézanne’a, Bonnard’a, Matisse’a aż po drobne fakty ich życia — to czucie długiej, autentycznej tradycji na własnych drogach odkrytej, ich brak arogancji, prawdomówna skromność. Renoir, który pisze w liście do Durand-Ruela, swego *marchand’a*, posyłając mu swoje ostatnie płótna „to wiek XVIII — tylko gorzej”⁴, Matisse opowiadający o Renoir’ze, że chciał mu on odradzić malarstwo, bo według niego Matisse nie miał cienia talentu. (Renoir wstrzymał się z tą radą gdy zobaczył, że Matisse położył na płótnie plamę czystej czerni, która nie była dziurą, a kolorem w płaszczyźnie płótna. „Więc może ma talent” — pomyślał Renoir).

4. List Renoir’a z 1885 roku: „... Nic w tym (w malarstwie Renoir’a) nowego ale to dalszy ciąg obrazów XVIII wieku, Fragonard ale gorzej... Niech Pan mi wierzysz nie porównuję się do mistrzów XVIII wieku”.

Rytm i pismo (*écriture*), zygzaki nastrojów krótkotrwałych i sprzecznych, które się natychmiast odbijają na piśmie malarskim, z natury rzeczy obniżają *qualité* płótna. Jak robić, żeby doprowadzić do końca pracę nad płótnem, zachowując *qualité* płaszczyzny, niezależnie od nastrojów, zmieniających *pismo* podczas roboty!

Bo musi być, przede wszystkim, ciągle utrzymywana temperatura *pracy*, którą malarz nasiąka; na tym podłożu mogą, muszą, istnieć uintensywnienia, wybuchy wywołane przeżyciami docierającymi z zewnątrz, przerwami, które nawet bywają płodne, ale już na gruncie nasiąkniętym długą pracą, inaczej każda przerwa, każdy zygzak nastroju, rozbija płótno.

A do tego jeszcze zasada: nigdy nie wywoływać sztucznie wysoków nastrojowych. To elementarz. Nawet cień cienia sztucznego dopingu, *d'un coup de pouce* — to już porażka. U siebie ostatnio za dużo oczekiwałem (natchnień, które nie przyszły). Nadrabiałem wysiłkiem. Może nie to, ale wciąż jeszcze nie byłem dosyć nasiąknięty tygodniami pracy, dlatego, może głównie dlatego, nie umiałem osiągnąć ciągłości wizji i temperatury, stąd płótna słabe, przepracowane, z zatraconą wizją.

28 czerwca

Wielki bukiet róż, i znowu pół porażka, płótno się trzyma, jest żywe, ale nie jest niechybne, są powtórki zestawień, nie ma tego odkrywania, które czułem malując białe płótno z jedną plamą żółtych tulipanów. Co tutaj *nie gra*? Jest pośpiech, jest chęć za wszelką cenę skoku najwyższego, a nie czekanie aż będziesz „wyrzucony”. Cień tego pośpiechu (zrobić obraz, a nie drążyć głębiej swego doznania) gubi wszystko.

Wystawa u Knoedlera: Sutin, Derain. U Sutina szal, ogień, intensyfikacja, u Derain'a z góry postanowiony powrót do waloru klasycznego, *parę* kiczów, wprost kiczów, ale także płótna świetne właśnie poprzez powrót do walorów, który u niego *jest* kolorem (a nie sosem dziewiętnastowiecznym). To Derain był na swoją epokę rewolucyjny stokrotnie bardziej niż sympatyczny jego towarzysz młodości, siebie wciąż powtarzający Vlamincik.

Właściwie od początku lutego miała dla mnie znaczenie robota długa na każdym płótnie: „chustka na stole”, „biały wazon”, „wielka stacja w Anglii”, potem porażki, dwa duże płótna „w metrze” zamalowane, potem „kobieta z trójkątnym nosem i świetlnym afiszem”, jedyne pamięciowe płótno, gwałtowne, w jeden dzień namalowane, silne, potem znowu porażka, jak ostatnie „lilie”, zamalowane.

Sroda, 30 czerwca. Przebudzenie

Filozofow w liście z Jugosławii, z 1921 roku (Sawinkow i on, obaj po zawarciu pokoju ryskiego musieli na pewien czas opuścić Polskę) — pisał wówczas do nas: „Mój pobyt w Polsce — to były moje lata najlepsze, robiłem to co chciałem, a nie to co mi się chciało”.

Niebezpieczeństwo sztuki: czy można malować *bez* „mi się chce”, punkt wyjścia każdego płótna z wizji czyż nie jest zawsze „mi się chce”? To znaczy, że malujemy dlatego, że trzeba, nie dlatego, że „obowiązek woła”, ale że to jest potrzeba zmysłowa. Naturalnie, tysiąc razy zabierałem się do płótna *bez* „mi się chce”, bo „chciałem”, ale wcześniej, czy później wrastało we mnie to „mi się chce”.

„Nasi malarze nie malują — oni siedzą w kawiarni i dyskutują, ale do malarstwa trzeba ciągnąć jak do wódki, inaczej co to za malarz” — mówił mi jeszcze w 1939 roku w mleczarni na Placu Piłsudskiego, zawsze w nędzy, wzruszający, uparty, złośliwy, garbaty i wspaniały Tytus Czyżewski.

Jeżeli to zapisuję, to dlatego, że szukam jak się ustawić wobec „mi się nie chce”, które zdaje się u mnie nowością, jak by mi się już nic nie chciało, bo wszystko jest mi ciężarem — samo życie. Gdybym był młodszy, różnych bym się doszukiwał powodów pobocznych, ale teraz nasuwa mi się najłatwiejsze wyjaśnienie: zanikanie woli życia w starości.

Czy umiem żyć tylko w przedpokoju? w oczekiwaniu takiego, czy innego szczęścia, jakbym nie czuł radości i odchodziła ode mnie wola życia; gdy tylko osiągam coś, ku czemu od dawna dążyłem, „więc to było tylko to!”. Jeszcze w dzieciństwie, po każdym zdaniu egzaminów, do których przygotowywałem się namiętnie i ze strachem (marzenie końca roku szkolnego, dom, wakacje), wpadałem, na krótko naturalnie, w poczucie zupełnego przygnębienia, pustki i sam zupełnie nie rozumiałem wówczas o co mi chodzi. Zresztą w formie stokrotnie bardziej dobitnej, zaskakującej, przeżyłem to już w Paryżu. Po dwóch pierwszych latach, niezmiernie trudnych, gdzie nie mogłem malować, bo nie miałem ani gdzie, ani za co, nagle moje marzenie zostało zrealizowane: pokoi-pracownia i rok materialnie zabezpieczony i wtedy, właśnie wtedy, odczułem z nieznaną mi zupełnie siłą poczucie PO CO? Nie miałem dosłownie sił wziąć palety do ręki, ale wtedy to był głód innego wymiaru — mistyki? Dwóch moich ówczesnych przyjaciół poszło do klasztoru. Tylko zupełne obnażenie, zupełne odejście, kontemplacja, najsurowsza klauzura, zdawały mi się jeszcze życiem możliwym, furtką w świat rzeczywisty.

Dużą rolę odegrał wtedy w życiu moim Jacques Maritain, który mi z całym naciskiem twierdził, że nie ma w tym ani śladu powołania. Żebym wrócił do życia, do pracy: „Bóg ci daje takie chwile, żebyś całe życie pamiętał, że jest *inna* rzeczywistość”. Wróciłem do pracy i tamten stan minął mi po paru tygodniach zupełnie.

Dziś, to tracenie woli życia, woli działania, jakże jest w porównaniu płaskie, ból kości, stałe zmęczenie i żadnych perspektyw poza dalszym rozkładem sił, a przecie wspomnienie tamtego, dawnego przeżycia dodało mi otuchy. Takie stany nie są wieczne.

Delacroix już stary pisze w dzienniku, że teraz właśnie, jak już nie ma dawnych sił do pracy, wystarczy mu spojrzeć na paletę, z wyciśniętymi farbami, by zapalić jego entuzjazm.

Łaska radości życia, gdzie wszystko może się przemienić w radość, w błogosławienie życia — nie od ciebie zależy. Od ciebie zależy to co S. W. nazywa *dressage* (tresura wewnętrzna), która musi być zawsze; i zdolność czekania, ogromna wytrwałość w czekaniu. „Chce mi się” — to jest przecie wola życia, najbardziej uzależniona od wszystkiego, od nastroju, najszybciej przemijająca, na niej jednej nie można nic budować, ją można wykorzystywać, *kiedy jest*, nic więcej, a do śmierci musi być *dressage*, nie „mi się chce”, a „ja chcę” — to jest podstawa.

„Trzeba kochać życie *przedtem*, niż jego sens” — napisał Dostojewski. Zacytowałem to przed laty Dimce, mówiąc, że nie umiem się na to naprawdę zdobyć. Dimka uśmiechnął się i powiedział: „A co ty myślisz, przecież Dostojewski to napisał, bo czuł w sobie brak *tego* właśnie stosunku do życia, bo sam pragnął go mieć”.

Strach przed naturą pożerającą, nawet u Bonnard, jest może wywołany ogólnym osłabieniem *uchwyty* życia, niezdolności by współżyć i unieść naturę, nie spreparowaną, nie przeżytą, jej bogactwo, wielokierunkowe, wielowarstwowe. Altdorffer, ten się nie bał natury, ani Breughel.

Picasso 60 razy malował portret Gertrud Stein, on wgrzyzał się w naturę; ale i Picasso i Bonnard robili to od dzieciństwa, ich malarstwo tym żyło, a ja mam wrażenie, że teraz dopiero zaczynam naturę widzieć naprawdę, widzieć z taką siłą bogactwo tego słownika. Ostatecznie przez całe życie studiowałem naturę również, ale podejście w malarstwie ileż razy było niszczone przez studium nie dość uważne, źle prowadzone, a do tego ile lat przerw!

Dlaczego dziś praca była spokojna, dobra? Bo nie tylko, że

bez pośpiechu, ale bez taniej chętki: zrobić koniecznie „arcydzieło”, wyczyn, rekord.

Mój rytm: od zawsze praca na dwóch piętach — pierwsze piętro — to studiowanie, możliwie obiektywne, natury, do ostatnich granic uwagi, analityczne, aż do zgubienia siebie, odkrywając na każdym skrawku nieskończone światy form i barw. Drugie piętro — to już po zatraceniu się i nasiąknięciu naturą — już z wizji, ze wspomnienia, z logiki obrazu, gdzie natura staje się już naprawdę tylko słownikiem, którym się posługujemy, zależnie tylko od potrzeby wizji własnej — wolni.

W pierwszej młodości wierzymy, że wielcy i sławni są lepsi i, koniecznie, mądrzejsi, no, i wszystko dla mnie mogą zrobić, jeżeli zechcą. Magia sławy. W starości się wie, że sławni wcale nie muszą być lepsi jako ludzie, zwykle gorsi. A jeżeli chodzi o pracę twórczą, wie się również, że są tacy, których nikt nie zna — lepsi, głębsi, o umyśle ostrzejszym, bezinteresowniejszym, a nawet o rezultatach pracy rzadszych nieraz najrzadszych, że oni nigdy nawet po śmierci nie będą sławni, bo się tym nigdy nie interesowali, bo były sprawy dla nich milion razy ważniejsze.

Berl pisał o Prouście, którego dobrze znał osobiście, że on umarł zbyt młodo, bo jeszcze sława była dla niego czymś ważnym, namiętnie atrakcyjnym. Wzory przeciwnie — ludzie, dla których nie istnieje i nie istniała drabinka sukcesu, myślę tu o trzech: Jerzy Stempowski, Jan Tarnowski z Chorzelowa i Jacek Puszet. Ile sił, uporów, chwytów, żeby się wypchnąć na pierwsze miejsce, żeby cię zauważyli. Mauriac o swoim młodocianym arywizmie sam pisał wielokrotnie. Malraux, cały nastawiony na zdobycie świata, od młodości. Aldous Huxley, który poprzez jego książki i poprzez jedno krótkie z nim spotkanie, zdawał mi się nietknięty tymi uczuciami. Prawda, że się nazywał Huxley, że miał sławnych ludzi w najbliższej rodzinie, że zawsze należał do elity inteligencji swojego kraju, że był od pierwszej chwili jakby umieszczony na świeczniku, co mogło być jednym z powodów, że nie miał potrzeby, ani głodu arywisty. Wobec młodego Jacka Puszeta, który żył światem erotycznym, światem swojej sztuki i wprost światem miłości ludzi, najbardziej bezinteresownej usługowości i dobroci dla wszystkich, bez żadnej, ale to żadnej hierarchii wartościowania (lepsy, gorszy, wybitniejszy czy głupi) czułem się przy nim zawsze jakby nieczysty, bo przecież ambitny, bo chcący czegoś osobiście dopiąć. Arywista? Chyba to trudno tak nazwać. Za czasów gdy się z Jackiem przed iluż laty przyjaźniłem, myślałem o nas, o naszej grupie; *moja* ambicja była gdzieś głęboko w

szufladzie, bo w pracy mojej czułem się ostatni, ale także żyłem pragnieniem wybicia się. Może to konieczne w młodości, może to jest najprościej pragnienie wyrażenia się, zaistnienia społecznie, materialnie. Jacek tego nie miał. Nie miał tego dopingu, ale też nie kochał może dosyć swojej iskry, swego wielkiego talentu, swojej sztuki. Głodny sławy, marzący o sławie, i niczym, ale to niczym tym nie poniżony, bo to pragnienie było do śmierci jak dziecinne marzenie o bajce, był Zyga (Waliszewski). Bo nigdy, nawet do głowy by mu nie przyszło zrobić w sztuce swojej nawet cień kompromisu dla sławy. Jaś Tarnowski z Chorzelowa był chyba święty. Miotał się, wysiłał, zawsze dla innych. Inni zawsze ważniejsi, nawet ich drobne interesa, którymi go bez skrupułów, jego tak wątłego, obciążaliśmy wszyscy. Z jego chorobą, słabością fizyczną nie dotarł daleko po drodze swoich talentów muzyki i malarstwa i ledwie miał siłę żyć. W oczach ludzi głupich — klasyczny *raté*, w oczach ludzi, którzy go znali — arcydzieło człowieka: inteligencja czujna, wrażliwość, mądrość i dobroć, głęboka wiara i przy tym świetny zmysł humoru. Nic z tego co nazwałem arywizmem i co, prawie z konieczności, tkwi choć w jednej uncji u każdego, kto walczy o swoje dzieło, nie ma w Jerzym Stempowskim. Z tych trzech, których wyliczyłem on osiągnął swój styl pisarski, przekazując swój stosunek do świata rozległy, dojrzały i mądry — wywarł na ilu z nas wpływ właśnie wbrew wszystkiemu co mogłoby w jego pismach mieć wydźwięk inny jak intymny i nieśpieszny. My wszyscy przy nim jesteśmy jacyś szarpiący się wyrobniczy.

Ale tu pomieszałem walkę o swoje dzieło (Proust), walkę o to żeby wprost wyżyć ze swojej pracy twórczej, walkę o swoją sztukę, no i głód sławy o którym Rozanow pisał, że to jest wstrętne jak „smród od nóg”.

Stempowski wybrałby inne porównanie, ale myśli na pewno to samo.

Sroda, 30 czerwca

Dzień wyjątkowo dobry. Portret małego Greka i Lolah Belon (Mommina ze sztuki Pirandella). Praca pamięciowa, żywa, jakby pierwszy raz od dawna, z głęboką potrzebą, bez nacisku woli.

Moje paniki i moje jęki co rano, potem praca orzeźwiająca i giną mary poranne — o tym pamiętać.

Dwa płótna kwiatów, ostatnie na wpół zepsute, dały mi przez wysiłek pozornie jałowy podniesienie temperatury, wytrwałej uwagi, to mi dało dzisiejszą pracę szczęśliwą.

Józef CZAPSKI

Książki

Spór o polski marksizm

W numerze 10 *Kultury* z 1970 r. ukazała się recenzja Jerzego Szperaka z wydanej w Londynie broszury H. Skolimowskiego pt. „Polski marksizm”. Nie czytałem niestety wspomnianej pracy w związku z czym nie mogę się do niej ustosunkować. Niemniej uwagi recenzenta są nadzwyczaj kontrowersyjne i zmuszają mnie do dyskusji. Zauważam bowiem u recenzenta niebezpieczną skłonność do sztucznego utożsamiania współczesnej myśli naukowej w kraju z myślą marksistowską. Jak również recenzent nie jest wolny od często spotykanego na Zachodzie błędu przeceniania osiągnięć polskiej myśli marksistowskiej.

Jerzy Szperak, zgadzając się z porównaniem występującym u autora broszury, zdaje się wyłącznie porównywać marksizm Polski na tle rozwoju myśli marksistowskiej w Związku Sowieckim.

Faktycznie jest tak, że polska myśl marksistowska na tle ogólnego rozwoju nauk społecznych w Sowietach bryluje w skali międzynarodowej. To stwierdzenie Skolimowskiego nie powinno wywoływać sprzeciwu u p. Szperaka. Nie krzywdzi to w żadnym wypadku Rosjan, gdyż ich osiągnięcia w dziedzinie nauk społecznych są nieomal żadne. Dzieła Lenina i Stalina oraz ich „znakomitych” interpretatorów są do dziś jedyną realną wykładnią osiągnięć sowieckich nauk społecznych. By nie być gołosłownym podajmy przykład wzięty z parę lat temu wydanego w kraju późnego tomu (praca zbiorowa) „Socjologia w ZSRR”.

Jak wiemy, do niedawna socjologia w Sowietach była w sposób bezwzględny utożsamiana z materializmem historycznym (miało to i miejsce w Polsce w latach 1950-1956). Obecnie zrezygnowano z tej żelaznej zasady, że marksizm jest już sam w sobie socjologią. Możliwe, że jest to jedyny postęp jaki w naukach społecznych na terenie sowietów nastąpił.

Prezentowane jednak we wspomnianym tomie prace, pozbawione są nawet z punktu widzenia myśli marksistowskiej jakie-

gokolwiek znaczenia. Część teoretyczna, którą przedstawia przede wszystkim praca akademika Konstantinowa sprowadza się do wykazania bezsensowności osiągnięć socjologii na zachodzie, z „dętym” widzeniem własnego społeczeństwa w świetle takich samych praw rozwoju społecznego, jak go widzieli dawno temu Lenin, Stalin i trochę sam Marks. Oczywiście centralną wykładnią tej socjologii w Sowietach zostaje sam leninizm. Wszystko tutaj zdaje się być sprowadzone do znanej tezy leninowskiej, że partia jest nosicielem obiektywnych procesów zachodzących w społeczeństwie socjalistycznym. Zatem wszelkie budowanie teorii socjologicznych uogólniających fakty społeczne mające miejsce w systemie socjalistycznym muszą być zgodne z aktualną linią partii.

Część zaś dotycząca socjologii empirycznej w ZSSR, to nawet nie opisowy rejestr faktów, co elementarna rejestracja danych statystycznych. O ile się orientują to również filozofia w Sowietach jest tworzona w ten sam sposób.

Zaiste nie trzeba porównywać osiągnięć filozofii sowieckiej w wydaniu Deborina, Spirkina — ten ostatni przedstawia działanie praw dialektyki w sposób skrajny, nie tyle deterministyczny co wręcz statystyczny — z czołowymi przedstawicielami polskiej rewizjonistycznej myśli marksowskiej w wydaniu Baczki, Kołakowskiego czy nawet Schaffa.

Inaczej natomiast — przynajmniej dla mnie — wyglądają polscy marksiści rewizjonistyczni na tle rozwoju innego sposobu myślenia rewizjonistycznego spoza Polski i Sowietów.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że porównując prace naukowe okresu czeskiej „Wiosny” 1968 r. z takimiż samymi pracami rewizjonistów marksowskich w Polsce w okresie października 1956, ci ostatni są wyraźnie w tyle.

Nawet Leszek Kołakowski i cała publicystyka wielce zasłużonego dla krótkiej demokratyzacji socjalizmu w Polsce tygodnika *Po Prostu* nigdy nie odcięła się w swojej twórczości wyraźnie od leninizmu. Nie uczyniła zaś tego zwłaszcza w stosunku do naczelnej przesłanki leninizmu — koncepcji dyktatury proletariatu. Dyktatura proletariatu ze wszystkimi konsekwencjami dla nauk społecznych była w Polsce również i przez kierunek myślenia rewizjonistów marksowskich akceptowana. Hasło studentów w marcu 1968 r. brzmiące „Zambrowski do władzy” tę nie naruszalną przez filozofów zasadę leninizmu, oddawało w praktyce.

Zresztą na inny sposób zdaje się ją też widzieć — tezę leninizmu kiedy nie będzie już rządów komunistycznych w Polsce — we wrześniowym numerze *Kultury* p. J. Mieroszewski. Uważa on bowiem mianowicie, że w Polsce postkomunistycznej trzeba będzie wolność dawkować. Czyli upraszczając rzecz zapewne chodzi tu o model demokracji kierowanej, który swego czasu stosował z wiadomym skutkiem Sukarno w Indonezji. Mówiąc językiem Lenina „dziecięcą chorobą” rewizjonistów marksowskich w Polsce jest przeświadczenie o możliwości zhumanizowania od

wewnątrz ustroju komunistycznego — to samo zresztą dotyczy p. Mieroszewskiego. Zastąpienie jednego przywódcy przez drugiego, tolerancja i dialog, swoboda twórczości naukowej mogącej wpływać na decyzje rządzącej partii to ideał, który przy większej mądrości rządzących Polską obskurantów mógłby doprowadzić myślicieli rewizjonistycznego marksizmu do sojuszu z grupą rządzącą. Ten ideał lansowany kiedyś, przez tych pierwszych w warszawskim *Przeglądzie Kulturalnym*, doprowadził do jego zamknięcia.

Wydaje mi się więc, że sława filozoficzna L. Kołakowskiego wypływa z jego nowego w marksizmie podejścia do problematyki religii oraz oryginalnych poszukiwań na polu antropologii kulturowej. Na pewno też praca Kołakowskiego pt. „Kultura i Fetysze” jest olbrzymim osiągnięciem humanistyki marksistowskiej w Polsce i dowodem na konieczność podejmowania przez marksizm nieznanych przedtem przez niego problemów — o ile ten ostatni nie chce spaść do poziomu sowieckiego interpretowania klasyków.

Wróćmy jednak do porównań na tle osiągnięć krótkotrwałej wolności w Czechosłowacji.

Jako socjolog z wykształcenia mam prawo sprowadzić całe zagadnienie do prostej analizy faktów społecznych. Dlaczego chociaż zarówno w Polsce w 1956 r. jak i w Czechosłowacji w 1968 r. sytuacja polityczna była podobna, nie było żadnego zbrojnego wystąpienia tzw. kontrrewolucjonistów — to co na Węgrzech było dogodnym pretekstem dla Sowietów — Sowietci w Polsce nie interweniowali w Czechosłowacji zaś tak? Myślę, że siła rewizjonizmu czechosłowackiego była bez porównania groźniejsza dla Sowietów niż dość krzykliwy ale nic nie uzyskujący w praktyce rewizjonizm marksistowski w Polsce. Prace Svitaka, Szika, Cisarza, itp. podważały same podwaliny na których opiera się leninizm ze swoją główną tezą dyktatury proletariatu. Nieomal w przededniu interwencji zbrojnej C. Cisarz na łamach *Rudego Prava* prowadził ostrą polemikę z naukowcami sowieckimi, wykazując im, że zasady leninizmu w niektórych przynajmniej państwach przestaniają prawdziwy humanizm marksowski.

Myślę, że ustawa o wolności prasy, teksty mówiące o konieczności wolnej gry partii politycznych w ramach ustroju socjalistycznego, jak i sam manifest 2000 słów to dążenie rewizjonizmu marksistowskiego w Czechosłowacji w kierunku dokonania zmian strukturalnych w społeczeństwie. Można pójść dalej i wskazać, że istniejąca w Jugosławii praktyka społeczna samorządów robotniczych i płynące stąd uogólnienia teoretyczne to też wynik rewizjonizmu marksowskiego, który w jakiejś przynajmniej mierze doprowadził do zmian strukturalnych. Nie wspominam już tutaj o początkach powojennego rewizjonizmu teoretycznego podjętego przez M. Džilasa.

Oczywiście i we Francji, którą tak łatwo zdaje się zbywać p. Szperak gdy chodzi o myśl marksowską, mamy do czynienia z jej twórczą działalnością. Zapewne ktoś szczególnie interesujący się genezą prac Leszka Kołakowskiego (filozoficznych) mógłby się

doszukać wpływu na niego u niedawno zmarłego filozofa francuskiego, marksisty L. Goldmana. Przykładowo zaś co do twórczości Bronisława Baczki on sam stwierdził w jednym ze swoich artykułów, na łamach warszawskich *Argumentów*, że jest pod wpływem filozofii R. Garaudy. Polski rewizjonizm marksistowski w naukach społecznych — w wydaniu filozoficznym — wyrasta z tego samego pnia co rewizjonizm marksistów zachodnich. Jest on wynikiem refleksji, nad istotnym problemem filozoficznym, w jakich kategoriach moralnych należy traktować zmiany, które zachodzą w społeczeństwach budujących ustrój socjalistyczny.

Zgodzić się natomiast należy z J. Szperakiem, że gdy chodzi o oryginalność osiągnięć naukowych to socjologia marksistowska w Polsce wniosła do badań socjologicznych w świecie — mimo ciągle niesprzyjających warunków — bardziej konkretne możliwości badawcze. Nietyle nieznanne przez socjologów zachodnich, co często przez nich celowo niedostrzegane. Myślę też, że prace takich socjologów w Polsce jak: M. Hirszowicz, Z. Baumana, J. Wiatra, W. Wesołowskiego ewentualnie także W. Markiewicza są przejawami weryfikacji faktów społecznych zachodzących w socjalizmie, których filozofowie całościowo nie starali się nigdy rozpatrywać. Przeciwnie, zapożyczali od socjologów pewne dane by móc na ich podstawie tworzyć swój rewizjonizm w stosunku do tego co istnieje. Problemy alienacji jednostki w ustroju socjalistycznym, które poruszał Adam Schaff w jego filozofii człowieka, nigdy by nie powstały bez wyników pracy socjologów polskich. Bez porównawczych badań stosunków międzyludzkich w społeczeństwie socjalistycznym.

Natomiast osiągnięcia marksistowskiej socjologii w Polsce należy ujmować w głębszym kontekście osiągnięć w ogóle socjologii polskiej. Przechodzimy tym sposobem do najbardziej kontrowersyjnych uwag p. Szperaka na temat tego co należy uważać generalnie za dorobek marksistowskich nauk społecznych w Polsce. Sądzę, że pod wielkim znakiem zapytania stoi jednoznaczne zaliczenie prac St. Czarnowskiego i małżeństwa Ossowskich do osiągnięć nauk społecznych kształtowanych przez marksizm. Na pewno w swojej twórczości tak Czarnowski jak i Ossowsky korzystali z marksizmu, nigdy jednak nie można twierdzić, że ich dorobek naukowy jest tego rodzaju by ich wsadzać i ustawiać w obrębie jednolitej nauki marksistowskiej.

Biorąc pod uwagę panującą sytuację w II Rzeczypospolitej trzeba widzieć w postawie Czarnowskiego i Ossowskich przekonania liberalne za pewnym przesunięciem w swoich sympatiach politycznych na lewo. Nie spotykamy też w twórczości tych uczonych całościowo stosowanej metody materializmu dialektycznego lub historycznego. Nieporozumienie sięga dalej, bo właśnie w pracach Stanisława Ossowskiego po październiku 1956 r. daje się wyraźnie zauważyć odchodzenie od marksizmu. Czymże są jego dwie ostatnie czołowe prace: „Struktura klasowa w społecznej świadomości”, „O osobliwościach nauk społecznych”? Pierwsza wraz z wydaną broszurą w bibliotece *Po Prostu* pt. „Ku nowym

formom życia społecznego” jest ostrą i mistrzowską zarazem analizą, wskazującą na niepowodzenie koncepcji układu klasowego w socjologii marksistowskiej. Szczególnie dobitnie wychodzi to w tych partiach książki gdy analizuje on tzw. drogi do egalitaryzmu społecznego.

Druga zaś jego pozycja wymieniona tutaj przeze mnie jest wyraźnym ujęciem problemów metodologicznych we współczesnej socjologii w duchu pozytywistycznym. Ossowski demonstrował tutaj dość podobne podejście metodologiczne, które spotykamy zarówno u Augusta Comta jak C. W. Millsa. Wprowadza własne koncepcje metodologiczne, które mieszczą się, przy całym ich nowatorstwie, w obrębie szeroko rozumianej historii socjologii, rozpoczętej przed Marksem a rozwiniętej poza marksizmem.

Na marginesie warto wspomnieć, że niedawno ukazała się w kraju duża książka prof. J. Topolskiego o zagadnieniach metodologicznych w naukach historycznych. Ciekawe, że jej także nikt, w recenzjach krajowych, nie osądził w kategoriach metodologii marksizmu ale przypisywano jej wszystkie dobre cechy pozytywizmu.

Nauki społeczne w Polsce rozwijają się pod wpływem marksizmu — jakże mogłoby być inaczej skoro jest on oficjalną doktryną — przesadą jest jednak imputować mu wszystkich czołowych naszych myślicieli humanistycznych w kraju.

W żadnym wypadku zaś nie można tego robić w stosunku do ludzi, których dzieła świadczą wręcz o czymś innym. Ten trend przyznawania wszystkiego marksizmowi jest tak samo nieprawdziwy jak utrzymywanie że społeczeństwo polskie niczego więcej nie pragnie jak tylko „socjalizmu o ludzkim obliczu”. Być może, że przyszłość kiedyś przesądzi o klęsce w kraju także ludzi na emigracji związanych z tzw. demokratyczną koncepcją socjalizmu. Jest to jednak już odrębny do opracowania temat.

Aleksander ZABRZESKI

Nieczajew i jego spadkobiercy

W setną rocznicę śmierci Herzena ofiarowano nam fragment dziennika jego córki, Natalii, zdeponowanego w paryskiej Bibliothèque Nationale. Pierwodruk w oryginale i po francusku ukazał się w *Cahiers du Monde Russe et Soviétique* ze wstępem profesora Confino, przekład angielski w majowym numerze miesięcznika *Encounter*. Fragment obejmuje zapisy robione od 28 maja do 7 lipca 1870 roku, ale Natalia Herzen cofa się w nich do okresu nazajutrz po śmierci ojca, która nastąpiła 21 stycznia w Pa-

ryżu. W pierwszych dniach lutego przyjeżdża do Genewy, do osamotnionego Ogarewa. Tam spotyka Nieczajewa. Jest to więc do-
kładnie okres, o którym tak pisze France Venturi w *Il populismo russo*: „Nieczajewowi udało się na chwilę przynajmniej przeciągnąć na swoją stronę córkę Herzena i starego Ogarewa, wydusić od nich pieniądze i wziąć we własne ręce nowe wydanie *Kołokoła*. Pierwszy numer tego „organu rosyjskiego wyzwolenia, założonego przez A. I. Herzena „wyszedł 2 kwietnia 1870 roku, szósty i ostatni 9 maja”. Z dat łatwo wywnioskować, że po definitywnym zamknięciu krótkiego rozdziału „Nieczajew” w życiu osieroconej rodziny Herzenów Natalia Aleksandrowna odczuła potrzebę jego rekapitulacji.

Czy Venturi ma rację mówiąc, że Nieczajewowi udało się „przeciągnąć na swoją stronę” córkę założyciela *Kołokoła*? Tekst dziennika nie upoważnia do takiego kategorię twierdzenia, nawet z zastrzeżeniem „przynajmniej na chwilę”. Pod wpływem Ogarewa, który poza własnym trochę senilnym entuzjazmem ulega z kolei wpływom Bakunina, Natalia odnosi się do Nieczajewa co prawda z nieufną ostrożnością, lecz wystrzegając się równocześnie powziętych z góry uprzedzeń. Daje mu szansę, jakby powiedzieli Angliści. Jest gotowa w miarę możliwości pomóc Sprawie, jeśli Sprawa ma być odtąd ucieleśniona w osobie tego chłopaka „o wyglądzie rozbójnika oraz wyrazie energii, złośliwości i okrucieństwa w twarzy”. Maksimum życzliwości w jej stosunku do Nieczajewa streszczają słowa: „Zabił szpiega i dobrze zrobił. Ileż w nim energii, to jest fanatyk. Widzi przed sobą istotnie tylko swój cel”. Słychać w tych słowach nutę przymuszania się, warunkowej akceptacji „na przekór”. Oczywiście na przekór zniecierpliwionemu i gniewnemu warknięciu ojca, który przed śmiercią wrzucił ówczesnego Ogarewa, Bakunina i Nieczajewa do wspólnego worka z napisem *delirium tremens*. Na więcej Natalia nie potrafi się zdobyć. Cała reszta w jej dzienniku jest gwałtownym pojedynkiem z Nieczajewem.

Trzeba pamiętać, że jest to drugi pobyt Nieczajewa za granicą. Młodzieniec prezentuje się emigrantom jako pełnomocnik i przywódca rozgałęzionej organizacji podziemnej w Rosji. Jego stosunek do Bakunina, dawniej czołobitny i pełen rewerencji należnej Mistrzowi ze strony ucznia, nie jest teraz pozbawiony odcienia protekcyjnej wyższości a bodaj i lekceważenia. Jego wersja zabójstwa studenta Iwanowa, przyjęta w nieświadomości rzeczy za dobrą monetę przez środowiska wygnańcze, opiera się na założeniu że chodziło o nieunikniony akt terroru rewolucyjnego dokonany na agencie prowokatorze. Nie dość tego: chwytą również jedno z arcydzieł wielkiego talentu mistyfikatorskiego czy mitomańskiego Nieczajewa, jego zapewnienie że wylądował szczęśliwie za granicą po karkołomnej ucieczce z Twierdzy Pietropawłowskiej. Nie ma powodu dziwić się zanadto bohaterkiej aureoli, jaką rozpięto nad jego głową. Blask tej aureoli oslepił, jak widzieliśmy, do pewnego stopnia Natalię.

Nie nadmiernie jednak i nie na długo. Nieczajew rozpoczyna

oblężenie — systematyczne, przemyślane, uporczywe; posuwa się wręcz (zjawisko niezwykle u programowego ascety rewolucyjnego!) do czegoś w rodzaju konkurów a może i oświadczyń. Po zaczepionej nitce, kroczy za kroczkiem, zmierza do kłębka. Nitką jest wciąganie Natalii do „roboty organizacyjnej”, namawianie jej by stała się jedną z „naszych” w imię buntu przeciw „życiu pasożytniczemu”, przeciw „jałowym i przebrzmiałym tradycjom w których wyrosła”. Kłębkiem są naturalnie herzenowskie pieniądze i zgoda jego córki na firmowanie, w roli nominalnej redaktorki, nowego *Kołokoła* redagowanego w rzeczywistości przez Nieczajewa.

Natalia szybko otrząsa się z niezdecydowania. Przecież Nieczajew „głosi najstraszniejszą hipokryzję, powtarzając bez przerwy że cel uświęca środki! Przecież to „czysty jezuitizm”! Nieczajew spokojnie potwierdza: „Tak, jezuitizm. Jezuiti to najbardziej inteligentni i pomysłowi ludzie. Nie było jeszcze nigdy takiego znakomitego stowarzyszenia. Należy po prostu kopiować ich metody od początku do końca, zmieniając rzecz jasną cel”. Zaskoczona i przerażona jego deklaracją, córka Herzena zadaje sobie pytanie jak Ogarew może się utożsamiać z systemem zewalającym na „podłuchiwanie, otwieranie cudzych listów, kłamanie. Pyta o to wprost Ogarewa i dowiaduje się w odpowiedzi, że „bywają czasy kiedy kłamstwo jest koniecznością”.

Nieczajew wtajemnicza ją w inne sekrety tych szczególnych czasów. Wszystko, dosłownie wszystko, musi być oceniane z punktu widzenia użyteczności dla Sprawy. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Przyjaciołom zaufanie, wrogom oszustwo i zniszczenie. Intryganctwo, szpiegowanie? Słowa, słowa, produkt sentymentalnych przesądów. Zwykłe ludzkie uczucia, lojalności rodzinne, zasady uczciwości i przyzwoitości? Konwencjonalne pęta, w sam raz na śmietnik. W Natalii dojrzewa przekonanie, że nie może mieć nic wspólnego z tymi „odrażającymi metodami”: „Pokazano mi cudownie skonstruowaną maszynę, dano mi rączkę, poproszono mnie żebym pomogła kręcić, zapewniając że produkuje tani chleb dla ludu, ale po jakimś czasie zrozumiałam że mnie oszukano, że maszyna produkuje trującą papkę, przynoszącą cierpienie zarówno przyjaciołom i obojętnym jak wrogom”.

Fragment dziennika nie wyjaśnia jednoznacznie czy córka Herzena zgodziła się chcąc nie chcąc na kontynuację *Kołokoła* w nowej postaci ze starym nagłówkiem, czy też nie posiadała po prostu dostatecznych podstaw prawnych by założyć formalny sprzeciw. W każdym razie bez chwili wahania odrzuca propozycję firmowania *Kołokoła*. Dochodzi wreszcie do całkowitego zerwania. Natalia zamyka się w domu, odmawia spotkania z Nieczajewem, nie przyjmuje jego emisariuszy. Ogarew przybiega zaniepokojony na serio o jej los, wiedząc do czego zdolny jest Nieczajew w przystępie furii. Dostaje za pokwitowaniem resztkę funduszu pisma. „Biedny Ogarew!”, wzdycha autorka dziennika. Po czym, w końcowych słowach ogłoszonego fragmentu, pada ostatnie pytanie dotyczące Nieczajewa: „Jest fanatykiem, czy łąda-

kiem bez skrupułów? Jest szczerzy gdy usiłuje przekonać ludzi o konieczności swego polsko-jezuickiego (sic!) systemu oszustwa i mistyfikacji, czy wszyscy oni są niegodziwymi narzędziami rządu rosyjskiego?"

W dwa lata później Natalia Herzen ostrzega w liście Maszę Reichel: „Bądź bardzo ostrożna ze wszystkimi tymi Rosjanami, którzy tu niedawno przyjechali... Formuje się wśród nich nowy typ człowieka à la Nieczajew, odmiana rewolucyjnego jezuity gotowego do wszelkiej nikczemności w interesie celu nadrzędnego, czyli rewolucji w Rosji”.

Nieczajew tak skojarzył się w naszej wyobraźni z Piotrem Wierchowieńskim z *Biesów*, że poprzez postać powieściową trudno już zobaczyć realną i historyczną osobę. Sam Dostojewski pisał: „Nie znam ani Nieczajewa, ani Iwanowa, ani okoliczności tego morderstwa. Nawet gdybym znał, nie zrobiłbym z mojej znajomości użytku. Biorę tylko kompletny akt. Moja imaginacja może w najwyższym stopniu odbiegać od rzeczywistego zdarzenia, a mój Piotr Wierchowieński może nie przypominać w żadnej mierze Nieczajewa; a jednak wierzę że moja imaginacja stworzyła tę osobę, ten typ, który odpowiada zbrodni”.

Wierchowieński jest skrzyżowaniem satanicznego szarlatana i małego plugawego intryganta, w gruncie rzeczy nie wyczuwa się w nim ani krzty tej choćby abstrakcyjnej i obsesyjno-patologicznej „ideowości”, jaka zżera powiedzmy Szigalewa (znamiennie że Szigalew w momencie działania wycofuje się z zasadzki zastawionej na Szatowa-Iwanowa). Pochłania go wyłącznie wielka demoniczna gra. Gdyby do niego przymierzyć pytanie Natalii Herzen, nie byłoby chyba wątpliwości że „energia, złośliwość i okrucieństwo” złożyły się na doskonałą inkarnację „łajdaka bez skrupułów”. W każdym razie fanatyzm wlecze się tu za łajdactwem, a nie na odwrót. Widać to wyraźnie, kiedy po zebraniu „wśród naszych” Wierchowieński wykląda Stawroginowi filozofię „szigalewszczyzny”. Stawrogin: „Pan nie jest socjalistą, lecz człowiekiem o olbrzymiej ambicji politycznej”. Wierchowieński: „Jestem oszustem, a nie socjalistą. Jestem tylko łajdakiem”.

Nieczajew był z pewnością pod wieloma względami inny. Nie ma powodu nie ufać świadectwom, które przytacza Venturi. Aleksandra Zasulicz, na przykład, uważała *Biesy* za „głupią karykaturę Nieczajewa i w ogóle nas wszystkich”; Nieczajewa wspominała jako „prostego chłopaka rosyjskiego, podobnego z wyglądu do robotnika, trochę niepewnego siebie w mieście, wcale nie zarozumiałego, lubiącego pośmiać się i pożartować”. Co z tego? Chodzi nie o zewnętrzny profil wyniesiony w pamięci z mniej lub więcej przelotnych zetknięć, ale o typ: o „nowy typ człowieka à la Nieczajew” zaobserwowany przez Natalię Herzen, o nowy typ zbrodniarza stworzony przez Dostojewskiego w związku z zamordowaniem Iwanowa. Nikt nie zaprzeczy że w zachowaniu się

historycznego Nieczajewa, od aresztowania i procesu w roku 1872 aż po śmierć w Twierdzy Pietropawłowskiej dziesięć lat później, było coś z posępną godnością fanatyka. Wolno więc co najwyżej uznać że u wolnego Nieczajewa, w przeciwieństwie do Wierchowieńskiego, łajdactwo wlokło się za fanatyzmem.

Zresztą zrozumiał to w końcu i Bakunin, współautor z Nieczajewem *Katechizmu rewolucyjnego*, w którym od wzorowego rewolucjonisty wymaga się aby zerwał z „etyką tego świata”, aby w swoim postępowaniu kierował się jedynie zasadą że „wszystko co przybliża triumf rewolucji jest moralne a wszystko co go opóźnia jest niemoralne”. Bakunin (powiada Venturi) długo widział w Nieczajewie cień własnych idei, zastygł jednak z przerażenia i wstrętu zobaczywszy naraz jak cień obrasta w mięso i kości. Gdy wyszła na jaw prawda o zabójstwie Iwanowa, gdy okazała się niemal w stu procentach wymysłem Nieczajewa sieć konspiracyjnych „piątek” w Rosji, Bakunin zdecydował się na częściową przynajmniej anatę. Broniąc Nieczajewa jako „jednego z najaktywniejszych i najenergiczniejszych ludzi” jakich w życiu spotkał, jako „młodego tygrysa” oddanego Sprawie i „jednego z tych fanatyków którzy o niczym nie wątpią i niczego się nie lękają”, nazwał go równocześnie „fanatykiem szalenie niebezpiecznym i popychanym przez swój fanatyzm do przekształcenia się w jezuitę integralnego”. Oto dlaczego: „Stopniowo Nieczajew doszedł do przeświadczenia, że aby stworzyć poważne i niezniszczalne społeczeństwo, należy się oprzeć na polityce Machiavellego, stosując w pełni system jezuitów — ciału tylko gwałt, duszy tylko kłamstwo. Prawda, wzajemne zaufanie, autentyczna i trwała solidarność istnieją wyłącznie wśród dziesięciu osób stanowiących *sancta sanctorum* społeczeństwa. Wszyscy pozostali winni służyć jako ślepa broń, bezduszny materiał w rękach tej zgranej między sobą dziesiątki. Jest dozwolone, więcej — staje się obowiązkiem oszukiwać ich, kompromitować i w wypadkach konieczności likwidować”. Tyle Bakunin o programie Nieczajewa. W *Biesach*, po wystąpieniu Szigalewa na herbatce „wśród naszych”, mowa o propagowanej przez Wierchowieńskiego teoryjce „ścięcia stu milionów głów i przeskoczenia rowu”.

Natalia Herzen miała zatem trafną intuicję ostrzegając tak jak ostrzegała przed „nieczajewszczyzną”, Dostojewski miał prawo twierdzić że nie siląc się w swoim powieściowym Wierchowieńskim na portret rzeczywistego Nieczajewa, przejrzał zabójcę Iwanowa do głębi. Camus poświęca Nieczajewowi kilka stronicek w *Człowieku zbuntowanym*. Przypomina jego powiedzenie że odtąd polityka będzie religią a religia polityką, widzi w nim okrutnego mnicha rewolucji marzącego o założeniu zakonu morderców ku chwale i ostatecznemu triumfowi czczonego bóstwa. Ale najcelniejsze u Camusa są dwa spostrzeżenia. Dzięki Nieczajewowi rewolucja po raz pierwszy oddzieli się wyraźnie od miłości i przyjaźni, stanie się sama w sobie ważniejsza od tych których chce zbawić. Od Nieczajewa wywodzi się w prostej linii ród dzisiejszych wielmożów rewolucji.

Wkrótce po roku 1917 bolszewicy próbowali z niego zrobić swego prawdziwego poprzednika, potem zapanowało kłopotliwe milczenie jak po niepotrzebnym i przedczesnym wyłożeniu kart na stół. Ileż tych więzów pokrewieństwa, ile bezpośredniego sięgania po spadek! Okrutny mnich rewolucji jako prekursor profesjonalnego rewolucjonisty przed rokiem 1917, a później: zakon morderców ku chwale rewolucji jako model elity partyjnej; wybrana i zgrana między sobą dziesiątka jako załóżek Politbiura; zabójstwo Iwanowa jako prototyp procesów moskiewskich; teoria ścięcia stu milionów głów i przeskoczenia rowu (w dopowiedzianej do kropki wersji Dostojewskiego) jako prefiguracja czystek i krwawej kolektywizacji. A gdy się czyta o rewolucji odseparowanej wyraźnie od miłości i przyjaźni, o rewolucji co sama w sobie staje się ważniejsza od tych których chce zbawić, przychodzi na myśl naiwna pozornie lecz w istocie prorocza i mądra refleksja Natalii Herzen o cudownie skonstruowanej maszynie, produkującej zamiast taniego chleba dla ludu trującą papkę dla wszystkich. Ta maszyna to obecna *La Chose*, system sowiecki według określenia Sartre'a.

Być może nie jest przesadą dostrzegać jakiś tajemniczy znak historii w tym, że rok śmierci Herzena i szczytu sukcesów Nieczajewa był rokiem urodzenia Lenina. Nowi rewolucjoniści rosyjscy stoją dziś wobec znacznie bardziej skomplikowanego i powikłanego rachunku sumienia i tradycji, niż się sądzi czy oni sami przypuszczają. Z pasowania Jezusa na „pierwszego agitatora rewolucyjnego” Nieczajew wyciągnął jeden pożytek, integralny jehowizm rewolucyjny. Narodziła się i trwa dalej (nie tylko w Rosji) epoka, legitymująca się jawnie lub skrycie hasłem sformułowanym za nią przez Dostojewskiego: „Skoro Boga nie ma, wszystko wolno”. Pod Boga, jeśli się w niego nie wierzy, można podstawić Prawo Moralne.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Trochę o prozie amerykańskiej

Kiedy krytyk literacki zabiera się do pisania książki, tematem jest najczęściej beznadziejność współczesnej literatury, słabość jej horyzontów filozoficznych, nijakość pisarzy, wreszcie, ale to już znacznie rzadziej, perspektywy rozwojowe literatury widziane okiem ostrożnego wielbiciela. Tego rodzaju książek jest w produkcji każdego kraju sporo, interesują one z obowiązku fachowców, publiczność reaguje na nie słabo, albo wcale. Czasami tylko wzniecane są namietności, a to wówczas gdy w trakcie ko-

lejnych omówień użyte zostały w sensie pejoratywnym nazwiska. Ponieważ książka Wilfrida Sheeda — „Max Jamison” — wzbudziła powszechne zainteresowanie, wypadałoby natychmiast zapytać: kogo obsmarował i za co? Dowcip w tym, że Sheed nie obsmarował nikogo, chociaż na pewno by mógł, i ze względu na zakres znajomości i ze względu na znakomity, nieco oschły styl. Tematem powieści krytyka nowojorskiego jest jednak nie literatura, ale stan umysłu człowieka który tę literaturę codziennie, nieustannie, zawodowo analizuje.

Max Jamison nie jest postacią hippy i nie jest także przykładem na oderwanie od życia amerykańskiego intelektualisty. Jamison jest żonaty, dzieciaty, potem rozwiedziony i drugi raz żonaty, ma kłopoty finansowe, jest ambitny i nie ceni zanadto swoich zwierzchników. Uciekł z uczelni bo przerażała go monotonia życia w kampusie, swoją wiedzę o literaturze i swoją wiedzę o życiu postawił na jedną jedyną kartę, kartę niezależnego — pozornie — krytyka w wielkim mieście. Ta karta nieoczekiwanie wygrała i odąd zaczynają się kłopoty Maxa Jamisona. Kreowany na krytyka-autorytet, krytyka o niepodważalnych opiniach, ostatecznych pochwałach i naganach, popychany własną ambicją, bezustannie analizujący, widzący materiał do analizy w każdym nawet najbłahszym zdarzeniu. Max Jamison staje się własną pułapką, jest skazany na siebie, zamknięty w ostrym kręgu logicznych wniosków, nienawidzący własnej sprawności intelektualnej i kochający ją.

„Uwielbiał sposób w jaki pracował jego umysł, i nienawidził sposobu w jaki pracował jego umysł” — mówi o nim autor.

Książka jest świetnie napisana, powoli, nieuchronnie jest się wciągnięty w tę specyficzną atmosferę *hate-love*, otaczającą Jamisona. Fabuła rozwija się w sposób prawidłowy, czyli, że w pewnym punkcie bohater powinien budzić nasze współczucie. Ale ta reakcja nie zachodzi. Nie można obdarzać litością kogoś tak niesamowicie, tak niezawodnie inteligentnego. Nie można, choćby dlatego, że on to uczucie dawno już minął w swoich analizach, o tyle przecież wcześniejszych od naszych, minął i dawno je odrzucił. Możemy się tylko czuć bezradni, ale i to będzie w stopniu słabszym, niż bezradność bohatera. Wyniesiony swoim współczynnikiem inteligencji na wysoką górę izolacji i samotności, Max Jamison powinien wedle wszelkich reguł europejskiej fabuły popaść w chorobę nerwową.

Na szczęście nie popada, gdyż jest to bohater amerykański, obdarzony znaczną dozą pragmatyzmu. Dochodzi do wniosku, że swoją skłonność do bezbłędnego i okrutnego analizowania musi traktować jak chorobę, czyli stan w którym trzeba iść na pewne ustępstwa i z którym trzeba się pogodzić. Ponieważ choroba zanośli się na chroniczną, Jamison przeprosza się z pierwszą żoną, gdyż chce być blisko synów przyznanych jej przez sąd, oraz wraca na uczelnię, by uniknąć groźnych intelektualnie podniet i pokus nowojorskiego życia. Autor książki nie wypowiada ostatecznych osądów. Nie powiedziane jest jak potoczy się dalej życie

Maxa Jamisona. Prawdopodobnie krąg wtajemniczonych w Nowym Jorku kreuje nowego superkrytyka, prawdopodobnie monotonia życia na prowincjonalnym uniwersytecie stępi trochę niepokoję Maxa, a jego pasja analiz dostarczy nieco nowych tomów na półki uczelni. Max Jamison jest właściwie książką o bezradności. Jest to książka o tym, że dar inteligencji jest darem niebezpiecznym, że umysł raz wyćwiczony w analizie niszczy praktycznie wszystko co czysto emocjonalne, nieklarowne, niedostatecznie umotywowane. Jest to książka smutna. Jej bohater paczy kolejno osobowość żony, dzieci, kochanki, wywołując w nich wrogie samoobronne reakcje, nie dopuszcza do formowania spontanicznych przyjaźni. Losy Jamisona, opisane w chronologicznym porządku, są beletrystycznym traktatem o groźnym nałogu myślenia, ale jak to zwykle z dotkniętymi nałogiem bywa, nikt kto zasmakował tej przyjemności nie zrezygnuje z niej łatwo, i nikt z niewtajemniczonych nie pojmie w pełni na czym polega niebezpieczeństwo. *Times*, na ogół skąpy w pochwałach, ocenił tę książkę jako jedną z najlepszych w kończącym się roku, i mogę się do tej opinii tylko gorąco przychylić.



Z kręgiem zupełnie innych doznań mamy do czynienia w najnowszej książce Hemingwaya. Kiedy umarł w 1961 jego sława w Ameryce była już dobrze nadkruszona. Do ataków krytyki dołączało się zniechęcenie publiczności. W Polsce, głównie na skutek opóźnień związanych z dopuszczeniem do druku przekładów z literatury amerykańskiej, był u szczytu popularności. Na ustach *Przekroju*, nastolatków i nauczycielek polskiego.

Umierając Hemingway zostawił około 332 niedokończonych prac: nowel, krótkich opowiadań, not. Dopiero teraz, prawie po dziesięciu latach, Mary Hemingway wyraziła zgodę na opublikowanie jednej z powieści. „*Islands in The Stream*” składa się z trzech nowel: „*Bemini*”, „*Cuba*” i „*At Sea*”. Głównym bohaterem jest Thomas Hudson, malarz rodem z Midwestu, osiedlający się w Paryżu zaraz po pierwszej wojnie światowej, zdobywający tam sławę i opuszczający następnie Paryż dla Bemini. Analogie z biografią samego Hemingwaya są tak oczywiste, że nie są dla nikogo rewelacją. W stu procentach hemingwayowski jest także wybór tematu i styl. Jak wiele razy przedtem, tak i teraz mamy do czynienia z silnym mężczyzną, który panicznie boi się klęski, z postacią myśliwego, którego pociąga śmierć, ale jeszcze bardziej pociąga zwycięstwo. We wszystkich trzech nowelach, związanych tematycznie postacią Hudsona, właśnie śmierć jest tym ostatecznym przeciwnikiem. W noweli pierwszej będzie to śmierć dwóch synów Hudsona i ich matki, w noweli drugiej śmierć syna-pilota, wreszcie w noweli trzeciej śmierć samego bohatera, który wdaje się w walkę z Niemcami w czasie patrolu na swoim jachcie. Niemcy są przy tym traktowani jako pretekst, nie są

to zabłąkani na oceanie wrodzy żołnierze, ale postacie umowne, dzięki którym autor może raz jeszcze opisać walkę.

Sceneria jest zawsze czysto hemingwayowska. Łowienie ryb, bar późnym wieczorem, długie, długie rozmowy i dużo, dużo alkoholu. Rozmowy są chwilami zupełnie nieinteresujące, opisy detali zbędne, a tempo powieści zwalnia niebezpiecznie. Świat bohaterów Hemingwaya nigdy nie był bardzo skomplikowany, nawet w jego najlepszych pracach. Był to gwałtowny świat walki, w którym jedynym rzetelnym testem wydawała się odwaga. Wiarogodne było tylko to, co dawało się sprawdzić i odczuć przez zmysły. Bohater, jeśli nie występował przeciwko innym, występował przeciwko naturze, walce zawsze towarzyszyło okrucieństwo, nad najpiękniejszym pejzażem krążył uparty cień śmierci.

„*Islands in The Stream*” nie może być porównane z najlepszymi pracami Hemingwaya. Jeden z krytyków amerykańskich uważał dość okrutnie, ale i słusznie, że Hemingway rozpoczął swoją karierę literacką od parodii Sherwooda Andersona, a zakończył ją parodiując sam siebie. Książka powtarza bowiem to wszystko, co czysto hemingwayowskie, ale o ileś stopni niżej w skali wykonania artystycznego. Nigdy nie byłem wielbicielek Hemingwaya, interesował mnie raczej sposób w jaki usiłował wyostać się z palącego problemu swoich ostatnich lat przed śmiercią, problemu pisarza o którym mówiono powszechnie, że się wypisał. Ta etykieta bardzo go bolała i bardzo chciał ją z siebie strzepnąć. Walczący i opisujący całe życie walkę, czuł się jak ktoś komu wytracono broń z ręki. Poczuc się silnym na nowo, znaczyło napisać nową, bardzo dobrą rzecz. Nie zdołał tego zrobić za życia, nie udało mu się to i po śmierci.

Inteligencję można określić jako umiejętność znalezienia wyjścia z sytuacji, która staje się niesprzyjająca. Hemingway gardził intelektualistami i stawiał odwagę przed inteligencją. Pasjonowała go biologia i namiętność potyczek z przeciwnikiem. Dziwnym, ironicznym zrządzeniem losu stał się jednak mimo woli dowodem na to, że bywają walki w których chłodna ocena sił, a nawet rezygnacja, prowadzi do zwycięstwa, podczas gdy uparte szamotanie się z czymś silniejszym nie otwiera drzwi a nawet, co gorsza, nie budzi szacunku. Trudno powiedzieć jak wyglądają inne, nie opublikowane jeszcze prace Hemingwaya, ale można przypuścić, że nie zdołał przekroczyć owej bariery powtórzeń, że wszystko to już będzie opowiadaniem rzeczy, opowiedzianych przez niego samego, wcześniej i znacznie lepiej. Co jest także prawdą w wypadku „*Islands in The Stream*”.



Stany Zjednoczone przeżywają teraz okres wzmożonego niepokoju wewnętrznego. Podzielone jak prawie nigdy przedtem, z grupkami ekstremistów po obu stronach, zmęczone wojną w Wietnamie, z niespokojną młodzieżą z bardzo bogatych domów i wylęknioną klasą średnią z mniejszości narodowych, ze Spiro

Agnew, który wzbudza tu namiętności przedtem nie znane — ten kraj odczuwa także potrzebę przypomnienia sobie o jakichś niezaprzeczalnych wartościach i niezaprzeczalnie pozytywnych sylwetkach.

O Eisenhowerze wyrażano się dobrze już za jego życia. Jeszcze lepiej zaczęto się o nim wyrażać (całkiem normalne) po jego śmierci. Uosabiał amerykańskie marzenie o tym jak powinna przebiegać kariera porządnego człowieka. Osiągnął wszystkie szczyble, aż do najwyższego, prezydentury. Oczywiście, nie była to tylko sprawa losu na loterii, ale sprawa talentu organizacyjnego, przygotowania i dyscypliny. Lata jego prezydentury Amerykanie wspominają teraz jako lata spokojnego szczęścia. Podatki nie były wysokie, nikt nie podkładał bomb pod budynki państwowe, nie istniały Czarne Pantery, nie było Wietnamu. Nawet w intelektualnym Massachusetts wspomina się go dobrze, bo był jednym z niewielu, którzy ostrzegali przed ryzykiem ekonomii nastawionej na czysto wojenny profil. Książka „Supreme Commander” Stephana E. Ambrose’a poświęcona jest w całości sylwetce generała. Obserwujemy jego wspinanie się po szczeblach wojskowej drabiny, jego ciche, ale napięte rośnięcie w cieniu agresywnego G. Marshalla. Mamy ofiarowany dostęp do detali, widzimy jak kształtowała się osobowość człowieka, który osiągnął ogromną popularność, który lubił być lubiany, co jest zawsze bardzo niebezpieczne, szczególnie na eksponowanych stanowiskach, który był konserwatywny w poglądach, ale wrażliwy na konsekwencje polityczne, który był super patriotyczny (nieco z gatunku S. Agnew, ale w większym formacie), ale otwarty na poglądy innych, choćby jaskrawo różne. Był jednym z niewielu dowódców tolerowanych przez De Gaulle’a.

Książka jest dobrze napisana, i jeśli nawet swoją popularność zawdzięcza osobliwemu zestawieniu lat spokojnych i sytych z latami burzliwymi i pozbawionymi szacunku, jest to popularność w pełni zasłużona.

Jolanta DWORZECKA

Publikacje słowiańskie w Kanadzie

Z miejsca zastrzegam się, że uwzględnię jedynie część ich, i tylko z pewnych działów, w przeciwnym bowiem razie poniższe uwagi musiałyby przebiegać w pierwszym rzędzie uwagę na prace o charakterze ogólnym a jednocześnie związane z Kanadą. Nie od rzeczy będzie więc przypomnieć, że odbyły się w odstępach dwuletnich już trzy konferencje, poświęcone problemom Słowian w Kanadzie. Informując o nich wskazy-

waliśmy, iż powstały one z inicjatywy grupy akademickiej, głównie profesorów ukraińskiego pochodzenia na wyższych uczelniach, ale że przylączyły się do nich również czynniki społeczne poszczególnych grup etnicznych. Ostatnia konferencja, która odbyła się w 1969 roku w Toronto, w York University, postanowiła zmienić nazwę a więc następną nie będzie już spotkaniem *on Canadian Slavs*, ale wszystkich grup etnicznych.

Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy opublikował dwie prace: ks. dr. Andrzeja Woźnickiego, jako 6 tom swojej serii „Studia” pt. „Społeczno-religijne założenia ruchu migracyjnego”. Jest to pierwsza pozycja wydana w dwóch językach: angielskim i polskim. Stanowi ona też pracę pionierską, gdy chodzi o autora polskiego. Ks. Woźnicki, znany Czytelnikom *Kultury*, jest filozofem i socjologiem z dużym zacięciem publicystycznym. Znamionuje go jasność i zwięzłość wykładu, przy czym nie cofa się przed kontrowersyjnymi a nawet drastycznymi problemami.

Wspomniana praca okazała się właściwie podstawą dla jego dalszych badań na ten temat; świadczą o tym ogłoszone w międzyczasie eseje oraz referaty publiczne. Autor nie tylko broni, ale i uzasadnia, absolutną konieczność zachowania duszpasterstwa emigracyjnego, a więc praktycznie parafii narodowościowych. W oparciu o bogaty materiał dowodowy wskazuje, że Kościół zawsze stał na tym stanowisku, jakkolwiek opieka duchowa nad imigrantami przybierała rozmaite formy.

Występuje on przeciwko „gettowości”, w której rodzi się swoisty „kult jednostki nie pozwalający na osobiste i niezależne działanie. Powstaje duch nietolerancji i dogmatyzmu”. Dowodzi dalej, że „żyjąc w sytuacji migracyjnej nie można pozwolić sobie na tandetę w zakresie sztuki, literatury i nauki. Trzeba w nauczaniu mieć świadomość, że czytają i słuchają osoby innej narodowości. Nie można również sprawiać wrażenia — w imię obwieszczanego patriotyzmu — że w danej grupie etnicznej nie ma, albo nie powinno być, publicznej opinii, że każda krytyka zwierzchników, choćby właściwie wyrażona, jest czynem apatriotycznym, że jest rzeczą *a priori* niemożliwe, by te posunięcia były wynikiem osobistych motywów kierowników danej społeczności, nie pełnych informacji czy nieznajomości potrzeb czasu”.

Postulaty formułowane przez ks. Woźnickiego — jak o tym świadczy sytuacja w wielu środowiskach imigracyjnych — przyjmowane są przez zainteresowanych, a więc księży poszczególnych grup etnicznych oraz przywódców świeckich tych grup, nieomal entuzjastycznie, ale proces realizowania ich napotyka na ogromne przeszkody i trudności. Zdaje się istnieć wcale poważny rozdział między teoretycznymi założeniami, wskazaniami, wytycznymi niektórych encyklik papieskich a obecną rzeczywistością, dokładniej praktyką w różnych diecezjach. Ale ks. Woźnicki chciał przede wszystkim uwypuklić i udokumentować szerokie założenia i wytyczne pracy apostołskiej wśród ludności migracyjnej. Powraca więc często do sławnej konstytucji Piusa XII „*Exsul Familia*”, która odegrała niewątpliwie wielką rolę i mogłaby dalej ją spełniać, gdyby nie ukazały się inne zalecenia, pozostające jeśli nie w jaskrawej sprzeczności z „*Exsul Familia*” to na pewno nie mające na celu realizacji lub przestrzegania jej postanowień.

Analiza socjologiczna dr. Woźnickiego jest bezbłędna, postulaty uzasadnione, ale formy ich realizacji więcej niż sporne. Stąd praca ta nie pozbawiona jest pewnych wyrazistych cech aktualnych. Stanowi ważną pozycję w istotnym sporze o istnienie parafii narodowościowych.

Tom 7 „Studiów” pod redakcją Tadeusza Krychowskiego, poświęcony pamięci najwybitniejszego kanadyjskiego sławisty i szczeremu oddanemu przyjacielu Polaków i Polki, prof. Williama Johna Rose’go, obejmuje 6 esejów w języku angielskim, dotyczących aktualnych problemów Polonii, a nie jej historii. Ukazał się pod zbiorowym tytułem „*Polish Canadians*” ale nie jest pracą monograficzną. Autorzy ani nie podzielili między sobą problematyki,

ani nie konsultowali się wzajemnie. Wprawdzie tak się szczęśliwie złożyło, że nie zajmują się tymi samymi problemami, ale przy nawiasowym zetknięciu się występują między autorami wcale wyraźne różnice, co raczej jest zjawiskiem dodatnim przy ocenie trwających jeszcze procesów czy aktualnych zjawisk.

Przed wszystkim wypada znowu wyrazić żal, iż Instytut Naukowo-Badawczy nie zdołał zdobyć środków, by wreszcie przystąpić do przygotowania — i oczywiście opublikowania — historii Polonii Kanadyjskiej. Ciągłe bowiem dysponujemy tylko przyczynkami, podczas gdy niemal wszystkie grupy etniczne pochwalic się mogą wcale poważnymi pracami o charakterze ogólnym obok, znacznie większej ilości wysoce specjalistycznych.

W omawianej publikacji znajdujemy np. obok doskonałego studium demograficznego Rudolfa Koglera, referat prof. V. W. Adamkiewicza o charakterze czysto sprawozdawczym. Analityczne, wnikliwe studium psychologiczne prof. Wiktora Szyryńskiego obok dociekań prof. Jerzego Wojciechowskiego na temat przyszłości Polonii, wreszcie esej Zygmunta Rusinka o etapach zmian i przemian imigranta, który z obcego przybysza staje się obywatelem tego kraju, członkiem społeczeństwa, podczas gdy niżej podpisany śledzi i rejestruje przemiany jakie zaszły w strukturze społecznej Polonii Kanadyjskiej.

Zapewne byłoby grubo lepiej, gdyby jeden z omawianych tematów został gruntownie opracowany, ale — niestety — jak dotychczas brak ku temu obiektywnych warunków. Zbyt często mówi się na ten temat, ale niewiele uczyniono, aby słowa zmienić w czyn.

Wystarczy wskazać, że mamy znakomitego statystyka-demografa, wspomnianego Rudolfa Koglera, który właśnie opublikował podstawową pracę dotyczącą oblicza ludnościowego prowincji Ontario, pt. „*Population Statistic for Ontario 1969*”, stanowiącą najbardziej szczegółową analizę zmian ludnościowych na przestrzeni stu lat. Gdyby miał warunki i czas, to zwięzłe studium ogłoszone w *Polish Canadians* mogłoby ukazać się jako wielka podstawowa praca o ruchu ludności pochodzenia polskiego w Kanadzie.

Przypuszczalnie badania nad problematyką grup etnicznych w Kanadzie posuną się w niedalekiej przyszłości naprzód w następstwie zaleceń Specjalnej Komisji, która badała problem Dwujęzyczności i Dwukulturowości w Kanadzie. Zalecenia jej, zawarte w czwartym tomie Sprawozdania (Royal Commission on Bilingualism and Biculturalism — Book IV: The Cultural Contribution of the Other Ethnic Groups), jeśli zostaną zrealizowane — a wydaje się iż tak się stanie — będą ogromnym skokiem naprzód dla wszystkich grup etnicznych. Podkreślając bowiem wartość pozytywnych wkładów grup etnicznych, Komisja wzywa do odpowiednich dotacji ze źródeł publicznych nie tylko dla szkolnictwa obcojęzycznego, dla zespołów folklorystycznych, ale dla wszelkich prac badawczych dotyczących życia i wkładu tych grup w rozwój kraju, udziału w różnych dziedzinach, utrzymania szkół, bibliotek, archiwów itp. Ile z tych zaleceń, idących znacznie dalej aniżeli postulaty jakiegokolwiek grupy, będzie zrealizowana oczywiście nie wiadomo. Zależać to będzie nie tylko od finansowych i budżetowych możliwości rządu federalnego, rządów prowincjonalnych, samorządów, ale i od umiejętności grup etnicznych w sformułowaniu i uzasadnieniu swoich postulatów.

Wracając do *Polish Canadians* należy podkreślić, że spopularyzowała pewne aktualne problemy Polonii Kanadyjskiej, akcentując współczesność i starając się miejscami przewidzieć przyszłość, podczas gdy wszystkie inne dotychczasowe publikacje Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego zajmowały się przeszłością i bibliografią.

Z publikacji „Stulecia” tylko jedna praca ukazała się w drugim wydaniu, a mianowicie „The Ukrainians in Canada” Olgi Woycenko. Nie waham się zaryzykować twierdzenia, że jest to też najlepsza praca, jaka ukazała się w serii „Canada Ethnica”.

Pani Woycenko jest rdzenną Kanadyjką, córką ukraińskich imigrantów. Urodziła się, wychowała i mieszka w Winnipegu (Manitoba) a więc w mieście które jest „stolicą” kanadyjskich Ukraińców. W Metropolii torontońskiej mieszka więcej ludności pochodzenia ukraińskiego, ale w Manitobie i Albercie są okręgi, w których ta ludność dochodzi do 10 %. W Winnipegu znajdują się największe i najpoważniejsze zbiory archiwalne oraz biblioteka dotycząca osadnictwa ukraińskiego w Kanadzie.

Autorka jest utalentowaną dziennikarką i kronikarzem życia ukraińskiego w tym kraju. Nikt lepiej od niej nie przygotował tak bogatego materiału, niezbędnego dla każdego badacza poszczególnych okresów czy problemów związanych z osadnictwem ukraińskim. W 1961 roku opublikowała pierwszy tom swojej pionierskiej pracy pt. „*Litopys ukraińskoho žytt'ia w Kanadi*” obejmujący lata 1874-1918. Dotąd ukazały się już cztery duże tomy, ostatni w 1969 roku i obejmujący lata 1930-1939.

Autorka w chronologicznym porządku rejestruje te wydarzenia, które oeniła jako ważne. Opiera się niemal wyłącznie na jednym piśmie a mianowicie na *Ukraińskim Hołosie*, wychodzącym w Winnipegu, ale korzysta dorywczo i z innych źródeł. Zapewne są w tej cennej kronice braki, wynikające z charakteru *Ukraińskiego Głosu*, ale w oparciu o dane w pracy p. Olgi Woycenko łatwo już jest przeprowadzić konfrontację. Wielką zaletą tych książek jest dokładny indeks osobowy i rzeczowy. Pani Woycenko prowadzi nadal tę niezwykle żmudną — ale jakże cenną — pracę. Wypada jedynie westchnąć głęboko, iż brak nam polskiego odpowiednika.

Monografia p. Woycenko o Ukraińcach w Kanadzie została kwaśno przyjęta przez znaczną część prasy ukraińskiej, przede wszystkim redagowanej przez powojennych imigrantów i związanej ściśle lub luźniej z emigracyjnymi ugrupowaniami politycznymi. Poważne zastrzeżenia wysunęli wobec niej również rzecznicy kościoła greko-katolickiego. Krytyka z tych dwóch stron była tak silna i nie pozbawiona solidnych podstaw, że Autorka zapowiedziała przeprowadzenie pewnych zmian w drugim wydaniu — co też uczyniła.

Autorka nie jest imigrantką i nie podzielała ambicji i tendencji politycznych przybyłych po wojnie. Przypuszczalnie ze względów uczuciowych nie doceniła roli kościoła greko-katolickiego. Jako zdecydowana zwolenniczka pełnej integracji wysoce krytycznie oceniła tendencje polityczne poszczególnych grup, uważając iż najważniejsze i najistotniejsze jest włączenie się w nurt ogólnokanadyjski z zachowaniem pewnych kulturowych właściwości ukraińskich.

Benedykt HEYDENKORN

Andrzej Woźnicki: *Spoleczno-religijne zalozenia ruchu migracyjnego*. Toronto, 1969, str. 105.

POLISH CANADIANS. *Profile and Image*. Edited by T. W. Krychowski. Toronto 1969, str. 112. Zawiera następujące pozycje: Rudolf K. Kogler: „A Demographic Profile of the Polish Community in Canada”; Benedykt Heydenkorn: „The Social Structure of Canadian 'Polonia'”; Zygmunt Rusinek: „From an Immigrant to a Canadian — Stages of Integration”; Victor Szyryński: „Psychological Aspects of Successful Immigration in Canada”; Jerzy A. Wojciechowski: „The Future of Canada's Polish-Speaking Community — Polonia's Problems and Possibilities”; Vincent W. Adamkiewicz: „The National Conferences on Canadian Slavs”.

Olga Woycenko: *The Ukrainians in Canada*, Ottawa-Winnipeg, 1968, str. XV-271; *Litopys ukraińskoho žytt'ia w Kanadi*. Tom I: Winnipeg, 1961, str. 295; tom II: Winnipeg, 1963, str. 395; tom III: Winnipeg, 1965, str. 307; tom IV: Winnipeg 1969, str. 475. Wszystkie cztery tomy ukazały się nakładem Spółki Wydawniczej „Tryzub”.

Nadesłane nowości wydawnicze

- General Anders — Życie i chwata.* W opracowaniu i pod redakcją Mariana Hemara, w układzie graficznym Tadeusza Filipowicza. Str. 205 i 3 nlb. i liczne fotografie. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1970).
- CZAPSKA (Maria). *Europa w rodzinie.* Str. 361 i 3 nlb. i fotografie. (Wyd. Libella, Paryż 1970).
- Droga do dialogu.* Przekład z języka włoskiego. Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Odnova Ltd., Londyn 1970).
- ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz), KUBIAK - ŻYTOMIRSKA (Maja). *Polska, którą opuściliśmy.* Str. 98 i 2 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1970).
- Walki na przedpolu Warszawy w 1920 roku.* Tryptyk wspomnień Ppłk. Władysława Gorzycy, Mjr. Tadeusza Tarnawskiego i Juliusza Szygowskiego. Str. 30. (Nakładem S. P. K. „Wierność Żołnierska”, Chicago, Ill., 1970).
- Katalog wystawy „Kawaleria i Artyleria Konna 1970”.* Str. 20. (P.O.S.K., Londyn, 1970).
- BROMKE (Adam). *Trwałe nurty w polityce polskiej.* Str. 27 i 1 nlb. (Odbitka z *Tematów* nr 31-32, Jesień-Zima 1969, Londyn 1970).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *Ameryka a świat.* Str. 11 i 1 nlb. (Odbitka z *Tematów*, nr 31-32, Jesień-Zima 1969, Londyn). Przemówienie wygłoszone 4. 12. 1968 na Konferencji Międzynarodowej w Princeton, N.J., przeł. Jacek Niecko).
- VESELY (Ludvik). *Dubcek.* Biographie. Str. 350 i 4 nlb. (Wyd. Kindler Verlag, Monachium 1970).
- Five Centuries of Polish Poetry, 1450-1970.* (Wyd. II). Opracował Jerzy Peterkiewicz i Burns Singer, przeł. Jerzy Peterkiewicz i John Stallworthy. Str. 137 i 1 nlb. (Wyd. London Oxford University Press, New York-Toronto, 1970).
- BOJTAR (Endre). *L'école „intégraliste” polonaise.* Str. 65-87. Nadbitka z *Acta Litteraria Academiae Scientiarum Hungaricae*, Tomus 12 (1-2), Budapeszt, 1970.
- KOTSIOUBYNSKY (Mykhailo). *Ombres des ancêtres oubliés „Les chevaux de Feu”,* przeł. z ukraińskiego J.-C. Marcadé. Str. 121 i 9 nlb. (Wyd. P.I.U.F., Paryż 1970).
- The Journal of Byelorussian Studies.* Vol. II, No. 1 — Year V. Str. 138. (Wyd. „The Anglo-Byelorussian Society”, Londyn, 1969).
- ARKAS (Mykoła). *Istoriya Pivnichnoji Czornomorszczyny.* Tom I. Str. 348 i 4 nlb. (Nakładem Studium Research Institute Inc. and *Homin Ukrainy*, Toronto, 1969).
- Ereignisse in der Ukraine 1914-1922.* Serie I-IV, Band III. Str. 704. Wyd. Verlag Ferdinand Berger und Söhne, Horn, Philadelphia, 1968).
- Ereignisse in der Ukraine 1914-1922.* Serie I-IV, Band IV. Str. 421 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Ferdinand Berger und Söhne, Horn, Philadelphia, 1969).

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-10-70

W Brazylii zmarł 23. 9. br., w wieku lat 93, Ks. Ludwik Bronny. Pracował on w Brazylii od roku 1914. Był proboszczem, wiceprowincałem Księży Misjonarzy, dyrektorem Sióstr Miłosierdzia, budowniczym kościołów i seminarium misjonarskiego. ■ W Rzymie zakończyła się II Sesja Sekretariatu Synodu Biskupów pod przewodnictwem Ks. Bp. Wł. Rubina. Sesja była poświęcona, poza sprawami sprawozdawczymi, dyskusji na temat najbliższego Synodu Biskupów. ■ Prezydent Nixon przyjął dziesięcioposobową delegację Polonii z Prezesem A. Mazewskim na czele. ■ Pierwsze powakacyjne zebranie członków Towarzystwa Przyjaciół Paryskiej *Kultury* odbyło się 20 września w Toronto. Omówiono program prac na sezon zimowiosenny. Referując najbliższe prace prez. Wacław Iwaniuk poinformował, że zarząd ustalił każdą trzecią niedzielę miesiąca na regularne spotkania. Ponadto zorganizowano dyskusję nad artykułem „W oczach polskich”, który ukazał się w *Kulturze*. ■ Ukraińska prasa emigracyjna donosi, że 19. 9. br. odbyła się w New Yorku konferencja szeregu organizacji ukraińskich, gdzie postanowiono stworzyć komitet pomocy Ukraińcom w Polsce. Zdecydowano zarejestrować statut nowopowstałej organizacji u władz amerykańskich i rozpocząć starania o przyjęcie do Wydziału Obrony Praw Człowieka w Narodach Zjednoczonych. Zadaniem komitetu będzie, poza pomocą materialną, również pomoc moralno-prawna. ■ Znana uczona, prof. Jeanne Hersch, otrzymała nagrodę „Ida-Somazzi-Preis”, ufundowaną przez Stow. „Kobiet i Demokracji”. Jeanne Hersch jest przyjaciółką spraw polskich i między innymi tłumaczką książek Czesława Miłozza. ■ Stowarzyszenie Lotników Polskich w Brazylii przyznało nagrodę literacką w wysokości 300 dolarów Józefowi Mackiewiczowi za książkę „Nie trzeba głośno mówić”.

18-10-70

W miejscowości Losone (Tessin, Szwajcaria), gdzie w czasie ostatniej wojny był obóz internowanych żołnierzy polskich, zlikwidowano miejscowy cmentarz. Polacy zamieszkali w Szwajcarii ufundowali zmarłym kolegom tablicę pamiątkową.

19-10-70

W Paryżu toczyły się polsko-francuskie rozmowy gospodarcze w sprawie realizacji postanowień wieloletniej umowy o wymianie handlowej, współpracy gospodarczej i przemysłowej między Polską a Francją na lata 1970-1975 oraz założeń przygotowywanego protokołu handlowego na 1971 r.

22-10-70

Nagrodę pokojową Nobla przyznano uczonemu amerykańskiemu Normanowi E. Borlaugowi, profesorowi w Międzynarodowym Centrum Poprawy Gatunków Zboż i Kukurydzy w Meksyku.

24-10-70

Na inaugurację nowego roku akademickiego w Chicago, gdzie studiuje ponad 3.000 młodzieży pochodzenia polskiego, Zw. Akademików Polskich zorganizował wykład prof. Śmieji.

25-10-70

Torontońskie Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* Paryskiej urządziło swój ko-

leiny, comiesięczny, wieczór, tym razem ku czci poetki śp. Zofii Bohdanowiczowej. Wykonawcami programu, na które złożyły się wspomnienia przyjaciół, czytanie utworów poetki, oraz omówienie jej twórczości byli: redaktor Z. Rusinek, p. Irena Jellaczyc-Habrowska, p. Jadwiga Jasińska, pp. Michał Olbryski, inż. Z. Czerniakowski, Redaktor B. Heydenkorn, p. Barbara Czapliska (siostra Zofii Bohdanowiczowej) oraz prezes Towarzystwa i inicjator wieczoru — p. Wacław Iwaniuk. ■ Z okazji 25-lecia istnienia Narodów Zjednoczonych na koncercie jubileuszowym w siedzibie ONZ w New Yorku wykonano utwór K. Pendereckiego „Kosmogonia”, zamówiony specjalnie w tym celu przez sekr. gen. ONZ U-Tanga. ■ Duże poruszenie w kołach emigracji polskiej w Londynie wywołała podróż do Polski p. Tadeusza Piszczkowskiego, członka Stronnictwa Narodowego i członka Rady Jedności z ramienia tegoż stronnictwa. ■ W Domu Polskim w Melbourne (Australia) Towarzystwo Przyjaciół Paryskiej Kultury zorganizowało wieczór bridge'owy. ■ Maria Tunicka, uczennica prof. Wodiczki, została zaangażowana na stanowisko dyrygenta orkiestry symfonicznej w m. Kankakee w stanie Ill. (USA).

26-10-70

Nagrodę Nobla z dziedziny chemii przyznano prof. Leloir. Nagrodę z dziedziny fizyki przyznano równolegle prof. Louis Néel'owi i Szwedowi prof. Hannes Alfvén'owi z uniwersytetu California w San Diego. Prof. Alfvén dostał nagrodę za podstawowe prace z dziedziny magneto-hydro-dynamiki. Prof. Néel został nagrodzony za badania w dziedzinie fero-magnetyzmu. Nagrodę Nobla z dziedziny ekonomii otrzymał profesor amerykański Paul A. Samuelson z Massachusetts Institute of Technology.

27-10-70

Telewizja zachodnio-berlińska urządziła godzinną dyskusję literacką pt.: „Czy Aleksander Sołżenicyn zasłużył na nagrodę Nobla” z udziałem: Güntera Grassa, Prof. Arnulfa Baringa, Wandy Bronisławskiej, Hansa Wernera Richtera, Tadeusza Nowakowskiego i Heleny von Ssachno-Uselis.

28-10-70

W jesiennym salonie w Paryżu wystawia Emilian Mazurek, niedawno przybyły z Krakowa, mieszkający w Paryżu.

29-10-70

Przy Komitecie Centralnym Partii Demokratycznej w USA powstał Komitet Doradczy Opinii Publicznej, do którego sekretarz Stanu, Rogers, zaprosił 17 przedstawicieli różnych grup etnicznych. Prasa polonijna ogłosiła protest z powodu pominięcia reprezentacji polonijnej.

30-10-70

Na skutek chronicznego deficytu zostanie zamknięty z początkiem 1971 r. znany tygodnik paryski *Figaro Littéraire*. ■ W Radio-Telewizji francuskiej odbył się koncert, w czasie którego orkiestra wykonała Aria et Toccata Antoniego Szałowskiego.

31-10-70

Do Anglii przybyła delegacja warszawskiej Rady Opieki nad Pomnikami Walk i Męczeństwa w osobach min. J. Wieczorka, płk. J. Mazurkiewicza „Radostawa” oraz płk. pil. St. Skalskiego. Powodem przyjazdu jest sprawa opieki nad polskimi cmentarzami wojennymi w Wielkiej Brytanii. W związku z tym Rada Organizacji Kombatanckich w Londynie powzięła uchwałę sta-

wiając delegacji pytania jak wygląda opieka nad grobami polskimi w Związku Sowieckim, a przede wszystkim w Katyniu oraz nad grobami przywódców podziemia w czasie wojny i wojskowych zamordowanych przez UB. ■ Zmarł w Plymouth, w wieku 84 lat, prof. Jerzy Alexandrowicz, b. prof. Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, b. rektor Akademii Weterynaryjnej we Lwowie, b. wiceminister Wyznań Relig. i Ośw. Publicznego, b. szef Wydziału Oświaty w 2-gim Korpusie, ostatnio pracownik Laboratorium Marynistycznego w Plymouth, wybitny badacz w dziedzinie histologii. ■ Rada Jedności Narodowej w Londynie wybrała gen. Stanisława Kopańskiego do Rady Trzech na miejsce zmarłego gen. Wł. Andersa. Jednocześnie gen. Kopański został wybrany na członka Głównej Komisji Skarbu Narodowego. Stronnictwo Narodowe nie wzięło udziału w wyborach.

1-11-70

Uniwersytet w Leeds (W. Brytania) powołał prof. Z. Baumaną na katedrę socjologii. Po opuszczeniu PRL prof. Bauman wykladał na Uniwersytecie w Tel Avivie. ■ W rezultacie pięciodniowej konferencji w Kairze między Egiptem, Sudanem a Libią uchwalono stworzenie federacji tych trzech państw. Federacja ma być realizowana stopniowo. ■ W poselstwie PRL w Bernie odbyła się niedawno uroczystość wręczenia wysokiego odznaczenia p. Witoldowi Małcużyńskiemu. W uroczystości tej wzięli udział m.in. pp. Julian Godlewski, Konstanty Regamey, inż. Kudelski i prof. Estreicher.

3-11-70

Na Alasce po raz pierwszy o mandat kongresmana ubiegał się Amerykanin polskiego pochodzenia, F. Murkowski, republikanin, który jednak nie uzyskał większości.

6-11-70

Włochy uznały Chińską Rep. Ludową. ■ W Paryżu w galerii La grange au bouc została otwarta wystawa obrazów Mieczysława Lurczyńskiego. ■ Tygodnik *Life* i wydawnictwo Little Brown and Co. zakomunikowały, że będą drukowały „pamiętniki Chruszczowa”. Książka ukaże się 21 listopada. ■ Rząd Argentyński ekspulsował dwóch dyplomatów sowieckich Ju. Riabowa i Ju. Mamontowa za „działalność niezgodną z ich funkcjami”.

9-11-70

W Colombey-les-Deux-Eglises zmarł Gen. Charles de Gaulle.

10-11-70

Senator Edmund Muskie oświadczył, że zamierza kandydować z ramienia partii demokratycznej w wyborach prezydenckich w 1972 roku.

12-11-70

W debacie w ONZ, poświęconej stosunkom krajów afrykańskich z mocarstwami wzięli udział adw. A. Mazewski, prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, który jako przedstawiciel Stanów Zjednoczonych wygłosił do przedstawicieli państw afrykańskich przemówienie na temat imperializmu rosyjskiego.

13-11-70

W Paryżu na Sorbonie, staraniem Centre de Civilisation Polonaise została otwarta wystawa książek Wydawnictwa Literackiego w Krakowie. Wystawa będzie trwała do 30. 11. br. ■ Papież Paweł VI, w czasie audyencji udzielonej prez. Podgornemu i min. spr. zagr. ZSSR Gromyko, poruszył problem mniejszości katolickiej na terenie Sowieckiej Republiki Ukraińskiej.

15-11-70

Sesja Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie, która miała się odbyć w Lille 28. 11. br. została przesunięta na dzień 12. 12. br. ■ W Sztokholmie powstaje miesięcznik społ.-polityczny *Pokolenia*. Ma on na celu skupienie młodej inteligencji z ostatniej emigracji. W imieniu zespołu organizacyjnego występują p. Ewelina Lipko-Lipeczyńska i p. Christian Skrzyposzek. Organizatorzy, uzasadniając potrzebę takiego pisma, zaznaczają: „nie istnieje albowiem ani jedno polskie wydawnictwo emigracyjne, na którym nie ciążyłaby konieczność spłacania serwitutów tym instytucjom, które ich działalność finansują”. Wynikałoby z powyższego, że *Pokolenia* będą pierwszym pismem „niezależnym politycznie i finansowo od żadnej formacji politycznej”. Jeszcze dwa szczegóły: miesięcznik „będzie się ukazywał w formie książki o formacie wydawniczym paryskiej 'Kultury'”. Organizatorzy ponadto podają: „jeżeli powiadamy, że nasze przedsięwzięcie wydawnicze nie podlega żadnym uwarunkowaniom politycznym to mamy na myśli kilka niebagatelnych atutów, którymi już dzisiaj rozporządzamy (bezpłatny lokal redakcji, możliwość bezpłatnego korzystania z drukarni, filantropijną pomoc kilku szczerze zainteresowanych stworzeniem pisma osób)”. Według naszych informacji pomocy materialnej udziela szwedzka socjaldemokracja, zaś szwedzki Urząd Zatrudnienia opłaca lokal i pensję jednego urzędnika. ■ „Nienasylenie” Witkiewicza ukazało się we Włoszech nakładem wyd. De Donato w Bari. Książkę przełożyło 5-ciu tłumaczy pod kierownictwem młodego sławisty Antona Mario Raffo. U Einaudiego ukazały się wszystkie opowiadania Bruno Schultza pt. „Le botteghe color canella” w przekładzie Anny Vivanti, ze wstępem A. M. Ripellino. Wyd. Laterza wydało książkę Wł. Bieńkowskiego „Motory i hamulce socjalizmu” pt.: „Burocrazia e potere socialista”. Tłumaczył Riccardo Landau. ■ „Nienasylenie” ukazało się również w przekładzie Alaina van Crugtena na język francuski pt. „L'Inassouvissement”. Wydawcą jest „L'Age d'homme” w Lozannie i Maspero w Paryżu. ■ Ostatnie polonica w Niemczech Zachodnich: Bronisław Baczko: „Rousseau”, przekład Eddy Werfel (Europa Verlag, Wien/Frankfurt); Roman Karst: „Thomas Mann oder der deutsche Zwiespalt”, przekład Eddy Werfel (Verlag Fritz Molden, Wien-München); Juliusz Stroynowski: „Polen und Deutsche” (Hrsg. Götz Fehr).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

16-10-70

J. Makarenko, współpracownik moskiewskiej *Prawdy* i były korespondent *Prawdy* w Warszawie, przygotowuje książkę o Powstaniu Warszawskim, która ma się ukazać w Wydawnictwie Literatry Politycznej w Moskwie. ■ W myśl nowych przepisów przechodnie sowieccy mogą być skazani do 10 lat więzienia za przekroczenie przepisów ruchu kołowego. Według statystyk sowieckich przechodnie są sprawcami 1/3 wypadków samochodowych. 30 % tych przekroczeń jest spowodowanych pijaństwem. ■ W Budapeszcie zakończyła się konferencja 45-ciu partii komunistycznych, która była poświęcona wymianie zdań w sprawie walki z imperializmem. ■ Prof. Edward Lipiński, wybitny nestor polskich ekonomistów, otrzymał tytuł Doktora Honoris Causa w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie.

17-10-70

Radio Warszawa podaje, informację p. Zenona Paculi, sekretarza często-

chowskiej Naczelnej Organizacji Technicznej, że na terenie częstochowskiego rejonu jest 900 maszyn absolutnie nieproduktywnych, których wartość sięga ponad 800 mln złotych. ■ W Sopockiej „Aldzie”, kombinacie gastronomicznym, składającym się z kawiarni, kawiarni tarasowej i baru samoobsługowego w jednym tylko bieżącym sezonie zginęło 3.000 noży. Poprzedni kierownik „Algi” brał 10 zł. zastawu za noże i żaden nóż w tym okresie nie zginął. ■ *Trybuna Ludu* donosi, że do Bieszczad jeździ się nie tyle w celach turystycznych ile po podręczniki szkolne. Tak na przykład Katowice zaopatrują się w podręczniki w Sanoku.

20-10-70

W Związku Sowieckim wystrzelono sztucznego satelitę Ziemi „Kosmos 373”. Przeznaczony on jest do prowadzenia badań kosmicznych zgodnie z wcześniej ogłoszonym programem. ■ Zmarł nagle w Warszawie, w wieku 64 lat, Antoni Bohdziewicz — reżyser filmowy i pedagog, kierownik artystyczny zespołu „Tor”. ■ W Moskwie rozpoczęła się konferencja przedstawicieli europejskich partii komunistycznej. Udział bierze 27 delegacji. Narady poświęcone są zagadnieniu bezpieczeństwa europejskiego. Albania i Jugosławia nie biorą w niej udziału.

21-10-70

Przedsiębiorstwo „Hortex” w Polsce sprowadziło w roku bież. ok. 100.000 ton owoców i warzyw, w tym ok. 20 tys. ton pomidorów.

23-10-70

Matematyk sowiecki Pimienow i Borys Weil zostali skazani na 5 lat deportacji na Syberię. Stosunkowo łagodny wymiar kary jest przypisywany akcji Sacharowa. ■ Zwróciło powszechną uwagę, że ministrowi spraw zagranicznych Niemiec Zachodnich, Scheelowi, nie towarzyszył w czasie wizyty w Warszawie przedstawiciel opozycyjnej chadecji. Przedstawiciel chadecji towarzyszył natomiast ministrowi w czasie jego podróży do Moskwy. ■ Wypadki cholery zanotowane zostały w Czechosłowacji w rejonie Michałowca, 50 km na zachód od granicy sowieckiej. Władze polskie zamknęły granicę z Czechosłowacją. ■ Jak wynika z informacji, w „Domach Spółdzielczych”, w pierwszym półroczu rb. spółdzielnie budownictwa mieszkaniowego w całym kraju odebrały od wykonawców zaledwie 36,6 proc. zadań rocznych, przekazując członkom 37,9 tys. mieszkań. ■ Najnowsze szacunki plonów w Polsce nie są pomyślnie. Okazuje się, że rolnicy wielu województw zebrali w br. plony zbóż niższe o kilka kwintali w porównaniu z rokiem ubiegłym. Skup zbóż przebiega wolnie. Wykonano zaledwie 67 proc. planu (w ub. roku już w tym czasie wykonano 80 proc.), to znaczy o 22 tys. ton mniej niż w ubiegłym roku. J. Tejchma na spotkaniu z aktywem kierowniczym rolnictwa wielkopolskiego stwierdził, że według ostatnich ocen zbiory zbóż w 1970 r. są znacznie gorsze niż wskazywały oceny sprzed miesiąca (o 3-5 kwintali niższe niż w roku ubiegłym). Dwuletnie straty w rolnictwie szacuje się na 30 mld zł. ■ O sytuacji rynkowej mówił również inny członek Biura Politycznego, B. Jaszczuk, stwierdzając, iż w przyszłym roku nie można liczyć na poprawę zaopatrzenia rynku w mięso. Zdaniem Jaszczuka, poprawy zaopatrzenia rynku szukać należy obecnie w zwiększonych dostawach ryb, serów, oraz mleka. ■ Zakończono uzgadnianie 5-letnich planów gospodarczych między Związkiem Sowieckim a państwami RWPG na lata 1967-1975. W ciągu tego pięcioletcia obroty towarowe między ZSSR a NRD osiągną wartość ok. 22 mld rubli, między ZSSR a CSRS — 13,5 mld, ZSSR a Polską — 13 mld, ZSSR a Bułgarią — 12 mld, ZSSR a Węgrami — 9 mld, ZSSR a Rumunią — 5 mld rubli.

25-10-70

Japonia i Związek Sowiecki osiągnęły porozumienie w sprawie budowy nowego portu sowieckiego na Dalekim Wschodzie. Nowy port syberyjski zostanie zbudowany w pobliżu Nachodki, znajdującej się w odległości 80 km na południowy-wschód od Władywostoku. Zgodnie z tym porozumieniem Japonia dostarczy Związkowi Sowieckiemu maszyny i urządzenia wartości 80 mln dolarów do budowy portu, która trwać ma trzy lata. Japonia udzieli też kredytu na sfinansowanie tych zakupów. Związek Sowiecki spłaci kredyt w ciągu 7 lat. Odsetki wynoszą 6 proc. ZSSR przystąpi do budowy portu na początku 1971 roku. Pierwszy etap budowy kosztem 300 mln dolarów ma być zakończony w 1973 roku. ■ W Moskwie podpisano 12 października sowiecko-rumuńskie porozumienie o współpracy w rozwoju produkcji surowców żelaza w ZSSR, w celu zwiększenia dostaw do Rumunii. Zgodnie z porozumieniem Związek Sowiecki zobowiązał się dostarczać Rumunii koncentraty rud żelaza i niektóre inne surowce dla hutnictwa żelaza przez dłuższy okres. W celu przyczynienia się do rozwoju w ZSSR dodatkowych mocy wytwórczych w dziedzinie produkcji surowców dla hutnictwa żelaza, jak też w zamian za dostarczane surowce, Rumunia będzie eksportować do Związku Sowieckiego specjalne wagony samoczynnie wyładowujące się, metale żelaza, rury, niektóre towary chemiczne oraz materiały powszechnego użytku. ■ UB przeprowadziło niespodziewanie szczegółową rewizję w mieszkaniu Wł. Bartoszewskiego, autora głośnej książki „Ten jest z ojczyzny mojej” i znanego historyka, konfiskując mu szereg druków i pism.

27-10-70

Na uczelniach krajowych kształci się w roku bieżącym 280 studentów polonijnych z 18-tu krajów, w tym około 100 słuchaczy ze Stanów Zjednoczonych.

28-10-70

Dwóch studentów sowieckich zmusiło samolot kursujący między Kerczem a Krasnodarem do przymusowego lądowania w Turcji. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 85 lat, wybitny aktor dramatyczny Stanisław Jaworski.

30-10-70

W Związku Sowieckim podniesiono opłaty za paszport zagraniczny. Opłata na paszport na wyjazd na Zachód została podniesiona z 40 rubli na 400 rubli (około 100 dolarów). Opłaty te dotyczą również cudzoziemców zamieszkałych w Związku Sowieckim, a nie zatrudnionych w instytucjach oficjalnych.

1-11-70

Uczni polscy wyprodukowali tytoń, którego liście zawierają zaledwie 0,1 % nikotyny. Tytoń, który ma zapach normalny znajdzie się w sprzedaży już w roku przyszłym. ■ *Nasze Słowo*, pismo ukraińskie wychodzące w Warszawie, informuje, że Zakład Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk powołał do życia Komisję Ukrainistyczną, która ma opracować perspektywiczny plan studiów, poświęconych wybitnym postaciom literatury ukraińskiej. Projektowane jest również opublikowanie prac poświęconych literaturze ukraińskiej i polsko-ukraińskim stosunkom literackim. ■ Na lotnisku w Karaczi w czasie wizyty Przewodniczącego Rady Państwa PRL, M. Spychalskiego, zginął minister Spraw Zagranicznych, Zygfryd Wolniak. Ponadto zginęły 3 osoby, a 18 było rannych. Wypadek nastąpił na skutek wjechania ciężarówki w tłum osób odprowadzających M. Spychalskiego. Nie jest wykluczone, że był to zamach. Śledztwo trwa. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 67 lat, Stefan Dybowski, działacz społeczny i oświatowy.

3-11-70

W Warszawie zmarł, w wieku lat 69, pisarz i historyk Władysław Jan Grabski. Był on związany z grupą PAX. ■ Państwowe Wydawnictwa Naukowe wydały w 100 tys. egzemplarzy „Słownik Wiedzy Obywatelskiej”.

4-11-70

Zmarł w Poznaniu, w wieku 79 lat, Witold Jeszke, b. poseł na Sejm, senator Rzeczypospolitej, oficer 2-go Korpusu. ■ W Polsce ilość księży wynosi obecnie 16.839 (w 1937 r. — 11.394). Przeciętnie wyświęca się w ostatnich latach 412-458 księży rocznie. Na jednego księdza przypada 1.337 mieszkańców (przed wojną — 1.897). Na jedną parafię przypada ok. 5 tys. wiernych. Ok. połowa księży w Polsce nie ma jeszcze 40 lat. Jeśli idzie o pochodzenie społeczne to 58 % alumnów jest pochodzenia chłopskiego, 31 % poch. robotniczego, reszta — inteligencja. Większość kandydatów na księży pochodzi z prowincjonalnych szkół średnich. Najbardziej obfitują w powołania woj. pld.-wschodnie. ■ W najbliższym czasie ukażą się w Polsce dwie książki Wiktora Ostrowskiego, znanego podróżnika i b. oficera 2 Korpusu, zamieszkałego w Argentynie, a mianowicie „Antypody” w „Czytelniku” i „Moja Patagonia” w „Iskrach”.

5-11-70

W Swierdłowsku rozpoczął się proces A. Amalrika, znanego autora książki „Czy Związek Sowiecki przetrwa do 1984 roku?” i Lwa Ubojko. Obaj oskarżeni są o rozpowszechnianie kalumnii „antysowieckich”. Amalrik był aresztowany na początku maja br. ■ Znany archeolog prof. Kazimierz Michałowski otrzymał nagrodę im. Herdera w Wiedniu. ■ Prasa krajowa donosi, że: zwyciężcą VIII Konkursu Chopinowskiego został Amerykanin Garrick Ohlsson, II nagrodę zdobyła Japonka Mitsuko Uchida, a II Piotr Paleczny. Z okazji Konkursu działaczom kulturalnym i wybitnym artystom wręczono odznaki „Zasłużonego dla kultury polskiej”. Odznakę otrzymała m.in. Stefania Niekraszowa z Anglii — Prezes Zjednoczenia Polskich Artystów Muzyków za granicą — i pianista Witold Małcużyński, który położył szczególnie zasługi dla popularyzacji twórczości Chopina i Szymanowskiego w świecie.

8-11-70

W Polsce jeden statystyczny samochód przypada na 86 obywateli. ■ Rozpoczęła się odnowa największego i najgłębszego portu polskiego tzw. Portu Północnego, zlokalizowanego na północny-wschód od cypla Westerplatte, a przeznaczony do przeładunku towarów masowych (węgiel, paliwa płynne). ■ Czechosłowacja (wraz z NRD i Polską) zalicza się do trzech największych partnerów handlowych ZSSR. W ub. roku wartość wzajemnych dostaw towarów wyniosła ponad 2 mld. rubli.

13-11-70

Obecny rząd czechosłowacki obiecał „amnestię” dla intelektualistów czeskich i słowackich, którzy w latach 1968/69 publikowali czy solidaryzowali się z manifestami liberalnymi, pod warunkiem, że zrezygnują oni całkowicie z jakiegokolwiek działalności politycznej.

14-11-70

Rokowania polsko-niemieckie, które toczyły się ostatnio, praktycznie są zakończone. Kanclerz Brandt ma przybyć do Warszawy 10 grudnia br. dla podpisania układu.

Listy do Redakcji

Melbourne, 10 października 1970.

Szanowny Panie Redaktorze!

W zeszyte *Kultury* nr 6/273 czytam słuszne twierdzenie: „jeśli cokolwiek może zbliżyć Polaków do Rosjan to mówienie na głos o krzywdach i świadomość wspólnego cierpienia”. Nawiązując do tego i idąc po tej samej linii w dziedzinie zawitych stosunków polsko-żydowskich wyrażam zdanie, że aby powstała kiedyś możliwość obiektywnego zrozumienia i szczerego porozumienia między Polakami a Żydami, to trzeba przestać operować sloganami czy frazesami i starać się — póki żyje przedwojenne pokolenie naocznych świadków ówczesnej sytuacji — zgłębić otwarcie i bezstronnie sprawę rzekomego zła, jakie Żydzi mieli wyrządzać Polsce póki w niej żyli. W ten sposób chyba wiele spraw spornych lub niezrozumiałych się wyjaśni w interesie prawdy historycznej i lepszego układu stosunków w przyszłości.

Tak się stało, że pewien powojenny dziennikarz warszawski zwrócił się do mnie poprzez swojego ojca — mego starego towarzysza broni z czasów walk o Niepodległość — z prośbą o informacje na temat przedwojennej polityki rządu w stosunku do mniejszości a w szczególności tzw. kwestii żydowskiej. Staram się, opierając się wyłącznie na własnej pamięci (w braku jakichkolwiek materiałów na miejscu w Australii), wyjaśnić mu to trudne zagadnienie. W związku z tym, z uwagi na ogólniejsze znaczenie tych wypowiedzi, przytaczam poniżej wyjątki z moich dwóch ostatnich listów do mego korespondenta:

„Tak jak rozwój miast i rękodzieł miała Polska do zawdzięczenia w wiekach średnich kolonistom niemieckim, tak rozwój handlu wewnętrznego i zagranicznego zawdzięczała ludności żydowskiej. Było to historycznie uzasadnione gdyż szlachta handlem gardziła, a co najwyżej używano właśnie „Jankiela” jako pośrednika w łupieniu chłopów. W ciągu stuleci Żydzi się mnożyli, od czasu jak Kazimierz Wielki ich przygarnął; wyrażało to się przed ostatnią wojną cyfrą około trzech i pół miliona ludzi (10 % ludności). Byli wśród nich ludzie bogaci gdyż trudnili się handlem i w ten sposób dorabiali, ale znakomita większość Żydów to była biedota, żyjąca bodaj w większej nędzy niż bezrolny chłop. Wieś, na skutek rozdrobnienia, dostarczała dużego kontyngentu tanich sił roboczych do miast, gdzie już bez tego panowało bezrobocie. W tej sytuacji, w kraju nieuprzemysłowionym, bezrobotny Żyd nie mógł marzyć o pracy, nawet w dziedzinie robót publicznych: wszędzie istniała konkurencja zwana chrześcijańską, co utożsamiano z polską. Żydzi bez pracy stawali przy straganach, by cokolwiek gdziekolwiek móc handlować, zadawałając się znikomym zyskiem, choć i to wypominano im jako brudną konkurencję. Zagadnienie straganów może uchodzić za szczegół podrzędny ale charakterystyczny: ci straganiarze, szczególnie na prowincji polskiej, odzywiali się suchym chlebem i cebulą, ale i tego im zazdrościono, i tego im nie użyczano.

Rzecz prosta, że w stosunkach demokratycznych Żydzi asymilują się łatwiej: toleruje się mieszane małżeństwa, wielu odchodzi od żydostwa i wsiąka całkowicie w społeczeństwo rodzime; tak też było w przeszłości w Polsce. W wyniku procesów asymilacyjnych można bez przesady powiedzieć, że co

druga rodzina uchodząca za mieszczańską, choć zazwyczaj szlacheckiego pochodzenia, posiadała domieszkę krwi żydowskiej. Żydzi mieli udziały w polskiej sztuce, literaturze, nauce, w walkach o Niepodległość, w pracy społecznej; bijących w oczy przykładów jest nieskończona ilość. Kraj oczywiście na tym korzystał.

Ale w braku uprzemysłowienia i wśród trudności gospodarczych bezrobocie, a co za tym idzie, bieda, wzrastały. W takiej sytuacji szuka się kozła ofiarnego i coś łatwiejszego jak obwiniać Żydów. Przyczyniła się do tego w pewnych okresach propaganda (podstawa sukcesów politycznych endencji): powiadało się, że Żydzi opanowali handel, przemysł, aż do straganów. Otóż nie trudno było wykazać już wówczas, i sam twierdziłem tak już wtedy, iż Żydzi tworzyli swój udział w życiu gospodarczym Polski w pocie czoła, największym wysiłkiem a tu zaczęto przy pomocy kijów i gwałtu ich wypierać, wypychać stopniowo z zajętych pozycji, obsadzanych ludźmi niezdolnymi do prowadzenia nawet straganiarskiego interesu, ale „swoimi”. Nowe firmy ozdabiano przymiotnikami „polski”, „katolicki”, „narodowy”, lansując hasła „swój do swego”, „nie kupuj u Żyda” itp.

Nie była to droga dla pozyskania lojalnych obywateli! Nic dziwnego że w tych warunkach, propaganda syjonistyczna trafiała na podatny grunt i że młodzież żydowska zaczęła emigrować do Palestyny; wydawano jej wtedy paszporty z adnotacją uniemożliwiającą powrót do kraju! Trzeba było dopiero aby Minister Spraw Wojskowych, gen. Kasprzycki, postarał się o wstrzymanie wydawania tych paszportów gdyż nie mógł się pogodzić z utratą kontyngentu Żydów, stanowiącego około 300.000 żołnierzy!

I tak ulica nie rozumiała tego złożonego zagadnienia a politycy wygrywali na jej nastrojach. Bardzo było mało ludzi zdolnych zrozumieć tę prostą prawdę, że Żydzi mogą być lojalnymi obywatelami i manifestować przywiązanie do Państwa. A tymczasem stosunkiem do sprawy żydowskiej można mierzyć liberalizm, prądy demokratyczne albo reakcyjność ugrupowań i jednostek...”

„...Rzecz prosta, że głęboko zakorzenione przesady, wzajemne urazy, hasła demagogiczne stronnictw oraz wreszcie fala rasizmu zalewająca Polaków, musiały utrudniać racjonalne rozwiązanie tzw. kwestii żydowskiej.

O ile chodzi o życie gospodarcze i zarzut opanowania go przez Żydów, to wypada zrozumieć, że żywioł rdzennie polski, w XIX stuleciu — epoce powstawania gospodarki kapitalistycznej, nie chciał — chociaż mógł — oddawać się pracy w przemyśle, handlu czy bankowości; Państwa Polskiego, które by kanalizowało i orientowało racjonalnie te tendencje, wówczas nie było. Nic dziwnego, że cudzoziemcy, przybyli do kraju i Żydzi od stuleci tu osiedli, dawali impuls rozwojowi gospodarczemu w zaborach rosyjskim i austriackim (w zaborze niemieckim przemysł i handel były w niemałej mierze w rękach niemieckich). Wystarczy wspomnieć o zastęgach Kronenberga czy Blocha w dziedzinie komunikacji, Wawelberga czy Rotwanda (założycieli szkoły ich imienia) w przemyśle, Bergsona w cukrownictwie, Baczewskiego w gorzelnictwie i tylu innych. Przemysły łódzki, tomaszowski i biłostocki były również w przeważającej mierze dziełem Żydów. Oni uniezależnili nas od importu zagranicznych materiałów tekstylnych, dając zatrudnienie dla przeszło miliona rąk. Po odzyskaniu niepodległości, w roku 1918, Żydzi umieli dostosować się do nowych warunków ekonomicznych tworząc szereg nowych placówek gospodarczych i dziedzin produkcji: w Warszawie i Łodzi powstały przemysł pończosznicy, zatrudniający przeszło 40.000 robotników, przemysł jedwabny, przemysł bekonowy dla eksportu itd. Do tych dziedzin element rdzennie polski miał wszakże całkowity dostęp i pomoc ze strony odrodzonego Państwa w znacznie większym zakresie aniżeli Żydzi. Życie jednak udowodniło że np. gdy wypadło przejąć wielkie placówki przemysłowe jak Scheiblera i Grohmana, Geyera, Żyrardów — kapitał „rdzennie polski” nie chciał się tym zainteresować; i tak Bank Gospodarstwa Krajowego

stawał się w ostatnich latach przed drugą wojną — wbrew swej woli — właścicielem wielkich obiektów gospodarczych, których często uruchomić nie był w stanie (jak np. Wolfa w Bielsku czy P.P.G. w Grudziądzu). Należy przestudiować dzieło Henryka Tennenbauma pt. „Struktura gospodarza Pol-
ski”.

Jaka stąd konkluzja? Ogólnie rzecz biorąc Żydzi odegrali w polskim życiu gospodarczym — tam gdzie dokonać tego mogli — pozytywną rolę. Byli zaprawdę pionierami inicjatywy, rozwoju i postępu. Gdyby placówki te nie zostały przez nich stworzone i racjonalnie prowadzone, to albo w ogóle by nie istniały (i wtedy dalsze setki tysięcy polskich chłopów, nie znalazłszy miejsca w mieście, musiałyby emigrować do Stanów Zjednoczonych czy do Brazylii, aby wzbogacać obcych) albo też wielki kapitał zagraniczny stworzyłby w Polsce filie swoich przedsiębiorstw (a dochody szłyby za granicę).

Czyż Polska mogła życzyć sobie lepszych obywateli aniżeli tacy ludzie jak Tuwim czy Słonimski w literaturze, jak Janusz Korczak w pracy społecznej, jak Szymon Aszkenazy w nauce, jak Epsztajnowie czy Natansonowie w życiu gospodarczym i cała plejada innych, których synowie i wnuki całkowicie wsiąknęli w społeczeństwo polskie i niejednokrotnie potem w obronie Rzeczypospolitej krew przelewali? Dyskryminacja i nietolerancja, praktykowane pod płaszczykiem „patriotyzmu”, wbrew pięknym tradycjom Polski przedrozbiorowej, zrobiły Ojczyźnie nieskończenie wiele złego; obecna eksterminacyjna polityka dzisiejszych władców Polski w stosunku do niedobitków żydostwa polskiego nawiązuje właśnie do tych złych przykładów niedawnej doby.

O tym trzeba nam dzisiaj jasno mówić, aby przeszkodzić późniejszemu fałszowaniu historii...”.

Leon HOLZER

Autor, były oficer I-szej Brygady Legionów, kawaler orderu Virtuti Militari, był uczestnikiem walk o Niepodległość w pierwszej i drugiej wojnie światowej, a w okresie międzywojennym przewodniczył w Polsce Związkowi Żydów, uczestników walk o Niepodległość.

Londyn, 15 listopada 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Grubiańska forma listu p. Tadeusza Bieleckiego z Windsoru (*Kultura*, listopad 1970 r.) zwalnia mnie od odpowiedzi. Muszę jednak liczyć się z czytelnikami *Kultury*, którzy mogliby poczytywać moje milczenie za zgodę na treść listu a co najmniej zakłopotanie, muszę także liczyć się z przyszłymi historykami emigracji. Bardzo niechętnie, biorę więc mimo wszystko za pióro.

P. Bielecki powołuje się na logikę, ale jego własna logika szwankuje. Generał Odzierzyński przeciwstawił swoją kandydaturę do Rady Trzech mojej kandydaturze, ale p. Bielecki pisze o mojej napaści na p. Odzierzyńskiego. Generał Odzierzyński wystosował do *Dziennika Polskiego* obelżywy w stosunku do mnie list, ale p. Bielecki pisze o mojej napaści na p. Odzierzyńskiego. Tak wygląda świat, oglądany z pozycji człowieka stojącego na głowie, taką też pozycję zajął p. Bielecki i tak przedstawia się jego logika.

Nie na tym koniec. P. Bielecki utrzymuje — cytuję dosłownie — że generał Odzierzyński jest człowiekiem bardzo przez wszystkich szanowanym, o nieskazitelnym charakterze, o najwyższych wartościach moralnych, uczciwym, porządnym, szlachetnym i zacnym. Moje zdanie o generale Odzierzyńskim było, jest i pozostanie dokładnie takie samo, przy czym wybaczam mu obelżywy w stosunku do mnie list, jako że generał Odzierzyński pisząc ten

list oparł się na plotkach z magla i na niezgodnym z prawdą sprawozdaniu w *Mysli Polskiej*. Polemika na temat walorów generała Odzierzyńskiego byłaby zatem zbyteczna. Rzecz w tym, że p. Bielecki nie poprzestaje na wyżej przytoczonych superlatywach, lecz uważa za właściwe przeciwstawić generała Odzierzyńskiego mojej osobie w płaszczyźnie nie politycznej, lecz etycznej. Wedle p. Bieleckiego, Ciołkosz jest w tej płaszczyźnie antytezą Odzierzyńskiego, gdyż Odzierzyński to człowiek, który — znowu cytuję dosłownie — „to co mówi i myśli to i robi”, Ciołkosz zaś to człowiek, który „co innego mówi, co innego myśli i co innego robi”. Taka ocena mojej osoby byłaby dopuszczalna pod warunkiem, że jej autor uprawdopodobnił swoje o mnie mniemanie, lecz tego p. Bielecki nawet nie próbował uczynić. Muszę wobec tego rozumieć jego słowa jako obelgę. Przynosi ona ujmę nie mnie, lecz jej autorowi. I obelgę i jej autora traktuję tak jak na to zasługują, to jest z pogardą.

P. Bielecki utrzymuje, że członkowie Rady Jedności Narodowej mieli do wyboru człowieka „uczciwego, porządnego i szlachetnego” w osobie generała Odzierzyńskiego i człowieka, który „co innego mówi, co innego myśli i co innego robi” w osobie Ciołkosza, nie więc dziwnego, że wybrali tego pierwszego. Potwierdzenie znajduje p. Bielecki w liczbach oddanych głosów — 41 za Odzierzyńskim, 29 za Ciołkoszem, tak jak gdyby głosowaniem można było rozstrzygać o walorach etycznych człowieka. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna; sztydło wylaży z worka w końcowych słowach listu p. Bieleckiego, tam gdzie pisze: „Nie chcemy być tumanieni socjalizmem”. I rzeczywiście, nie zostałem wybrany, gdyż jestem socjalistą, a generał Odzierzyński został wybrany, gdyż odegrał, a raczej miał odegrać w całej tej operacji wyborczej rolę tarana antysocjalistycznego. O jego zwycięstwie wyborczym zadecydowała zmowa dwóch ugrupowań, Niezależnego Klubu Społecznego i Stronnictwa Narodowego. Wyniki były jednak żałosne, a na dowód przytoczę dwa fakty. W listopadzie 1968 r. zgłosił się do mnie p. Szadkowski, prezes Niezależnego Klubu Społecznego z prośbą, bym kandydował do Rady Trzech na jej nową kadencję i przyrzekając poparcie swego klubu, który poprzednio głosował na generała Odzierzyńskiego. W październiku 1969 r. z taką samą prośbą i takim samym przyrzeczeniem zgłosił się do mnie p. Dargas, prezes klubu Stronnictwa Narodowego. Jak z tego wynika, mogłem być być z końcem 1969 r. wybranym członkiem Rady Trzech jednomyślnie i jednogłośnie, przy poparciu wszystkich bez wyjątku klubów Rady Jedności Narodowej. Jeśli obu wymienionym tu panom odmówiłem, to właśnie dlatego, by nie być uważanym za pyszałka, który kierowany ambicją osobistą ugania się za zaszczytami, tytułami i wysokimi godnościami. W rzeczywistości, nie są mi one do niczego potrzebne.

Doprawdy nie wiem, jaki odsetek emigracji zna moje nazwisko, nie wiem także i nie zamierzam dochodzić, jaki odsetek emigracji zna nazwisko generała Odzierzyńskiego. Może jednak powinien zwrócić uwagę p. Bieleckiego fakt, że w następnych wyborach do Rady Trzech nikt już nie postawił kandydatury generała Odzierzyńskiego, on sam zresztą wycofał się z areny, chociaż od początku tj. od r. 1954 istnieje zwyczaj, że raz wybranych członków Rady Trzech wybiera się ponownie, chyba że zeszedł z tego świata. Jedynymi wyjątkami byli generał Odzierzyński i dr Mglej, obaj — wybrani przeciwko kandydatom PPS. Najwidoczniej okazało się, że wóz polskiej polityki emigracyjnej nie ujedzie bez PPS i wbrew PPS. Stąd też widać, że ci co wysunęli i poparli w r. 1966 kandydaturę generała Odzierzyńskiego popełnili ciężki błąd polityczny, popełnił go też generał Odzierzyński, przyjmując kandydaturę. Potwierdzenie znalazłem w cytowanej już rozmowie z p. Dargasem w dniu 21 października 1969 r. Gdy go zapytałem, jak się to dzieje, że Stronnictwo Narodowe prosi mnie o kandydowanie i przyrzeka swe poparcie, mimo że w roku 1966 zrezygnowało z własnego kandydata

p. Berezowskiego i przerzuciło swe głosy na generała Odzierzyńskiego, byle tylko nie dopuścić do mego wyboru — usłyszałem w odpowiedzi słowa: „Żle oceniliśmy sytuację”. Oczywiście wyjaśnienie to nie wpłynęło w niczym na moją decyzję — odmowną.

Zwrotu o „czasach ery” (sic!) kiełbas wyborczych w liście p. Bieleckiego nie rozumiem. Byłem wybrany posłem na Sejm dwa razy: w roku 1928 i 1930, przy czym ani razu nie posługiwałem się rozdawnictwem kiełbas wyborczych, po pierwsze dlatego, że nie było mnie na nie stać, po drugie dlatego, że nie leżało to w moich obyczajach i w ogóle nie leżało w obyczajach PPS. Na temat masonerii nie wypowiadam się, wzięcie jej w obronę pozostawiam masonom. P. Bieleckiego i jemu podobnych proszę, by na przyszłość zaniechali pisywania listów na mój temat i w ogóle nie interesowali się moją osobą, gdyż nigdy, w żadnym wypadku nie zamierzam ubiegać się o żadne godności i stanowiska w kierowniczych i reprezentacyjnych ciałach emigracji politycznej. Proszę więc pozostawić mnie w spokoju.

Łączę wyrazy uszanowania,

Adam CIOŁKOSZ

New York, 9 listopada 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wobec ogłoszonych w Nrze 18 *Zeszytów Historycznych* wysoce napastliwych komentarzy-zarzutów przez pka Włodzimierza Onacwicza do mojej książki „Z generałem Sikorskim na obczyźnie” niniejszym podaję do wiadomości ogółu Pp. czytelników *Kultury*, że moja odpowiedź na bezpodstawne zarzuty będzie ogłoszona w następnym Nrze *Zeszytów Historycznych*.

Łączę wyrazy poważania i szacunku,

Leon MITKIEWICZ

Londyn, 15 października 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Protest

6 sierpnia przelałem Panu krótki list z prośbą o ogłoszenie go. Jest oczywistym prawem redaktora odrzucić list, jednakże sędzę, że redakcja nie ma prawa „streszczania” czyjegokolwiek rękopisu w taki sposób, aby zamazać bieg myślowy autora. To właśnie Pan zrobił z moim listem, „odnotowując” otrzymanie go w październikowym numerze *Kultury*. Protestuję przeciwko podobnej metodzie traktowania korespondencji i proszę czytelników *Kultury*, aby uważali wymienione „streszczenie” za nieważne i niebyłe.

Stanisław ZARZEWSKI

Kultura wystosowała poniższy list do Redakcji *Informations Catholiques Internationales* w Paryżu:

Szanowny Panie Redaktorze,

5 listopada 1970.

Zupełnie przypadkowo przeczytaliśmy artykuł p. Jean Offredo, zamieszczony 1 września br. w 367-ym numerze Pana pisma, pt. „Trudna droga do odnowy”.

Nie wchodząc w meritum tego artykułu — co mamy nadzieję zrobić

osoby bardziej kompetentne od nas — chcemy sprostować jedynie informacje p. Offredo dotyczące naszego miesięcznika *Kultura*.

P. Offredo pisze dosłownie:

„...I tak pewien kronikarz pisma emigrantów *Kultura*, wychodzącego w Paryżu, zarzuca biskupom w ogóle, a kardynałowi-prymasowi w szczególności, że się „kompromitują” współpracując z reżymem, i grozi, że odetnie zasiłki, które pomagają hierarchii polskiej przychodzić z pomocą potrzebom Kościoła, w szczególności w zakresie pracy wydawniczej”.

Pragniemy kategorycznie stwierdzić, że nigdy w *Kulturze* nie ukazało się tego rodzaju oskarżenie, które jest tak samo niepoważne jak posądzenie nas o groźbę „odcięcia zasiłków”. Jest śmiesznym insynuować, że niezależne pismo emigracyjne, które samo walczy z trudnościami finansowymi, może finansować Kościół w Polsce, czy mieć wpływ na jego finanse. Zajmując się międzynarodowym ruchem katolickim są zapewne Panowie w posiadaniu danych stwierdzających jak wielką jest organizacja Kościoła polskiego i jak — mimo szyskan i trudności ze strony władz — wielki jest katolicki ruch wydawniczy w Polsce.

Chcielibyśmy ponadto zwrócić uwagę, że podobna insynuacja, zamieszczona w piśmie tak poważnym, jak pismo Panów, może być wykorzystana przez komunistyczne władze Polski Ludowej jako argument, że Kościół jest finansowany przez „wrogie czynniki”. Gwałtowna kampania władz Polski Ludowej, prowadzona przeciwko *Kulturze* od wielu lat, jest znana nie tylko polskim emigrantom, ale także wielokrotnie była omawiana na łamach prasy światowej z prasą francuską na czele.

Powołując się na obowiązujące zwyczaje uprzejmie proszę Pana Redaktora o zamieszczenie tego listu w Pana poczytnym piśmie.

REDAKTOR „KULTURY”

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDYJCJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOSNIĘ POLSKĄ RWE ZE SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRAJOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn. MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamówienia. *Prenumerata roczna z przesyłką* £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Indeks autorów i tematów «Kultury» za rok 1970

Spis autorów

ANDRZEJEWSKI Jerzy. — BARWICZ Romuald, BAUMAN Zygmunt, BIELECKI Tadeusz, BIENKOWSKA Danuta Irena, BIENKOWSKI Władysław, BORAK William, BRODZIŃSKI Konrad, BRUDEK Andrzej Franciszek, BRUKSELczyk, BRZEZIŃSKI Zbigniew, BYRSKI Zbigniew, BYSTRINA Ivan. — CHCIUK Andrzej, CHYLIŃSKA Kamila, CIASTOŃ Jan, CIOŁKOSZ Adam, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan. — DANILEWICZOWA Maria, DOBEK Czesław, DORSKI Henryk, DREWNOWSKI Jan, DWORZECKA Jolanta, DŻILAS Milovan. — GARLIŃSKI Józef, GĘGOREK Alojzy, GIDYŃSKI Józef, GNIATCZYŃSKI Wojciech, GOMBIŃSKI Stanisław, GOMBROWICZ Rita, GOMBROWICZ Witold, GORSKI Bohdan J., GRABOWSKA Alina, GRONOWICZ Antoni, GRONOWSKI Roman, GRYNBERG Henryk. — HARASZEWSKI Józef D., HARDY-MIKUCKI Alexander J., HAUPT Zygmunt, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HOLZER Leon. — I. S., ISTNER Filip. — JAROSŁAWSKI Roman, JARZEMSKI Piotr, JELEŃSKI Konstanty A., JĘDRKIEWICZ Andrzej, JURIK Viktor, Ks. — KALEN Rudolf, KARCZ Jerzy F., KLEPACZKO Józef, KLIERT Jan, KLUGMAN Aleksander, KOMORNICKI Stefan, KORPOWSKI Bolesław, KOSTEK Hanna, KOSZELIWEK Iwan, KOWALEWSKI Janusz, KOWALIK Jan, KOWALSKI Jan, KOZŁOWSKI S. W., KRAJEWSKI Jan, KRANTZE Jerzy W., KRUCZEK Adam, KRYGIER Ryszard, KRZYŻANOWSKI Jerzy R., KUŚ K., KWARC Seweryn, KWIATKOWSKI Bohdan. — LASKOWSKI Piotr, LEC St. Jerzy, LEDOCHOWSKI Włodzimierz, LENC Zofia, LEWANDOWSKI Józef, LEWICKYJ Borys, LONDYŃCZYK, LOURIE Richard, LUBELSKI Andrzej. — ŁANIEWSKI St., ŁOBODOWSKI Józef, ŁYSEK Paweł. — MACIE-

JOWSKI Jerzy, MAŁACHOWSKA M., MAURER Jadwiga, m. d., MIECZYŚLAWSKA Aniela, MIELNICKI Zenon, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MITKIEWICZ Leon, MOHORTYŃSKI Piotr, MORAWSKI Dominik, MOSTWIN Danuta, MOSTWIN Jacek Lech, MROZEK Sławomir. — NORWID Cyprian, NOSEL J. — OSADCZUK Bohdan, OSTASZEWSKI Jan, OSTROWSKI A. S. — PAWLIKOWSKI Michał K., PECZENIK Aleksander, PELIKAN, PIETRKIEWICZ Jerzy, PODKOMORSKA Danuta, POMORSKA Jadwiga, PPS - CK, PUACZ Edward. — RABIN Mojżesz, REDAKCJA, ROGALSKI Stanisław, r. k., RONCHEY Alberto, RUDNYCKYJ Jarosław B., RZYMIANIN. — SABBATOWNA Anna, SACHAROW Andrej, SCHOENFELD Henryk, SEYFERT Czesław, SIEMASZKO Zbigniew S., SKAWA Dawid, SŁUCKI Arnold, SOJKA Wojciech, Ks., SOLARZ Irena, SOŁOWIJ Tadeusz, SOŁŻENICYN Aleksander, SPORADYCZNA CZYTELNICZKA, STOSIUS Jerzy, SUTKOWSKI Adam, SZALAŃWA Władysław P., SZENFELD Ignacy, SZPERAK Jerzy, SZRENIAWA Władysław, SZTEIN E., SZUBSKA Barbara, SZULCZYŃSKI Leon. — TARNAWSKI Wit, TERLECKI Tymon, TOROSIEWICZ Jan, TYRMAND Leopold. — ULATOWSKI Jan, ULLMANN Tadeusz. — WACOWSKA Ewa, WANDYJCZ Damian S., WANDYJCZ Piotr, WEINTRAUB Wiktor, WODZICKI Kazimierz, WOŹNICKI Andrzej, Ks., W. S., W. W., WYGODZKI Stanisław, WYZIEMBŁO Marcin, W. Z. — ZABRZEWSKI Aleksander, ZAKRZEWSKI M. D., ZALESKI Eugeniusz, ZARZEWSKI Stanisław, ZBROŹEK J., ZDZIECHOWSKI Paweł, ZIELIŃSKI Michał. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

ANDRZEJEWSKI Jerzy: *Nad grobem Pawła Jasienicy* (10/277).
BYRSKI Zbigniew: „Nowa lewica” a lewica antykomunistyczna (7/274-8/275).
— *Rewizjonizm polityczny w Europie Wschodniej* (1/268-2/269).
— *Światowa Konferencja Młodzieży* (9/276).
— *Wywiad z prof. I. Svitakiem* (9/276).
BRUKSELczyk: *Widziane z Brukseli* (4/271, 5/272, 6/273, 7/274-8/275, 9/276, 10/277, 11/278, 12/279).
CHYLIŃSKA Kamila: *Emigracja polska po 1967 r.* (11/278).
CZAPSKI Józef: *Charles de Gaulle* (12/279).
CZAPSKI Józef i HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dialog o Dowodcy* (7/274-8/275).
DREWNOWSKI Jan: *Socjalizm w Polsce* (9/276).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Lenin-Stalin* (10/277).
— *Rozmowa z Dżilasem* (1/268-2/269).
— *Wściekła lewicy* (11/278).
HERTZ Aleksander: *O buncie młodych* (1/268-2/269).
KOMORNICKI Stefan: *Czy zmiana kierunku?* (7/274-8/275).
KOSTEK Hanna: *Struś a sprawa polska* (7/274-8/275).

- LEDÓCHOWSKI Włodzimierz: *Apartheid w Afryce Południowej* (7/274-8/275).
- LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/268-2/269, 3/270, 5/272, 6/273, 7/274-8/275, 9/276, 10/277, 11/278).
- MIELNICKI Zenon: *W polskich oczach* (5/272) (w numerze mylnie podano, że autorem jest Tomasz Staliński).
- MIEROSZEWSKI Juliusz: *Chińczycy poza Chinami* (9/276).
 — *Dyskusje z czytelnikami (I)* (3/270).
 — *Europa poczdamska* (10/277).
 — *Futurologia Polski* (6/273).
 — *Instytucjonalizm i protest* (12/279).
 — *Legat z lat sześćdziesiątych* (1/268-2/269).
 — *Lekcja indochińska i chińska* (7/274-8/275).
 — *Może zdarzyć się i tak* (4/271, 5/272).
- PELIKAN: *Sycić nieporozumienie* (11/278).
Protesty intelektualistów czeskich w sprawie Kuronia i Modzelewskiego (5/272).
- RONCHEY Alberto: *Studenci jako „klasa”* (7/274-8/275), przekł. z włoskiego Paweł Zdziechowski.
- SIEMASZKO Z. S.: *Rozmowa z gen. Andersem* (7/274-8/275).
- SCHOENFELD Henryk: *Zawiłości i uproszczenia* (3) (12/279).
Śmierć Generała Andersa (6/273).
- TYRMAND Leopold: *Dowcip* (3/270).
Wydarzenia miesiąca (1/268-2/269, 3/270, 4/271, 5/272, 6/273, 7/274-8/275, 9/276, 10/277, 11/278, 12/279).
- WYZIEMBŁO Marcin: *A propos Rotszylldów* (9/276).
 — *Odwrotna strona słowianofilstwa* (9/276).
- W.Z.: *Rzeczywistość polska — inaczej* (3/270).
- ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. Ronchey Alberto.
Z ostatniej chwili: (7/274-8/275).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

- Aleksander Sołżenicyn (11/278).
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Rione terra* (5/272).
- KOSTEK Hanna: *Glossy do książki Grudzińskiego* (4/271).
- ŁYSEK Paweł: *Na Zaolziu* (6/273).
- MIŁOSZ Czesław: *O historii polskiej literatury, wolnomyślicielach i masonach* (4/271).
 — *Science fiction i przyjście Antychrysta* (12/279).
 — *Zapiseane wczesnym rankiem* (1/268-2/269).
- MROŻEK Sławomir: *O polskim artyście* (11/278).
- SOŁŻENICYN Aleksander: *Wiersze prozą* (11/278), przekł. z rosyjskiego Ignacy Szenfeld.
- SZENFELD Ignacy (tłumacz) ob. Sołżenicyn Aleksander.
- WEINTRAUB Wiktor: *Kończakowski — czyli krytyk jako ekspresjonista* (1/268-2/269).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

- BIENKOWSKA Danuta Irena: *Głupstwa i niegłupstwa* (6/273).
- CHCIUK Andrzej: *Dlaczego, rozumiesz pan, ja w to nie wierzę* (10/277).
- DWORZECKA Jolanta: *Wycieczka* (6/273).
- GRYNBERG Henryk: *Ojczyzna* (12/279).
- HAUPT Zygmunt: *Balon* (9/276).
 — *Baskijski diabeł* (5/272).
 — *E! pe!ele* (1/268-2/269).
- KWARC Seweryn: *Honor* (3/270).
 — *Przeniesienia* (3/270).
- LUBELSKI Andrzej: *Gdzie rosną poziomki...* (10/277, 11/278, 12/279).
- MAURER Jadwiga: *Area Code 415* (1/268-2/269).
 W.S.: *Pałeczki* (10/277).
- WYGODZKI Stanisław: *Ja go znajdę* (1/268-2/269).

Utwory poetyckie

- BIENKOWSKA Danuta Irena: *W dwóch słowach* (3/270).
- ISTNER Filip: *Dlaczego* (3/270).
 — *Endokrynologia i Esseńczycy* (5/272).
 — *W Nazarecie* (3/270).
- LEC St. Jerzy: *Ci, którzy jedli* (3/270).
- NORWID Cyprian: *Powiedz im* (4/271).
- SŁUCKI Arnold: *Azja* (1/268-2/269).
 — *Do cieni* (1/268-2/269).
 — *Modus* (1/268-2/269).
 — *Reportaż* (12/279).
 — *Tego chcecie...* (12/279).
 — *Z buszu* (1/268-2/269).
 — *Z podróży* (12/279).
 — ***** (12/279).
- WYGODZKI Stanisław: *Z cyklu „Drzewo Ciemności”* (12/279).

Sprawy krajowe

- BARWICZ Romuald: *UBE a sowiecka służba bezpieczeństwa* (6/273).
- BIENKOWSKI Władysław: *Katechizm rolniczy* (11/278).
B. Margueritte z „Monde'u” o procesie (4/271).
Czarna lista (1/268-2/269, 3/270, 4/271, 5/272, 7/274-8/275).
- DWORZECKA Jolanta: *Jak kupuje PAX?* (7/274-8/275).
- GĘGOREK Alojzy: *Przegląd prasy polskiej — czerwiec 1972* (3/270).
- GIDYŃSKI Józef: *Stanisław Hejnowski* (1/268-2/269).

- GRYNBERG Henryk (tłumacz) ob. Lourie Richard.
 GUTOWSKI Antoni: *Jest źle — będzie gorzej* (9/276).
 — *Statystycy i statyści* (4/271).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (7/274-8/275).
 JAROSŁAWSKI Roman: *List z Kraju* (10/277).
 LOURIE Richard: *Amerikanin w Warszawie* (5/272) przeł. z angielskiego Henryk Grynberg.
Organizowanie dywersji ideologicznej (4/271).
 RABIN Mojżesz: *List z Kraju* (12/279).
W Kraju po procesie (4/271).
Zamiast humoru krajowego (11/278).
Z prasy krajowej (1/268-2/269).
 ZIELIŃSKI Michał: *Po inwazji* (4/271).

Sąsiedzi

- BRODZIŃSKI Konrad: *Lenin za gumę do żucia* (dok.) (1/268-2/269).
 BYSTRINA Ivan: *Czas płaczu proroków i zasada nadziei* (4/271), przeł. z czeskiego Jan Torosiewicz.
Comes (4/271).
Humor sowiecki (10/277).
 I. S. (tłumacz) ob. Koszeliwec Iwan.
„Kak pachniet Rassijej” (6/273).
Kołakowski w „Samizdacie” (4/271).
 KOSZELIWEC Iwan: *Paradoksy rzeczywistości ukraińskiej* (6/273), przeł. z ukraińskiego I. S.
 KOZŁOWSKI S. W.: *Przegląd niemiecki* (1/268-2/269).
 KRUCZEK Adam: *„Samizdat”* (3/270).
 — *W sowieckiej prasie* (1/268-2/269, 3/270, 5/272, 6/273, 7/274-8/275, 10/277, 11/278, 12/279).
 LEWICKIYJ Borys: *ZSSR u progu lat 70-tych* (5/272).
 — *Sowiecka biurokracja a społeczeństwo* (9/276).
List Wiktora Hugo do Herzena (4/271).
 OSADCZUK Bohdan: *Pakt sowiecko-niemiecki* (9/276).
 SACHAROW Andrej: *List do Leonida Breżniewa* (4/271).
 SZENFELD Ignacy: *Twardowski — „Nowyj Mir”* (5/272).
 SZRENIAWA Władysław: *Notatnik z podróży po Czechach* (11/278).
 TOROSIEWICZ Jan (tłumacz) ob. Bystrina Ivan.
 WYZIEMBŁO Marcin: *Genealogia Lenina* (6/273).
 — *Gra* (7/274-8/275).
 ŻAGIELL E.: *Stosunki polsko-litewskie w 1968 roku* (1/268-2/269).

Obserwatorium

- BAUMAN Zygmunt: *List do Redakcji* (3/270).
 DŻILAS Milovan: *Ponad dogmatem* (11/278), przeł. z serbskiego Jan Kligert.

- HERLING-GRUZIŃSKI Gustaw: *Doświadczenia syberyjskie* (9/276).
 — *Maszyna na złom* (3/270).
 KLIGERT Jan (tłumacz) ob. Dżilas Milovan.
 PELIKAN: *Polityka jako potęga chorobotwórcza* (12/279).
Proces (4/271).
 REDAKCJA: *Proces 5-ciu intelektualistów* (3/270).
 RZYMIANIN: *Włoski Manifest Komunistyczny* (1/268-2/269).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- BYRSKI Zbigniew: *Uwagi o książce Pauliny Preiss „Biurokracja totalna”* (3/270).
 CZAPSKA Maria: *Powstanie Warszawskie — inaczej* (10/277).
 CZAPSKI Józef: *Naufragio ereptis* (3/270).
 DANILEWICZOWA Maria: *Krajowe nowości wydawnicze* (1/268-2/269, 4/271, 6/273, 9/276, 10/277, 11/278).
 DOBEK Czesław: *Saga rodu Wężyków* (10/277).
 DWORZECKA Jolanta: *Nowości prozy amerykańskiej* (9/276).
 — *Trochę o prozie amerykańskiej* (10/277, 12/279).
Dziwna pomyłka (7/274-8/275).
 HEYDENKORN Benedykt: *Cześć i Słowacy w Kanadzie* (11/278).
 — *Publikacje słowiańskie w Kanadzie* (12/279).
 KRZYŻANOWSKI Jerzy R.: *Polonica americana* (I) (6/273).
 LEWANDOWSKI Józef: *„Dzieje przemysłu” Al. Bocheńskiego* (9/276).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Literacka Madame zwiedza Hiszpanię* (7/274-8/275).
 — *Rustaweli w wersji Jerzego Zagórskiego* (7/274-8/275).
Nadestane nowości wydawnicze (1/268-2/269, 3/270, 4/271, 5/272, 6/273, 7/274-8/275, 9/276, 10/277, 11/278, 12/279).
 PAWLIKOWSKI Michał K.: *O ostatniej powieści J. Mackiewicza* (6/273).
 POMORSKA Jadwiga: *Niemiecka książka o Polsce* (10/277).
 SOJKA Wojciech, Ks.: *Krótką historią narodu chińskiego* (7/274-8/275).
 SUTKOWSKI Adam: *Europa Wschodnia w IX stuleciu* (3/270).
 SZPERAK Jerzy: *Dygresje o polskim marksizmie* (10/277).
 SZULCZYŃSKI Leon: *Wolność dla Dobrowolskiego Stanisława Ryszarda* (7/274-8/275).
 TARNAWSKI Wit: *Conrad ma własną bazę* (4/271).
 WACOWSKA Ewa: *W stronę gorzkiej refleksji* (5/272).
 WANDYCZ Piotr: *Na marginesie książki „Roman Dmowski”* (7/274-8/275).
 WYGODZKI Stanisław: *„Mała Encyklopedia Powszechna”* (4/271).

Straty kultury polskiej

- CZAYKOWSKI Bogdan: *Tadeusz Peiper* (5/272).
In memoriam (11/278).
 LEWANDOWSKI Józef: *Paweł Jasienica* (10/277).
 — *Tadeusz Manteuffel* (11/278).
 MIŁOSZ Czesław: *Mieczysław Grydzewski* (3/270).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *List o St. Czerniku* (3/270).
 TERLECKI Tymon: *Grydzewski* (4/271).
 ZALESKI Eugeniusz: *Wiktor Żółkowski* (3/270).

Kronika kulturalna

- CZAPSKI Józef: *Matisse i troglodyta* (10/277).
 — *Śmierć Mauriaca* (10/277).
 — *Wyrwane strony* (12/279).
 GIDYŃSKI Józef: *Florian Znaniński — klasykiem socjologii* (6/273).
 GOMBROWICZ Witold: *List do Ferdynandów* (1/268-2/269).
 GRABOWSKA Alina: *Czy w Tel-Avivie powstanie polonistyka?* (10/277).
 JARZEMSKI Piotr: *Muzyka polska na festiwalu paryskim* (1/268-2/269).
 JELEŃSKI K. A.: *Czy „inny” Gombrowicz* (5/272).
 KOWALSKI Jan: *Zepchnięta na margines* (7/274-8/275).
 m.d.: *W oczach Londynu* (11/278).
Nieznana Maria Dąbrowska (1/268-2/269).
 SEYFERT Czesław: *Festiwal filmowy w San Francisco* (1/268-2/269).
 SUTKOWSKI Adam: *Historyczna panorama muzyki Europy Wschodniej* (4/271).
 — *Muzyka w Europie Wschodniej (dok.)* (1/268-2/269).
 — *Pożegnanie humanisty* (1/268-2/269).
 — *Śmierć A. Hedleya* (6/273).
 WANDYCZ Damian S.: *O Boyu-Żeleńskim* (6/273).
 W. W.: *Czy nieznana Dąbrowska* (10/277).

Komunikaty

- Apel do „Wetzińców”* (4/271).
Centrala Bibliotek Ruchomych w Londynie (6/272).
Dyworsja wśród Sokotów we Francji (3/270).
Działalność Biblioteki Polskiej w Londynie (4/271).
Fundusz im. Harry A. Jankiewicza (10/277).
Fundusz Stypendialny im. Gen. Sosnkowskiego (1/268-2/269).
„Grandeurs et misères” (3/270).
„Komitet Naarden — Czechostowacja” (1/268-2/269).

- Komitet uczczenia pamięci St. Starzyńskiego* (1/268-2/269).
Kongres Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na obczyźnie (6/273, 11/278).
Nagrody Fundacji im. A. Jurzykowskiego (3/270).
Nagrody Fundacji im. Kościelskich (3/270).
Plastycy w Kongresie Kultury (3/270).
Półwiecze istnienia Polskiej Łoży „Kopernik” (1/268-2/269).
Stypendia Fundacji Kościuszkowskiej (1/268-2/269).
Stypendia „Polonia Technica” (4/271).
Subskrypcja na „Dzieła Gombrowicza” (1/268-2/269, 3/270, 4/271, 5/272, 6/273).
Subskrypcja na książkę St. Vincenza (7/274-8/275).
Szkoła Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej (9/276).
Two Przyjaciół paryskiej „Kultury” w Melbourne (4/271).
Two Przyjaciół paryskiej „Kultury” w Toronto (4/271).
Udział Żydów Polskich w życiu Ameryki (6/273).
Uniwersytety U.S.A. a nowa emigracja (3/270).
Wyróżnienie prof. W. Sworakowskiego (3/270).
Wyróżnienia literackie w Kraju (3/270).
Zjazd Kadetów (1/268-2/269).

Sprawy i troski

- CHCIUK Andrzej: *Latarnicy* (3/279).
Emigracja polska w Australii (4/271).
 GRABOWSKA Alina: *Dom Polski w Jerozolimie* (6/273).
Kanadyjskie przepisy imigracyjne (10/277).
 KOWALIK Jan: *W sprawie Muzeum Polskiego w Chicago* (1/268-2/269).
 MOSTWIN Danuta: *Polonia Amerykańska* (5/272).
 — *Prawda o Polakach* (3/270, 9/276).
 MOSTWIN Jacek Lech: *Dziennik i listy z podróży do Polski* (4/271).
Możliwości emigracji do Afryki Płd. (4/271).
 PUACZ Edward: *Przed Konwencją Kongresu Polonii Amerykańskiej* (7/274-8/275).
 — *Śmierć Górnika* (4/271).
 r. k.: *Emigracja do Australii* (6/273).
 SABBATOWNA Anna: *„Polka” w Leeds* (3/270).
 SOJKA Wojciech, ks.: *Polska sinologia* (1/268-2/269).
 TERLECKI Tymon: *Danuta Mostwin i jej ankieta* (7/274-8/275).
Z działalności organizacji kobiecych (7/274-8/275).

O religii bez namaszczenia

- JURIK Viktor, ks.: *Kościół wobec emigrantów* (1/268-2/269).
Konfrontacja (12/279).
 KRAJEWSKI Jan: *Refleksje katolickie* (1/268-2/269).

WOŹNICKI Andrzej: *Kościelne zagrożenie migracji* (3/270).
— *W poszukiwaniu księdza polonijnego* (10/277).
Zjazd duchowieństwa polonijnego w Rzymie (1/268-2/269).

Wolna trybuna

BRZEZIŃSKI Zbigniew: *Dylematy sowieckiej współczesności* (3/270).
PECZENIK Aleksander: *Kwadratura koła socjalizmu* (7/274-8/275).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

LOURIE Richard: *Amerykanin w Warszawie* (5/272), przeł. Henryk Grynberg.

Z języka czeskiego

BYSTRINA Ivan: *Czas płaczu proroków i zasada nadziei* (4/271), przeł. Jan Torosiewicz.

Z języka rosyjskiego

SOŁŻENICYN Aleksander: *Wiersze prozą* (11/278), przeł. Ignacy Szenfeld.

Z języka serbskiego

DŽILAS Milovan: *Ponad dogmatem* (11/278), przeł. Jan Kligert.

Z języka ukraińskiego

KOSZELIWEK Iwan: *Paradoksy rzeczywistości ukraińskiej* (6/273), przeł. I. S.

Z języka włoskiego

RONCHEY Alberto: *Studenci jako „klasa”* (7/274-8/275), przeł. Paweł Zdziechowski.

Bibliografie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1970 (12/279).

Noty biograficzne

BYSTRINA Ivan (4/271).
DREWNOWSKI Jan (9/276).
SVITAK Ivan (9/276).

Listy do Redakcji

BIELECKI Tadeusz (11/278), BORAK William, dr (1/268-2/269), BRUDEK Andrzej F. (6/273), BYRSKI Zbigniew (1/268-2/269), CENTRALNY KOMITET PPS (4/271), CHCIUK Andrzej (3/270), CIASTOŃ Jan (7/274-8/275), CIOŁKOSZ Adam (6/273, 12/279), DORSKI Henryk (9/276), GARLIŃSKI Józef (9/276), GNIAT-CZYŃSKI Wojciech (11/278), GOMBINSKI Stanisław (9/276), GOMBROWICZ Rita (10/277), GÓRSKI Bohdan J. (11/278), GRONOWICZ Antoni (3/270), GRONOWSKI Roman (7/274-8/275), HARDY-MIKUCKI Alexander J. (6/273), HARASZEWSKI Józef D. (9/276), HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (5/272), HEYDEN-KORN Benedykt (9/276), HOLZER Leon (12/279), JELEŃSKI K. A. (9/276), JĘDRKIEWICZ Andrzej (1/268-2/269), KALEN Rudolf (11/278), KARCZ Jerzy F. (11/278), KLEPACZKO Józef (4/271), KLUGMAN Aleksander (9/276), KORPOWSKI Bolesław (1/268-2/269), KOWALEWSKI Janusz (4/271), KRANTZE Jerzy W. (1/268-2/269), KRYGIER Ryszard (3/270), KUŚ K. (6/273), KWIATKOWSKI Bohdan (11/278), LASKOWSKI Piotr (10/277), LENC Zofia (6/273), ŁANIEWSKI St. (7/274-8/275), MACIEJOWSKI Jerzy (4/271), MAŁACHOWSKA M. (1/268-2/269), MIECZYSLAWSKA Aniela (7/274-8/275), MITKIEWICZ Leon (3/270, 12/279), MOHORTYŃSKI Piotr (3/270), MORAWSKI Dominik (6/273), MOSTWIN Danuta (9/276), NOSEL J. (1/268-2/269), OSTASZEWSKI Jan (10/277), OSTROWSKI A. S. (7/274-8/275), PAWLIKOWSKI Michał K. (10/277), PODKOMORSKA Danuta (5/272), REDAKTOR „KULTURY” (12/279), ROGALSKI Stanisław (3/270), RUDNYCKYJ Jarosław B. (6/273), SKAWA Dawid (10/277), SOJKA Wojciech, ks. (3/270), SOLARZ Irena (3/270), SOŁOWIJ Tadeusz (5/272), SPORADYCZNA CZYTELNICZKA (11/278), STOSIUS Jerzy (4/271), SZAŁAWA Władysław P. (3/270), SZENFELD Ignacy (3/270), SZTEJN E. (9/276), SZUBSKA Barbara (9/276), ULATOWSKI Jan (6/273), ULLMANN Tadeusz (1/268-2/269), WODZICKI Kazimierz (5/272), ZAKRZEWSKI M. D. (9/276), ZARZEWSKI Stanisław (5/272, 10/277, 12/279), ZBROŻEK J. (3/270), ŻABA Norbert (7/274-8/275).

R ó ż n e

Od Redakcji — Podwyżka prenumeraty (10/277).
Komunikat Redakcji o opóźnieniach w kolportażu (5/272).
Numer ufundowany przez Zygmunta Kicińskiego z Buenos Aires (6/273).
REDAKCJA: *Apel do Przyjaciół i Czytelników* (6/273).
— *Katyń* (6/273).
Wkładka katalogowa Biblioteki „Kultury” (5/272, 12/279).
Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/268-2/269, 3/270, 4/271, 5/272, 6/273, 7/274-8/275, 9/276, 10/277, 11/278, 12/279).

Wydawnictwa książkowe w roku 1970
Biblioteka « Kultury »

- Tom 183 — Bieńkowski Władysław: *Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty”), str. 128.
Tom 184 — *Znasz-li ten kraj?* (Seria „Dokumenty”), str. 384.
Tom 185 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 17), str. 240.
Tom 186 — Gombrowicz Witold: *Trans-Atlantyk*, str. 132 (Tom II „Dzieł Zebranych”).
Tom 187 — Sołżenicyn Aleksander: *Krąg pierwszy*. Cz. I. — str. 400; Cz. II — str. 304.
Tom 188 — Mrozek Sławomir: *Dwa listy i inne opowiadania*, str. 192.
Tom 189 — Gombrowicz Witold: *Pornografia*, str. 168 (Tom III „Dzieł Zebranych”).
Tom 190 — Amalrik Andrej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* (Seria „Dokumenty”), str. 90.
Tom 191 — Gombrowicz Witold: *Kosmos*, str. 160 (Tom IV „Dzieł Zebranych”).
Tom 192 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 18), str. 240.
Tom 193 — Bieńkowski Władysław: *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej* (Seria „Dokumenty”), str. 64.
Tom 194 — Bobkowski Andrzej: *Coco de Oro*. Szkice i opowiadania, str. 272.
Tom 195 — Mieroszewski Juliusz: *Modele i praktyka*, str. 224.
Tom 196 — Nowakowski Tadeusz: *Happy-end*, str.
Tom 197 — *Głosy Stamtąd* (Seria „Dokumenty”), str. 176.



Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Wacław IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 4^e Trimestre 1970.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guaiara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel. 40-73, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	Fl. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, « Polish Voice », 1089 Queen St., W. Toronto, Ont.; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301. Ottawa 2, Tel. 233-7212; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Chermoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posynlak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 194 — ANDRZEJ BOBKOWSKI

COCO DE ORO

SZKICE I OPOWIADANIA

Wybór opowiadań przedwcześnie zmarłego pisarza, którego chcemy przypomnieć czytelnikom w przededniu 10-ej rocznicy jego śmierci.

Str. 272.

Cena F. 20 (dol. 4,25; 33 sh.)



TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Wybór artykułów czołowego publicyisty „Kultury”.

Str. 224.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)



TOM 196 — TADEUSZ NOWAKOWSKI

HAPPY - END

Powieść znanego pisarza na tle rzeczywistości Polski Ludowej.

Str. 208

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)



TOM 197 — SERIA „DOKUMENTY”

GŁOSY STAMTĄD

ZSSR I PRL

(OD OPOZYCJI DO REWOLUCJI) *BP*

Materiały otrzymane z Kraju oraz tłumaczenia z „samizdatu”:
S. Zorina i N. Aleksiejewa *Czas nie czeka* oraz *Program Ruchu Demokratycznego w Związku Sowieckim*. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego.

Str. 176.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32).

Cena 6,00 F